

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok I

Lódź, 31 grudnia 1945 r.

Nr II

MIECZYŚLAW JASTRUN

Dwie współczesności „Dziadów” drezdeńskich

Klęska powstania listopadowego, śmierć tysięcy, pożoga, niewola i wygnanie, straszliwe: biada zwyciężonym! to wszystko uderzyło w poetę, który już w „Konradzie Wallenrodzie” i w wierszu „Do Matki Polki” zapowiadał grozę późniejszych wypadków, patrzył w nie szeroko otwartymi oczami, mierzył sumieniem, gotów był wziąć odpowiedzialność za losy narodu. W Dreznie, przez które przeciągały niedobitki wojska powstańczego, zaczął pisać utwór, który miał się stać największym cudem języka polskiego i polskiej poezji — „Dziadów” część III. Tam właśnie w Dreznie rozbiła się — według słów poety — nad głową jego „bania z poezją”. Z tej bani wyszedł utwór do żadnego innego niepodobny, a gdy trzeba go z czym porównać, przychodzi na myśl dzieła takie jak Dantego „Boska komedia”, „Faust” Goethego, „Prometeusz w okowach” Aischylosa.

Najbardziej zdumiewającą cechą tego misterium jest jego rzeczowość. Mickiewicz w niepraktykowany przedtem przez nikogo sposób przeniósł żywem rzeczywistość historyczną na scenę wyobraźni.

Nastąpiło tu jakby nasunięcie dwóch czasów na siebie, nasaczenie wypadków wcześniejszych cięższą, bogatszą treścią późniejszych wydarzeń. Jesteśmy świadkami zaraz w pierwszym akcie sceny martyrologii młodzieży polskiej; to nic, że te sceny są tylko opowiedziane, nie ukazane w bezpośrednim widzeniu: opowiedziane są tak, że nie dorównałby im żaden obraz. Potęgą realizmu, prawdą wstrząsającą bije z tych opowiadań więźniów. Czujemy: to mówią nie filomaci, to mówią ludzie, którzy przeszli przez powstanie.

Obok ofiar tyranii wprowadza Mickiewicz na scenę ciemniźcicieli. Rosjan, urzędników carskich z Nowosilcowem na czele. Z jaskrawym, niesłychanie plastycznym realizmem kreślone są te obrazy. Perfidia, cynizm, zbrodniczość ukazane są w postaciach urzędników carskich z potęgą nieporównaną. Mickiewicz demaskuje złowrogą i odrażającą maszynę tyranii, dramat przechodzi nieostrzegalnie w pamflet o sile miazdzącej, sprawa młodzieży wileńskiej w sprawę ludzkości, walka z ciemnością w walce między dobrem i złem. Obrazy „Ustępu”, które w formie narracyjno-lyrycznej kontynuują dramat „Dziadów”, pogłębiają jeszcze charakterystykę Rosji carskiej. Poeta ukazuje ją we fragmentach epickich, które tworzą samoistne poematy. Nie porzysztając na opisie ścisłym, rzeczowym niemal reporterskim. „Droga do Rosji”, którą tak zachwycał się Puszkina, zawiera celną syntezę historyczną, otwiera dalekie perspektywy. Pytajnik postawiony nad przyszłością tego kraju jakże brzemienny jest w treść historyczną:

Ale gdy słońce wolności zaświeci,
Jakż się powłoki tej owad wyleci,
Czy motyl jasny wyleci nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plmień?

Mickiewicz, który z bliska ujrzał wroga potęgę caratu, niedawny więzień, później wygnaniec, rzucony w niezmiernie obszar państwa rosyjskiego, nie zadrzał przed tym kółsem tyranii i nie popadł w zbyt częste i łatwe w takich wypadkach uogólnianie, które zazwyczaj bywa znamieniem słabości moralnej.

Jak w obrazie społeczeństwa polskiego nie pomija Mickiewicz głębokich cieniów, ukazując nie tylko czysty ogień bohaterstwa i poświęcenia, ale i „plugawą lawę”, tak obok Rosjan, zaprzędanych zbrodniczymu systemowi, wprowadza na scenę „przyjaciół Moskali”. W tych jasnowidzących wierszach przyszłość wkracza co chwila we współczesność.

W „Oleszkiewicz” czytamy taką zdumiewającą strofę:

Słysz... tam... wichry już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszdyła;
Już sobie z chmury porobiły skrzydła,
Wsiadły na fale, zdjęły jej okowy.
Słysz... już morska otchłań rozkiewnana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła.
Już mokrą szyć pod obłoki wzdyma,
Już... jeszcze jeden, jeden jańcuch trzyma.
Wkrótce rozkuja... słysz... młotów kucie...
Tylko ten, kto przeszedł przez piekło męki
Własnej i cudzej mógł osiągnąć taką siłę mo-

ralną, by pragnąć wolności także dla wroga. Pomimo mistycznej mitologii treść moralna „Dziadów” jest ludzka, bardzo ludzka, świecka, niepodległa. Mówi się wiele o katolicyzmie „Dziadów” części III. Z ducha katolicyzmu poczęta jest postać ks. Piotra, jego tylekroć ćwiartowane Widzenie i owo nieświętej pamięci 44, które tyle czasu i sił zabrało komentatorom, rozmiłowanym w kabale i wróżbach. Również Widzenie Ewy ma wiele pokrewieństwa z zachwykami mistyków wszystkich czasów. Scena egzorcyzmów przeniesiona jest

nim pycha szalona z miłością narodu i ludzkości. Jeśli przypomina czym wielkich bojowników kościoła czy jego herezjarchów, to tym właśnie co pozostało w nich z ducha pogańskiego — niepojętą namiętnością. Ten wspaniały choleryk, wobec którego blednie Skarga, w akcie gniewu, przechodzącego w szal, już to wznosi się na wyżyny potęgi demonicznej, już to opada — w tklivość, wyczerpany nadmiernym wysiłkiem. Jego miłość graniczy co chwila z nienawiścią. Przejrzał do dna podłość, zbrodniczość ludzką, ujrzał ty-

w wymiarach nieprzeczuwanych nawet przez poetę.

Oto staje znowu przed Bogiem zła i zbrodni człowiek „najwyższy z czujących na ziemnym padole”.

Nie zauważono, że ten fragment „Dziadów” cz. III ma najwięcej podobieństwa z częścią IV. W potoku nieujarzmionym zmiennego rytmu gwałtownych wyznań odnajdujemy Gustawa. Ta sama namiętność, ten sam tok mowy. Tylko człowiek dojrzały i dojrzały artysta. Ten nowy człowiek ma już za sobą doświadczenia nieszczęśliwej miłości, z którą żegnał się tyle razy. Ta sama namiętność, tylko przedmiot jej większy, już nie kobieta — Ojczyzna. Gustaw miał partnera, który równoważył jego namiętne żale, była nim rozważa, uosobiona w księdzu-wychowawcy. Konrad ma również swego ducha opiekuńczego — ks. Piotra. Odpowiednio do podniesienia tonu nowego wcielenia Gustawa i jego partner zyskuje na głębi. Ale mimo to, jakże prozaiczne wobec Improwizacji jest widzenie ks. Piotra. Jeśli Improwizacja jest arcydziełem nie tylko uczucia, ale i sztuki poetyckiej, Widzenie ks. Piotra, mimo uderzającej wizji początkowej, raczej świadczy o spadku natchnienia. Już sam fakt, że jest tylko trawestacją polityczną sceny ukrzyżowania Chrystusa, mówi wiele; alegoryzm tej sceny odejmuje jej plastykę, jest ona zbyt retoryczna, zbyt wreszcie enigmatyczna, nie ma w niej tego rozżarzenia, które w Improwizacji zamienia słowa w żywe organizmy, tak, że możemy wraz z poetą dotknąć ich, czuć dłoń ich okrągłość, widzieć jak toczą się, grają i świecą. Nie ma w słowach Widzenia ks. Piotra siły żywej, jak nie było jej w aleksandrynie księdza w IV części „Dziadów”.

Dwie przypowieści, które opowiada ks. Piotr Senatorowi nie mają w sobie również więcej połoju niż przypowieści, które wplatają księży w kazania niedzielne. Mit o Polsce, Chrystusie narodów, odegrał, jak wiadomo, szkodliwą rolę w naszych dziejach. Nic dziwnego, że właśnie w tę alegorię mesjanistyczną mógł z powodzeniem uderzyć Wyspiański. Kiedy Mickiewicz opuszcza namiętność, drzewieją także jego słowa. A jednak ks. Piotr spełnia w poemacie ważną rolę. Jest on koniecznym dopełnieniem osobowości Konrada, jest jedną z możliwości nowych wcieleni Mickiewicza, któremu nie dość było jednego żywota, jemu, który miał imion wiele i łączył w sobie fantastyczne przeciwieństwa.

Cmentarna scena „Nocy Dziadów” znowu powraca do rdzennego motywu poematu, do ludowej uroczystości pogańskiej.

Jej tajemniczość jest tu jednak inna niż w „Dziadach” wileńskich. Świat nadprzyrodzony tu, jak zresztą wszędzie w III części „Dziadów”, nabiera plastyki, naoczności, wyjątkowo jaskrawej i brutalnej. Złoto, które przelewa z ręki do ręki Widmo jest rzeczywistym złotem, rany w piersi Konrada są rzeczywistymi ranami, tylko rana na czole jest symboliczna.

Ta naoczność, plastyka, narzucająca się z nieporównaną wyrazistością, znamienna dla całej poetyki Mickiewicza, tu bodaj szczyt swój osiąga. Słusznie pisał prof. Kleiner o lirycie Mickiewicza, że jest „sprawozdawcza, rzeczowa, wyrocza, podbijająca i przygniatająca przez bezwzględność obiektywnej prawdy”. Często utwór Mickiewicza zaczyna się od zestawienia suchych faktów, w jakimś punkcie następuje wezbranie uczuć, rozżarzenie, nieostrzegalnie, ciągle jeszcze w ramach logicznej składni i naturalnej prostoty zagęszcza się obrazowanie, wyobraźnia poety zaczyna się posługiwać częściej porównaniem i metaforą... Ale zazwyczaj nie one pozostają w pamięci, najdłużej działa jakaś głęboko doświadczona prawda o znamionach powszechności, jak np. w wierszu „Mędrzy” zdanie:

„Wstali przelękli, więc srożsi zbrodniarze”.

Niewyszukane rymy mickiewiczowskie — w przeciwieństwie do rymów Słowackiego — służą temu samemu prawu: niech żaden szczegół wykonania nie zamąca czystości wewnętrznej wiersza!



Mickiewicz o poezji

Byron rozpoczyna erę poezji nowej. On pierwszy pokazał ludziom, że poezja nie jest czczą rozrywką, że nie dość tu żyć i słów, że trzeba same-mu tak żyć, jak się pisze. Człowiek ten bogaty, wychowany w kraju arystokratycznym, rzucił parlament i ojczyznę, żeby służyć sprawie greckiej. To mocne uczucie potrzeby spoetyzowania swego życia, zbliżenia idealu do rzeczywistości stanowi całą wartość poetycką Byrona... Miał on tak wielką siłę, że dawał ją czuć w kilku słowach, że tych kilka słów mogło potra-

cić „obudzać dusze, odkrywać im, czym były... Ta poezja dotyka jedną stronę filozofii, drugą życia rzeczywistego... W nikim bardziej jak w nim nie widuć tych męczarni anormalnego bytu na przejściu między wiekiem XVIII a XIX, tych błkań się bez celu, tych pragnień czegoś nadzwyczajnego, tych tęsknot za przyszłością nieznaną. Wszystko, co dręczyło umysły, co odbywało się w duszach młodzieży naszego pokolenia, Byron oddał wiernie w pi-smach swoich i w swoim życiu...

(z Wykładów o literaturze słowiańskiej)

żywcem ze średniowiecza na deski tragedii romantycznej. Mitologia dramatu jest katolicka. Ale duch „pogański”, występujący tak jawnie już w „Dziadach” wileńskich, tu wybuch z siłą, którą napróżno będzie usiłował powstrzymać pokorny ksiądz Piotr. Kiedy Jankowski śpiewa piosnkę bluźnierczą, Konrad przerywa mu takimi słowami:

Nie mieszam się do wszystkich świętych
z Litanii,
Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.

— i o parę dialogów dalej śpiewa upiorna pieśń zemsty, pieśń rzeczywistości „pogańska”. Zapowiada ona „Improwizację”, poczętą z ducha „pogańskiego”; nie darmo nosił się Mickiewicz z myślą napisania tragedii „Prometeusz”; echa tego zamysłu przedostały się do „Dziadów”. Jak tytan grecki zbuntowany przeciw Zeusowi wyzywa poeta potęgę ludzką, by się z nimi zmierzyć. Walczy w

ranie w jej najbardziej odrażających postaciach i w porywie sprawiedliwości żąda odwetu serca. On, który głosił w „Odzie do młodości” hasło: „gwałt niech się gwałtem odciśka” na tyranii żelaza, broni, przemocy człowieka nad człowiekiem i na większą jeszcze tyranie materii nad myślą ludzką, która jest przeciwieństwem tylko jej cząstką, iskrą tylko, odpowiedzieć chce tyranii moralną, „rządem dusz”, ściślej: dyktaturą dusz — dla szczęścia ludzi, którzy „jeżeli się sprzeciwią, niechaj cierpią i przepadną”.

Mickiewicz, fanatyk sprawiedliwości, przemawia dziś do nas silniej niż kiedykolwiek. Improwizację jego czytamy w świetle niedawnych lun, w nierozwianym jeszcze dymie palonych ciał ludzkich barbarzyńskiego okresu historii. Utwór tylekroć wyartyt czytaniem, pustą retoryką deklamacyj, unieruchomiony profesorskimi komentarzami, odżywa, zabarwia się krwią, prawdą rzeczy przeżytych na nowo,

Mistrzostwo języka poety w „Dziadach” jest może najtrudniejsze do wytłumaczenia; właśnie prostota, właśnie „prozaiczność” języka, potoczny tok mowy — wszystko to sprawia, że nie podobna zrozumieć, jakimi środkami, a raczej dzięki jakim filtrom uzyskała poeta tę czystość wizji, zupełnie materialnej, dla której nie ma równoważnika w całej poezji polskiej.

U Słowackiego forma jest niejako na wierzchu, sposoby jego, chwytły poetyckie na ogół są łatwe do podpatrzenia i w pewnym sensie naśladowania, tutaj sam żywioł języka przemawia, rzekłby kto nie słowa, lecz naród słów.

Wizjonerstwo Mickiewicza jest tu szczególnie, postacie wizji nie różnią się niczym od ludzi z krwi i kości; mają ten sam ciężar, tę samą cielesność co w obrazie Matejki „Joanna d'Arc” postaci świętych, unoszące się nad pochodem, nie zdematerializowane, przeciwnie, całą wagą ciała i zbrój walące się niemal na głowy ludzi z tego świata. W Improwizacji protest przeciw naturze Boga zamienia się... w pocisk artyleryjski. Złym duchom przypada rola kanonierów. Żadna inna poezja nie wytrzymałaby takiego porównania.

W opisie „wypadków współczesnych” porusza się poeta stale na granicy reportażu, notującego nagie fakty. A jednak z faktów tych zawsze umie wykrzesać ogień poezji.

Poeta postępował z całą świadomością, wiedział, że bodaj po raz pierwszy w dziejach poezji wprowadza na scenę autentycznych ludzi, żywcem, z całym ich ciężarem cielesnym, z całą ich zbrodnią i świętością.

W „Salonie Warszawskim” zaraz po wstrząsającym opowiadaniu Adolfa o Cichowskim toczy się rozmowa między literatami o sztuce poetyckiej.

I proszę jak opiewać współczesne wypadki? Zamiast mitologii są naocne świadki. Potem jest to wyraźny, święty przepis sztuki. Że należy poetom czekać aż... aż...

Póki? Wiele lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży, Jak figa ucukruje, jak tytuł uleży?

Mickiewicz ironizuje z tych reguł martwej poetyki klasyków warszawskich. Drwi także z „polaru”, bez którego w ich mniemaniu nie ma poezji.

On właśnie współczesne wypadki wprowadził z całą bezwzględnością na scenę. Zapewne, już Dante, jego wielki poprzednik w poezji faktów, nie ulak się wprowadzić do swej „Boskiej komedii” postaci znanych, żyjących, lub zmarłych niedawno. Lecz umieszczał je poza ziemią w kręgu piekielnym. U Mickiewicza wszędzie mamy ściśle podane miejsca, w którym akcja się odbywa, bo też jest to komedia ziemiska. Z mitologii pseudoklasyków rezygnuje Mickiewicz, lecz wprowadza obok „świadków naocznych” również świadków z piekła i z nieba. Posługuje się mitologią chrześcijańską i zestawiając ją w cielesnym naocnym zerknięciu z realiami osób i rzeczy, w ściśle określonym czasie historycznym, uzyskuje wrażenie nadzwyczajne. Oto jest piekło polskie, piekło ziemskie, martyrologia narodu, z którym nieśmiertelnie obeszła się historia.

Jak niegdyś pokazywano sobie Dantego, tak mogła Matka Polka synowi swemu, nim pójdzie na śmierć „bez zmartwychpowstania” powiedzieć o Mickiewiczu: ten człowiek wrócił z piekła.

Uczyniła to jednak pierwsza pani George Sand, pisarka francuska. I być może to pierwsze zestawienie z Dantem wyjaśnia wiele.

Ale ci, którzy dzisiaj wracają do „Dziadów”, nie szukają w nich znanych badaczom powinowactw literackich, obywają się bez komentarzy, które, gdyby je zebrać, tworzyłyby onby tom, jak komentarze do „Boskiej komedii”.

Widziałem w Warszawie okupowanej „Dziadów” część III w rękach czytelników różnego wieku i pochodzenia socjalnego. Była to dla nich jedyna bodaj poezja, w której nie dźwięczał fałsz poetyczności. Szukali w niej pociechy i nadziei. Mickiewicz jest jak Homer rzeźbiony i sprawdzalny. Ta cecha pociągała najwięcej cierpiących w ucisku rzeczywistości okupacyjnej, tak trzeźwej, że za najmniejsze potknięcie, za najmniejszą nieszczelność w losie indywidualnym i zbiorowym płaciło się śmiercią, a tak zarazem „irrationalnej”, zależnej od kaprysów „lostu”, przypadku, że szukało się oparcia w przeżyciu zbiorowym, w doświadczeniu dziejowym narodu i ludzkości.

Współczesność „Dziadów”, poematu, który powstał po klęsce powstania listopadowego, bogaciła się w drugą współczesność — czytających ten utwór po klęsce wrześniowej.

Rzeczywistość caratu mieszała się z groźniejszą stokród rzeczywistością hitlerii, męczeństwo Polaków z pierwszych „dziesiątków” wieku XIX z martyrologią Polski okupowanej przez niemieckiego najeźdźcę w pamiętnych latach 1939 — 1944. Rzeczywistość obozów koncentracyjnych, krematoriów, masowych grobów, zagłady milionów — aktualizowała na nowo utwór, napisany przed stu laty. W tym jego sile, w przyciśnięciu poezji prawdy, prawdy ludzkiej, bo przywracającej wiarę w człowieka i w naród.

Mieczysław Jastrun

JULIUSZ SALONI

„Proroctwo” Mickiewicza

Widzenie księdza Piotra w III części *Dziadów* jest jednym z najbardziej niepokojących momentów w twórczości Adama Mickiewicza. Urosła około niego cała legenda, która w pierwszych latach potężnie zaabsorbowała myśl narodową, potem przycichła, aby później w chwilach wzmagania nieszczęścia narodowego przybierać znów na sile i owiadać psychiką Polaków. Jej żywotność związana jest z rzekomym „proroctwem”, dotyczącym „przyszłości Polski”. I zdaje mi się, że obecnie nadeszła właśnie najodpowiedniejsza chwila, by legendę poddać gruntownej rewizji, a w „proroctwie” odkryć istotny jego sens.

W *Widzeniu Bóg* wyjawia księdzu Piotrowi mesjanistyczne znaczenie cierpienia Polki za sprawą Męża opatrnościowego. Ów zbawca narodu, to postać niezwykła, obdarzona potęgą, przerstającą miarę zwykłego człowieka. Ksiądz Piotr, duchowny, prawdopodobnie teologicznie odczytany, w określeniu Męża idzie śladami proroctw Starego Testamentu; znalazły się jednak w tekście i wzmianki, oznaczające dokładniej osobę. Pierwszą z nich to oznajmienie ks. Piotra, że Męża tego znał za czasów jego dzieciństwa, kiedy uszedł przesładowania cara, nowoczesnego Heroda; drugie to pewne szczególne genealogiczne i dziwne liczbowe imię:

*Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,
A imię jego czterdzieści i cztery.*

Zagadka natchnionych słów domagała się rozwiązania. Najprostszą rzeczą wydało się zapytać autora; i z papierów po Goszczyńskim dowiedziano się, że wygłaszając proroctwo, Mickiewicz myślał o sobie samym jako Mężu czterdzieści i cztery. Aliści niedawno profesor Pigoń natrafił na pamiętniki Jana Nepomucena Niemcewskiego, w których autor wyraźnie stwierdza, że Mickiewicz, zapytany o znaczenie zagadkowej przepowiedni, odpowiedział: „Kiedy pisałem, wiedziałem, teraz już nie wiem”.

Nie należy nigdy proroków pytać o znaczenie ich proroctw; proroctwa nie można przenieść w sferę myślenia dyskursywnego; opierają się one na intuicji, forma ich związana jest ściśle z treścią podświadomego przeżycia, niekontrolowanego przez rozum, bardzo często nieświadomionego do końca życia. Jakże więc można żądać, ażeby prorok wyjaśniał? Czyba mógłby to uczynić tak samo, jak ktoś obcy: przeczytać co napisał, rozważyć, co to może znaczyć i puścić się na mniej lub więcej prawdopodobne interpretacje. Kto więc, wierząc w tekst *Widzenia* jako proroctwo, zapytywał Mickiewicza o jego znaczenie, ten popełniał zasadniczy, niewybaczalny błąd. Albowiem na takie pytanie Mickiewicz nie mógł odpowiedzieć; świadczy o tym najlepiej różnorodność udzielanych przez niego interpretacji.

Ale z równym prawdopodobieństwem przypuścić można, że na pytania stawiane przez ciekawskich, Mickiewicz nie „nie mógł”, ale nie chciał odpowiedzieć; nie dlatego, żeby nie wiedział, ale dlatego, że mu się nie chciało tłumaczyć zawilej i trudnej sprawy wkraczającej w dziedzinę jego twórczych dokonań i zamierzeń. Tymczasem pytania stawiane przez natrętów poecie, wskazywały na to, że *Widzenie* potraktowali czytelnicy w oderwaniu od całości dramatu, tak jakby to było nie zależne od dzieła wygłoszone proroctwo polityczne: proroctwo Starego Testamentu. Apokalipsa, czisiorwiersze Nostradamusa, kazania Skargi, wróżba Wernyhory i t.d. Rozumowano: *Widzenie* księdza Piotra wyraża pogląd Mickiewicza na przyszłość Polki; jeżeli przeto jest prawdziwe, złożyć się musi w rzeczywistości Polki.

Ten punkt wyjścia stanowi podstawę do postronnych interpretacji proroctwa. Naliczyłem ich coś czterdzieści siedem, jakkolwiek zdaje sobie sprawę, że nie odnalazłem wszystkich. Interpretacje te to często najdziwaczniejsze pomysły, z których każdy ma coś bardzo prawdopodobnego, a żaden nie trafia w sedno rzeczy.

Nawroty do interpretowania powtarzają się falami, co pewien czas, głównie w zależności od sytuacji narodowej.

Któż to już nie był owym Mężem opatrnościowym? Sam Mickiewicz znalazł dla siebie wielu apologetów, którzy starali się udowodnić, że pisząc te słowa, wieszcz myślał o samym sobie. A więc: „z matki obcej”; bo pani Majewska była przecież frankistką, czyli z pochodzenia Żydówką — neofitką, zwolenniczką Franka; albo: nazywała się na imię Barbara, co po łacinie znaczy właśnie *obca*. „Krew jego dawne bohaterzy”; bo ojciec Mickiewicza pan Mikołaj był żołnierzem Kościuszkowskim — wprawdzie nie „dawno”, ale to nic nie znaczy.*)

Do odkrycia liczby czterdzieści i cztery dopomagano sobie arcyciekawą geometrią: profesor Ptaszyński wyliczał więc litery w imionach Mickiewicza (Adam, Bernard, Napoleon) do czego dodawał jeszcze imiona bohaterów utworów (Alf, Walter, Konrad, Gustaw), co wraz z „Mickiewicz” dawało w sumie liczbę liter 44; albo też tworzone alfabet z owartościowymi literami. (a = 1, b = 2 itd.), sumując „wartości” poszczególnych liter w imieniu i nazwisku. Ma się rozumieć odpowiednio „pokrywano” alfabet, to opuszczając, to dodając poszczególne litery, byle tylko uzyskać pożądaną liczbę 44.

Nie brakło też interpretacji, że liczba 44 jest podświadomą reminiscencją numeru karty imatrykulacyjnej i dyplomu nauczycielskiego, w których taki układ cyfr dwukrotnie się powtarza.

Poszukiwanie Męża poza samym autorem zapoczątkował sam Mickiewicz, który w wykładach swoich w Collège de France przeprowadzając analizę *Widzenia* ks. Piotra wywoził niedwuznacznie, że przepowiedzianym wkrzesicielem jest Andrzej Towiański. Ale potem zjawiali się ciągle nowi „wielcy wtajemniczeni”, którzy tłumaczyli, że czterdzieści i cztery oznacza jeszcze kogoś innego, a nie Mickiewicza. Jednym z najdowcipniejszych jest wywodenie imienia Męża z monogramu księcia Ludwika Napoleona, z którym Mickiewicz łączył wielkie nadzieje co do przyszłości Polski. W „cyfrze” XLN wystarczy tylko odłączyć pierwszą łaseczkę w N, a uzyska się liczbę rzymską XLIV. Bywali tym „czterdziestym czwartym” także i tani „wielcy ludzie”, a więc np. Czajkowski Michał J. Zacharewicz dowodził znowu, że Mężem czterdzieści i cztery jest A. Jackson, prezydent USA „bo w życiu jego liczba 44 odegrała bardzo poważną rolę”. Wiadomo, że po premierze „Wesela” artyści krakowscy wręczyli Wyspiańskiemu szkatułkę z inkrustowanym napisem „44”. W czasie pierwszej wojny światowej znaleźli się usłudzy, z których jeden udawał, że 44 to Wilhelm II-gi, a inny objawiał, że to książę Mikołaj Mikołajewicz; wszak obaj pochodzili „z matki obcej” i mieli krew „bohaterów” w swych żyłach. Później w Polsce Niepodległej pospieszyli usłudzy walczyć z wywodami o czterdziestoczwartości Józefa Piłsudskiego. Jeden z nich Pełczyński udawał, że swą tezę poprawioną przez siebie rodowodem Chrystusa, w którym święty Józef zajmuje rzekomo 44 miejsce; drugi, Julian Krzyżanowski z Leszna***) tworzył całą tabelkę tytułów J. P., w której lubował się ostatnim: „Król Józef Piłsudski”, wykazując, że tytuł ten ma tyle samo liter co „czterdzieści cztery”; wypuszczał przy tym w liczbie „4”, bo utrudniało ono uzgodnienie ilościowe. Byli i tacy, którzy sami s e b i e podawali za Męża zapowiedzianego proroctwem. Jeden z nich ogłosił książkę pod tytułem: „*Któż ten mąż? 44? Otom ja! Otom ja! Kasimir (I) Stanisław Jasieńczyk Jabłoński z Leżajską*”; takim jest również w chwili obecnej podporucznik W. P. Władysław Pr., który wszystkie cechy „Męża” odkrył w samym sobie.

Nie brakło też interpretacji, w których 44 oznaczać miało nie człowieka, ale jakąś rzecz lub pojęcie. A więc tłumaczono, że to *Litwa*, albo że *gmina*, użyta tutaj zamiast pojęcia *chłop* czy *lud*, jako, że istniała teoria o innym pochodzeniu ludu, niż szlachty polskiej. Lange wywoził, że 44 to początkowe słowa modlitwy: „Ojciec nasz, który jest w niebieszech”. Był również taki rewolucjonista w roku 1905, który dowodził niezbitcie, że Mąż 44 oznacza na pewno: proletariát polski, choć nie przy tacał na to żadnych dowodów przekonujących. W czasie wojny światowej wpadł jakiś jegomość na dowcipny pomysł, że 44 to czterdziesty czwarty *południk* (idący mniej więcej przez Rygę), na którym zatrzymał się front rosyjsko-niemiecki w 1916 r. Wreszcie odżyła liczba 44 przed rokiem, gdy w dacie bieżącej zjawiała się ona jako dwie cyfry ostatnie:

*) Pomijano przy tym bardzo ciekawe odkrycie profesora Bruchnalskiego, że w Strykowskiem wyczytał mógł Mickiewicz wiadomość o pochodzeniu swego rodu Mickiewiczów (nie Porajów) od Gedymina.

**) W ten sposób można także udowodnić, że Hitler był apokaliptyczną bestią. Należy tylko przyjąć, że a = 100 b = 101, c = 102 itd. a otrzymamy 666 nie należy tylko zapamiętać w alfabecie o literze q.

***) Nie mieszać z popularnym profesorem Julianem Krzyżanowskim, który dopiero odsunął dowiedziawszy się o istnieniu podobnej bzdury, jak powyższa książka, kiedy mu ją wręczyłem z odpowiednią dedykacją.

Rok 1944 uznali bazarze za rok zapowiedziany przez Mickiewicza, jako spełnienie się wróżby, licząc z zakończeniem wojny i zbudzeniem się Polski do życia.

Zwolennicy interpretacji aktualnej nie wiedzą może nawet, że mają poprzednika, względnie poprzedniczkę starszą o 100 lat. Jest nią Ewunia, Henryka Ankwiczówna, która w ślicznym, najwymyślniejszym Mickiewiczowi o tym, że w towarzystwie czyta się właśnie *Dziadów* część III, że jest to „śliczny kawałek”, a szczególnie „to widzenie”, i przyimilnie prosiła o przyznanie racji swojemu zrozumieniu proroctwa, że to właśnie chodzi o rok 1844, w którym nastąpi wyzolenie „ukochanej Ojczyzny”...

Otóż i Ewunia i dzisiejsi wykładacze mylą się zasadniczo w swej interpretacji odnosząc do czasu słowa, które wyraźnie określają człowieka. Rok 1944, prócz dwóch cyfr nie ma nic wspólnego z Mężem zapowiedzianym przez ks. Piotra. Nie sprawdziło się również to proroctwo o Mężu Wkrzesicielu, albowiem na horyzoncie spraw i dokonań nie zjawiał się nikt taki, kto by odegrał wielką rolę namiestnika wolności, twórcy nowego kościoła.

Czyżby więc proroctwo ks. Piotra było fałszywe?

Otóż ani „tak” ani „nie”. Albowiem nie mamy tu do czynienia w ogóle z proroctwem, które by mogło być odniesione do faktycznej rzeczywistości Polski. *Widzenie* ks. Piotra jako część dramatu jest proroctwem literackim i rozwiązaniem być może tylko w związku i w obrębie dzieła, którego jest częścią.

Przed wszystkim więc należało by wyjaśnić, skąd wzięło się dziwne imię: czterdzieści i cztery. W wyczerpującym studium o *Widzeniu* zajął się tą sprawą prof. Kleiner i wyjaśnił, że mamy do czynienia z wpływami kałbaly, według której liczba ta oznaczałaby Adama — człowieka. Przyjmując za podstawę filozofię mistyczną mądrego w romantyzmie St. Martina, dojdziemy do wniosku, że liczba czterdzieści i cztery oznacza człowieka, który po upadku i pokucie stał się doskonałością. Obie te interpretacje nie wykluczają się wzajemnie, lecz raczej popierają stwierdzenie zasadnicze, że Mickiewiczowi nie chodziło o oznaczenie pewnego określonego indywiduum, lecz o określenie jakości nowego bohatera po Konradzie w dalszym ciągu *Dziadów*.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że całe *Dziady* przepojone są subiektywizmem, że są one właściwie transpozycją losów samego autora; przemiany zachodzące w postawie życiowej, symbolizuje Mickiewicz przemianą imienia bohatera, uzasadnioną genealogią literacką; Gustaw, to potomek bohatera romansu pani Krüdener, Konrad od bajronowskiego Korsarza, przez Konrada Wallenroda wywoździ swe imię.

A „czterdzieści i cztery” zapowiadało nową transnominację, idącą w parze z nowym przeistoczeniem zaczerpniętym z St. Martina. Czyli: *Widzenie* zapowiadało nową, dalszą część *Dziadów*, której bohaterem miał być Adam, człowiek doskonały, spełniający po serdecznej męce Gustawa po tytanicznym trudzie Konrada w całej pełni zadania dojrzałego Męża na ziemi. Tworząc swoją koncepcję wyposażył ją Mickiewicz w subiektywne rysy nie mniej, ani więcej, niż w IV i III części, a wyznaczał swemu bohaterowi rolę taką, jaką sam pragnął odegrać w rzeczywistości. Taka interpretacja tajemniczej liczby byłaby zgodna z tym, co wiemy z pamiętnika Witwickiego, że Mickiewicz chciał kontynuować *Dziady* i że nawet pisał je we Francji.

Dlaczego ich nie napisał?

W twórczości Mickiewicza mamy jeden wiersz, który dokumentuje przemianę wewnętrzzną zaszłą w życiu poety w Rzymie. Jest to wiersz pod tytułem: *Rozum i wiara*, malujący moment dojścia poety do kresu potęgi ducha. Stało się ono wtedy, „gdy gromowładne czoło ugiął przed Panem”. To jest przeżyciowy punkt wyjścia do nowej części *Dziadów*. Po osiągnięciu tej potęgi winno było nastąpić *działanie*, czyn. Ale ten czyn nie nastąpił; coś zatomowało się w przeżyciu, a tym samym brakło surrogatu subiektywnego do osnucia wątku dzieła. W duszy poety pozostało drżące marzenie o potęgę czynu, które obudziło się dopiero w roku 1848, kiedy na pisanie *Dziadów* było już za późno. W narodzie zaś rozsunęło się marzenie — legenda o Mężu wkrzesicielu, błogosławiona, bo podtrzymująca trwałe wiarę w ziszczenie się cudu Zmartwychwstania.

Dzisiaj stała się ona już przeżytkiem na tle rzeczywistości polskiej. Wszystkich „wierzących” odczytuje może mistycznych uproszczeń i łatwinny cudownościowej. Natomiast pozostanie to proroctwo w pełnym w swoim walorze w kontekście nieśmiertelnego dzieła jako dokument niezszereżonego zamierzenia twórczego.

CELINA BOBIŃSKA

Dekabryści

Podczas narodowej wojny z Napoleonem przyszli dekabryści byli podrostkami. Zakochani byli jednakowo w ojczyźnie i w pięknym młodym carze, który porwał ich wizją liberalnej Rosji. Wkrótce chłopcy stali się weteranami partyzancki i pola borodzińskiego. Ujrzeni potęgę wojny ludowej, gdy do niej staje chłop z kosą, ujrzeni zwycięstwo zniekanego obdartego poddańczego ludu, pomimo i wbrew strusiej kompromisowej polityce cara. Nabrali głębokiego przeświadczenia, że chłop wyrąbał sobie drogę do wolności i równoprawnienia.

W zwycięskim pochodzie przemaszerowali Europę wchłaniając jej tętniące życie kulturalne i polityczne. Deptali paryski bruk, bruk Robespierre'a i Marata.

Pomacali odlew nowego burżuazyjnego świata, świat co wyszedł z hut wielkiej rewolucji i którego w stare formy nie mogły już wcisnąć żadne restauracje i „rządy silnej ręki”. Ujrzeni żywego wolnego chłopca właściciela, co był świadectwem i skutkiem wielkiego przewrotu.

Wierzyli, że z wyzwolonej Europy przywiozą swej ciemnej chłopskiej ojczyźnie wolność od poddaństwa i konstytucję.

Gdzie, kiedy załamała się ta wiara? Gdy w chłodnych niebieskich oczach „wyzwoliczyciela Europy” zaczęli widzieć już tylko obłudę i bezlitosne wyrachowanie? Ten moment daje się już wyczuć gdzieś... na przełomie 1814 i 1815 r., po powrocie do Rosji. Nadzieję i iluzję rozbiła twarzą rzeczywistość. Jeden z nich notuje w pamiętniku, jak w jego oczach car z podniesioną szablą cwałował za przebiegającym ulicę chłopem. Znajomi znów kupowali orkiestrę kształconą we Włoszech za 40.000, a Arakcejew rozkazywał swym chłopom: „babom rodzic co roku raczej syna, niż córkę!”

Później o tym okresie z zuchwałą otwartością skazańca pisał z lochów Pietropawłowski Bestużew do cara... „Wtedy to zaczęli mówić wojskowi — czy dlatego oswobodziliśmy Europę, aby nałożyć jej łańcuchy na siebie? Czy dlatego daliśmy konstytucję Francji, żeby nie śmieć mówić o niej w domu i po to kupiliśmy krwią pierwszeństwo wśród narodów, aby nas poniżano w domu?”

Dumne te słowa oznaczały dużo więcej niż to, że w podróży zapożyczono nieco rewolucyjnego romańskiego temperamentu.

W Rosji skutej i spętanej robiły swoją krecią robotę procesy, których nie mógł wstrzymać lub usunąć najjaśniejszy podpis. Pompatyczny majestat Piotrowego miasta („nuda, chłód i granie” — mawiał Puszkina), kamienne masy pałaców i pomniki cwałujące po placach — to wszystko było świetnym frontonem kraju, tkniętego ciężką chorobą.

Po upadku kontynentalnej blokady, po ukończeniu wojen, nikt już nie przeszkadzał rosyjskim „barynom” prowadzić konkurencyjnej walki z amerykańskim zbożem. Lecz amerykańskie zboże niestety nie było obciążone feudalną rentą. Rozbieżność między możliwościami eksportu i niedźmym poziomem pańszczyźnianej gospodarki spowodowała, że nie tylko chłop ale i obszarnek doraźnie odczuwał cały archaizm i barbarzyństwo chłopskiej zależności.

Próbowano połączyć pańszczyznę ze sztucznymi nawozami i „anglickimi sposobami gospodarki”. Chciano narzucić niewolnikom zalety wolnego właściciela, fermera. Chłop nie chciał nabywać kwalifikacji pod batem i ponuro patrzył na „pańskie kaprysy”. Gdzie indziej znów z zaciekleścią zakręcano śrubę pańszczyźny, przywracając „złote czasy Katarzyny”. A choć czynszowy chłop, wysyłany do miasta na zarobki, wybijał się tam często na przedsiębiorczego kupca milionera, który mógłby kupić trzykrotnie swego pana wraz z majątkiem — pozostawał jednak nadal jego prywatną własnością. Ta nadzwyczaj ciekawa warstwa „krepostnych bogaczy”, to krzyżący bezsens, objaw obumierania ustroju.

Głęboki kryzys rolny 20-u lat, wywołany przez zniżkę ceny na światowym rynku, namacalnie dowodził „posiadaczom dusz” przez rujnącą dużych i małych fortun,

że w wieku przemysłowego przewrotu i narodzin parowego młyna nie uda się bezkarnie galwanizować systemu gospodarczego, odpowiadającego czasom wiatraka.

Puszkina wnikliwie notował objawy obumierania swego środowiska: zabite deskami drzwi pałaców, porośnię trawą dziedzińce, sztyd krawiecki bezceremonialnie przybity do złoconego herbu. Poeta nie oplakiwał mijającej świetności, lecz z obiektywizmem godnym swego pokolenia zauważał objawy nowego życia: „bogacące się kupiectwo osiedla się w apartamentach opuszczonych przez szlachtę”.

Podczas gdy „koczujący despota” uszczęśliwiał Europę świętym przymierzem, a Polskę ułomną konstytucją — pełnomocnik jego dla spraw krajowych, żołdak Arakcejew, leczyl Rosję z ciężkiego gospodarczego kryzysu z głębokiego fermentu we wszystkich warstwach, z „niebezpiecznego liberalizmu” — nową formą katogę chłopskiej „wojskowymi osiedlami”, kijami, cenzurą i klerikalizmem. Środki te nie skutkowały. Przywrócenie obszarnikom prawa zsyłania chłopów na Sybir z czasów „dobrotliwej” Elżbiety nie mogło zażegnać powstań chłopskich w szeregu guberni. W kraju gór o zaklętych bogactwach, w kraju ponurych legend o zatopionych pańszczyźnianych górnikach — na Uralu — pańszczyźniany robotnicy raz po raz zbrojną ręką zagarniali fabryki i miesiącami toczyli zaciekłe bitwy z carskimi garnizonami. Zresztą wobec buntów w gwardii carskiej niezbyt przejmowano się Uralem. I nawet wśród zazwyczaj potulnego i wiernego kupiectwa teraz, na skutek historycznej polityki celnej udawało się carskim szpiclom słyszeć życzenia, aby car „co tylko podróżuje, wydając ogromne sumy... poszukał sobie korony gdzie indziej, jeśli ojczyzna mu taka niemila”.

Najróżniejsze formy nieświadomej żywiołowej opozycji społecznej, które nurtowały masy chłopskie, wyrobnicze, rodzące się mieszczaństwo, znalazły swój najwyższy ideologiczny wyraz, swój wyraz polityczny — w ruchu dekabrystów.

Polityczny język dekabrystów, arsenał sprzeciwianych republikańskich żądań zdawał się być czymś zupełnie odrębnym od walczącego chłopskiego żywiołu, który pod kartaczami wołał o litość do „dobrego cara batuszki”. I tym niemniej właśnie ten żywiołowy, mglisty jeszcze pęd społeczeństwa ku przemianom burżuazyjnym, niosącym chłopstwu wolność i własność, wyrażali w pięknych wierszach Rylejew i swą logiczną i jasną prozą Pestel.

Dekabryści byli skomplikowanym wykwitem sprzeczności społecznych. Ruch dekabrystów powstał na tle upadku fortun wielkopańskich, był reakcją na skarłowacenie „świata” i masową rujnącą średnich i drobnych „pomieszczyków”. Tych ostatnich, władców kilkudziesięciu lub kilkuset „dusz” chłopskich, prototypów bohaterów Gogoła, kryzys najdotkliwiej uczył konieczności dziejowej. Wśród dekabrystów widzimy przeważnie młodzież z tego środowiska. Złożoność procesu historycznego ujawniła się w paradoksie, że właśnie synowie najbardziej przeżyte, dziejowo niszczonej warstwy, wyrazili śmiało sprzeciwową myślą i rewolucyjnym czynem głuche jeszcze kroki kapitalizmu, byli jego najbardziej postępowym zwiastunem.

Ojcowie męczyli chłopów pańszczyzną, sprzedawali karety, oszczędzali na cukrze i wołali „pieniędzy”. Synowie wrogo i szyderczo przyglądali się życiu ojców. Całe pokolenie było opozycyjne. Portret tego pokolenia — to Czacki w „Gore od uma” Grybojedowa. Najśmielsi dążyli do zniesienia podstaw życia ojców z jego nędzą moralną i materialną, z jego ułomnościami. Synów i ojców dzieliło tylko jedno pokolenie, ale leżała między nimi przepaść. Co prawda, jak powszechnie wiadomo, ojcowie za Katarzyny zabawiali się Wolterem i Monteskiuszem. Czytali też dla rozrywki fizjokratów z upodobaniem widząc siebie w oświeconym rolniku.

Młodzież też czytała fizjokratów ale już inaczej, tak jak za czasów ojców, czyta-

li u nas Staszyc, a w Rosji jedyny w swojej epoce — Radiszczew.

Młodzież ta wychowywała się w liberalnym carsko-sielskim liceum (kaprys z liberalnych czasów Aleksandra), w atmosferze niejasnych ale porywających wolnościowych projektów Sperańskiego. Dzieciakami będąc, zaczytywali się po nocach Wolterem i Russem. We śnie tłumaczył im te książki na język Wielkiej Rewolucji fanatyczny staruszek, nauczyciel francuskiego — rodzony brat Marata, kaprysem losu przerzucony do Rosji. Potem ujrzeni chłopską Rosję z widłami w ręku. Z książek i z życia nauczyli się patrzeć na nędzę i mrok swego kraju oczyma rewolucyjnej Europy. Stojąc na gruncie burżuazyjnego humanizmu, kłęskę rodzimego szlacheckiego gniazda — odczuwali jako przejaw katastrofy społecznej, jako odwrotną stronę tragedii, o wiele bardziej wstrząsającej — tragedii chłopstwa. Więc u tychże fizjokratów szukali i znajdowali poparcie dla swych dążeń ku zniesieniu poddaństwa. Z drugiej strony w suchych, pozbawionych frazesu argumentach doktora Ouesney i jego uczniów widzieli jedyną drogę ratunku dla gospodarki szlacheckiej — drogę jej kapitalizacji.

Jednych poruszała kwestia sprawiedliwości dziejowej dla chłopów, drudzy zastanawiali się nad kompromisowymi koncepcjami gospodarczymi i politycznymi.

Z rozwojem i dojrzewaniem życia konspiracyjnego (które datowało się od 1816 r.) wśród spiskowców zarysowywały się coraz wyraźniej dwa ideologiczne i polityczne odcienie. Toteż powstały dwa, luźno związane, ośrodki rewolucyjne — „Tow. Północne” w Petersburgu i „Tow. Południowe” na Ukrainie. W Petersburgu, w kółku Sergiusza Trubeckiego, Mikołaja Turgieniewa i innych, rozważano, jak oswobodzić chłopstwo przy zachowaniu i unowocześnieniu obszarniczej gospodarki. Dyskutowano o projekcie konstytucji Nikity Murawiewa. Było tam bezwzględne żądanie obalenia caratu (istniały z początku iluzje, że można to urzeczywistnić drogą „nacisku opinii społecznej na cara”). Poza tym łagodny reformatorski projekt konstytucyjnej monarchii z dwuizbowym parlamentem i wysokim cenzusem wyborczym, zdradzał wzorowanie się na konstytucji angielskiej, — tym stałym ideale ludzi dających do społecznych kompromisów między feudalną przeszłością a kapitalizmem. Chłopom chcieli dać wolność, ale co do ziemi, to stało jasno w tym projekcie: ziemia obszarniczo pozostaje przy nich. Szlachetni rewolucjonści „północni”, pełni wielkich chęci dla dobra ludu, nie podejrzewali, że stworzyli przyczynek do politycznego programu późniejszego rosyjskiego liberalizmu. Ten program rosyjskiego żyronidysmu — jeśli użyjemy nieobowiązuje analogii historycznej — wywoływał ostrą krytykę ze strony „południowego towarzystwa”.

Tu działali bracia Murawiewy-Apostolowie. Bestużew-Rumin. Tu działał człowiek bezsprzecznie najwybitniejszy wśród dekabrystów i najciekawszy dla badacza, wódz z prawdziwego zdrażenia — człowiek o żelaznej woli i śmiałym otwartym umyśle, o rozmachu i temperamencie godnym prawdziwej rewolucji — 30-letni, jak zresztą całe pokolenie dekabrystów, Pestel. Był to człowiek jakobińskiego pokroju. Był duszą organizacji. U niego w pulkowej kwaterze mieścił się sztab i mózg stowarzyszenia. Co roku na zjazdach z okazji jarmarków kijowskich, omawiano konstytucyjny projekt Pestla t.zw. „Ruska-ja Prawda”. Po aresztowaniu Pestel najbardziej obawiał się, że odnajdą jego „Prawdę” zakopaną w ziemi. Rzeczywiście znaleziono ją. „Prawda” przetrwała swym rewolucyjnym demokratyzmem cara i jego kłewretów i była bezpośrednią przyczyną zguby Pestla.

W dokumencie tym przede wszystkim uderza bijący z jego wierszy odblask Wielkiej Francuskiej Rewolucji. Nie przypadkowo, jeszcze w 1818 r. na jednym z tajnych zebrań, Pestel mówił „o szczęściu Francji pod kierownictwem Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego!” Jak Hegel w swoim czasie, Pestel z towarzyszami odkryli dla siebie we Francuskiej rewolucji królestwo wolności, akt odrodzenia lud-

kości. Szukając formy dla wyrażenia swych demokratycznych dążeń, znaleźli tę formę w republice, która ku zgrozie koronowanej Europy rządziła Francją za czasów konwentu. Pestel w odróżnieniu od swych petersburskich przyjaciół uważał że dla obalenia caratu konieczną jest bezlitosna rewolucja. Nie wahał się żądać usmiercenia rodziny carskiej.

Gdy Pestel namiętnie wypowiada się przeciwko „wstrętnemu przywilejowi władania innymi ludźmi” uderza pokrewieństwo jego myśli z książką Radiszczewa „Podróż z Petersburga do Moskwy”, która ukazawszy się przed 35-ciu laty, była głosem samotnie wołającym w pustyni. Oto obok zachodnich wpływów ujawnia się w dekabryzmie żyjąca w nim ciągłość postępowej myśli rosyjskiej. A ponadto Staszyc i Radiszczew nic nie wiedzieli o sobie chociaż „Podróż z Petersburga do Moskwy” wyszła w tym samym roku co i „Przestrogi dla Polski”. Ale jak zdumiewająco podobne są idee i dowody przeciwko poddaństwu tych dwóch wybitnych przedstawicieli wschodnio-europejskiego oświecenia! Jak pokrewne były idee, tak samo podobna była ich historyczna żywotność. Bo, jeśli po latach w dekabrystach dawały bogaty plon myśli rzucone przez Radiszczewa, to przecież wyraźne echo staszycowskie słyszemy w mowach Szanławskiego, w całym obozie demokratycznym z powstania listopadowego.

Wracając do Pestla trzeba zaznaczyć, że stał on wyraźnie na gruncie przekazania przeważnej części ziemi obszarniczej chłopom bez wykupu. I to właśnie najczęściej przemawia na jego korzyść, to każe w nim widzieć postępowego demokrate.

Chciał Pestel zrównać chłopca we wszystkich prawach ludzkich z panem, z obszarnikiem. Chciał prawa polityczne nadać wszystkim ludziom bez różnicy posiadania. W powszechnych i równych wyborach naród miał wyłonić jednoizbowy parlament — „wiece ludowe”. Władzom rewolucyjnym chciał przyznać prawo stosowania ostrych i bezwzględnych środków przeciwko wszystkim zwolennikom starego ustroju. Widział ich przede wszystkim w „szlachcie, skostniałej w swych poglądach”. W ten sposób szlachcic Pestel stał na gruncie konsekwentnego demokratycznego wtargnięcia nie tylko w stosunki polityczne ale i w stosunki ekonomiczne. Demokratyzacja ekonomiczna i społeczna miała być podbudową republiki. Ta radykalniejsza dla owego czasu pozycja warunkowała konsekwentnie rozwiązanie również i takiej piekającej i drastycznej sprawy, jak sprawa Polski. Pestel o całe 50-lecie przed Hercenem, chciał widzieć w Polsce, po rewolucji demokratycznej, po zniesieniu poddaństwa, niezależną republikę — sojuszniczkę wolnej Rosji. Nie były to tylko słowa. Były stosunki „z Towarzystwem Demokratycznym”, z Łukasińskim. Są wiadomości o sprzysiężeniu dla wspólnej walki z caratem. Już wtedy działał „sprawdzian Polski” dla społeczeństwa rosyjskiego. Nieprzypadkowo w środowisku przyszłych dekabrystów znalazł Mickiewicz swych „przyjaciół Moskali”.

Latem 1825 r. nawiązano kontakt z bratnią tajną organizacją „Tow. Zjednoczonych Słowian”. Rej tu wodzili polscy rewolucjonści. W konspiracji, w codziennym niebezpieczeństwie istniało już i żyło braterstwo broni „za naszą i waszą wolność” jeszcze zanim zrodziło się to hasło.

Z południa promieniował na Petersburg republikanizm i rewolucyjny zapał Pestla. W 1820 r. w Petersburgu Pestel zapalił wszystkich swoją mową w obronie republiki, nawet umiarkowany, zawsze chłodny Turgieniew krzyknął: „Prezydenta bez dalszego gadania!” Tu w Petersburgu zapaloną zwoleńnikiem rewolucyjnego programu był poeta Rylejew, przyjaciel Polski i wielbiciel naszej poezji. Jego śmiałe wiersze oraz znakomite „Wolność”, „Do Czadajewa” i „Noel” Puszkina, recytowane na tajnych zebraniach, rozchodziły się w tysiącach odpisów.

Zwyciężyło dążenie do powstania zbrojnego. Ale jak walczyć? Jakim orężem? Szablą czy siekierą? Pytanie takie zgola nie powstawało.

Lud władający siekierą był dla dekabrystów wielką świętością, ale i wielką abstrakcją. Chciano dla ludu wywalczyć republikę, chciano dla niego życie oddać w ofierze, ale bano się powoływać go do

aktywnej rewolucyjnej walki. 1812 rok wstrząsnął dekabrystami ale nie podpowiedział im, jak będzie walczył o swoją wolność naród rosyjski.

Oczywiście zawsze byli zwróceniem na zachód. Tam znajdowali światopogląd odpowiadający ich burżuazyjnym dążeniom — tam szukali wzorów ustrojowych, tam też chcieli zapożyczyć broń. To co im dawało dojrzałą formę teoretyczną, było przyczyną ich nieudolności praktycznej. Bardziej niż na wiadomości o powstaniach chłopskich w swoich rodzimych stronach byli wrażliwi na wieści o rewolucji hiszpańskiej. Rewolucja hiszpańska w nieściślejszych relacjach zatrzymała wszystkie cechy ludowe. Zamach wojskowy tym gorącym głowom, pragnącym czynu wydawał się idealną formą rewolucji. W listach dekabrystów z owego czasu czytamy: „wczoraj otrzymaliśmy wiadomość, że król hiszpański ogłosił konstytucję koronistów. Sława ci mężna armio hiszpańska!”

Śluszną wzorowania się na Hiszpanii jak gdyby potwierdzało głośne powstanie pułku Siemienowskiego — gwardii carskiej. Nie był to przecież byle jaki pułk. Jego żołnierze stali na warcie w noc zabójstwa Pawła. Oni wprowadzili Aleksandra na tron. I ci teraz przynieśli „taką rewolucję, że niech się schowa hiszpańska”.

Lecz nie było zgody wśród spiskowców w pojmowaniu „wojennej rewolucji”. Dla angliofila Turgieniewa, dla powolnego Trubieckiego miał to być tylko zbrojny nacisk na cara, aby wymógł na nim konstytucję. Dla Pestla miał to być początek nieubłaganej krwawej walki o republikę. Nagła śmierć Aleksandra, zamieszanie w sferach rządzących, kolejne wyrzucanie się tronu przez następców, wszystko to pokrzyżowało plany powstańców. Zdecydowano wystąpić natychmiast, pół roku przed terminem.

Przy zaznajamianiu się z historią dekabrystów towarzyszy nam stale poczucie głębokiego tragizmu ich losu. Lenin trafnie i głęboko wyraził treść tego tragizmu w słowach: „Dekabryści byli straszliwie samotni, straszliwie dalecy od ludu”. Czując tę samotność mówili o sobie w przededniu powstania, jak skazańcy. Przy tak wnym nieprzygotowaniu do walki wobec braku perspektywy zwycięstwa Bestuzew w rozpacz przemawiał za powstaniem mówiąc, „że jeśli zginie to w historii o nas stronie napiszą”.

Toteż gdy pochmurnym rankiem 14 grudnia 1825 wyprowadzili na plac senacki tysiące oddanych sobie żołnierzy — szli raczej umierać niż zwyciężać. To od początku zaważyło na losach powstania, to spowodowało, zawsze i wszędzie fatalną taktykę wyczekiwania na polu walki. Nie mieli rewolucyjnego rozmachu Pestla. Prawdziwy wódz złapany i spętany cierpiał katuzę bezczynności. Nie rozumieł w takiej sytuacji, że „defensywa upodabnia się do śmierci”. Przeciwwstawili milczący czworobok wojsk powstańczych zbrojnym siłom całego cesarstwa. Lecz nie uderzali na wroga... czekali, czekali, pomimo że widzieli popłoch w świątyni carskiej (później car dziwił się, „że nas wtedy nie zastrzelili”), pomimo, że tłumy wokół placu solidaryzowały się z nimi bombardując cara drwami, a żołnierze ze strony carskiej wołali: Trzymajcie się, przejdziemy do was”. Lecz w przeciagu całego dnia rewolucyjny czworobok nie drgnął. W milczeniu czekał. Na co? Dlaczego?

Spiskowcy bezczynnie czekali na swoją zgonę nie tylko dlatego, że zdradził Trubiecki, że nie zdążyli przeszkodzić przysiędze senatu itd. „Czekanie” miało głębsze przyczyny. Było owocem owej fatalnej taktyki „nacisku na cara”, taktyki Północnego towarzysstwa. „Czekanie” było rezultatem tego, że nie poczuli się do roli awangardy wielkiej rewolucyjnej ofensywy, świadomej nieprzebranych i rosnących rezerw społecznych. Realistyczny rewolucyjny optymizm, entuzjazm natarcia, nie rodzi się z próżni, lecz z realnej przewagi sił rewolucji nad siłami reakcji. Dlatego dekabryści nie powtórzyli klasycznego okrzyku swego ulubionego bohatera „śmiałość, śmiałość i jeszcze raz śmiałość”. Był on za to powtórzony przez Lenina, bez mała o stulecie później, w przededniu wielkiej ludowej rewolucji.

Jednakże ci romantycy i marzyciele reprezentowali najbardziej realny i trzeźwy program — nieuniknioną przyszłość swej ojczyzny. W ich osobach przyszła burżu-

azyjna demokratyczna Rosja stanęła do walki z feudalną reakcją. Niestety, była ona zbyt słabą jeszcze aby „lont zapalony przyłożyć”. Słowacki oddając w „Fantazym” mękę sumienia rewolucjonisty, zobrazował fatalny i charakterystyczny paraliż czynu powstańczego, który nie przyłożył lontu do armaty wycelowanej w cara. Tak z „lontem zapalonym” stali powstańcy do wieczora 14 grudnia, aż do chwili, gdy car posłał w żywy czworobok lawinę karcacy.

Ze społeczeństwa wyrwano kwiat narodu — pokolenie 30-letnich. Mikołaj zgładził ówczesną inteligencję rosyjską, tych, co reprezentowali postęp narodu i jego przyszłość. Tysiące szło na Sybir — poeci, myśliciele, bohaterowie wojny wyzwolenczej. Pestel, Rylejew i pięciu najlepszych — zawisło na szubienicy.

Pokolenie całe, cała myśląca Rosja żyła w cieniu szubienic.

Puszkina, wywołany nagle do pałacu cara z domowego zesłania i zapytany przezeń, co robiłby, gdyby był 14-go grudnia w Petersburgu, sucho odrzekł „byłbym na senackim placu”. Największy poeta wyraził opinię społeczną. Milcząco wyraził ją również tysiące kobiet, które wbrew woli cara podągnęły na Sybir za swoimi mężami. Pokolenie całe, cała myśląca Rosja żyła w cieniu szubienic. Po 10-ciu latach tragiczną epokę podsumował Czadajew w swych „Listach do pani X”.

Członek tajnych organizacji, druh spiskowców — Czadajew rozłączył się z nimi w 1823 r. aby po 3-ach latach barwnych i bogatych, po latach studiów rozmyślań i podróży wrócić w 1826 do ojczyzny pogrążonej w żalobie i przybitę reakcją. Klamka zapadła za młodym filozofem. A bliscy, przyjaciele... „Inych już niet, a tie dalecz...” jak mówił Puszkina. Po latach ponurego skupienia Czadajew wybuchnął w „Listach”. Były one spotęgowanym wyrazem społecznego przynębnienia. Czadajew poddawał w nich bezlitosnej analizie przeszłość Rosji, demaskował Rosję ówczesną. Złamany, pogrążony w ponury mistycyzm, zaprzeczał swej ojczyźnie przyszłości.

„Gore ot uma” nie tak chyba nie wstrząsnęło społeczeństwem jak „Listy Czadajewa”.

Nieustraszone oskarżyciel, co za Pestla, za Rylejewa obwiniał Rosję Mikołajowską, dostał się za kratki domu wariatów. Lecz „Listy” zrobiły swoje. Były głosem dekabrystów do ich spadkobierców. „Dzieci dekabrystów” rodmuchują iskry rzuconą przez strażników, obalili pesymizm Czadajewa, budowały przyszłość kraju. Przejeli oni najistotniejsze, najżywośniejsze ziarno dekabryzmu — jego konsekwentny republikańizm na wzór jakobinów. Republika zadeklarowana przez dekabrystów na senackim placu, pomyślana jako uwieńczenie głębokiego przewrotu społecznego a przede wszystkim agrarnego, stanowiła najtrwalszy spadek po tych, co jak mówił Hercen „wyszli światu na wierną zgonę, aby obudzić dla nowego życia nowe pokolenie, aby oczyścić dzieci zrodzone w środowisku oprawstwa i służalczości”.

Jak żaden istotny ruch społeczny nie może być przyniesiony obcym wiatrem, tak i ruch dekabrystów był ruchem głęboko rosyjskim, głęboko patriotycznym a właśnie dlatego zapładniał on pokolenia. Na pamięć dekabrystów przysięgali podrastający Hercen i Ogariew w pamiętny dzień jesienny na górach Worobiowych pod Moskwą. Niekrasow najbardziej wstrząsa i wzrusza w swych „rosyjskich kobietach”, gdzie opiewa dolę żon dekabrystów. Nad wierszami Rylejewa płakał Czernyszewski na katorze. I Lenin, przedstawiciel innego okresu i innego ruchu chylił czoło przed romantykami burżuazyjnej rewolucji. Przesłane z Syberii słowa poety dekabrysty — „Z iskry rozpal się płomień” — po 70 latach leninowska „Iskra” — trybuna nadchodzącej rewolucji demokratycznej bierze sobie za motto.

Dla Lenina, jako dla wodza ruchu, na którego barki spadł cały ciężar nieurzędywionej, zdradzonej przez mieszczaństwo demokratycznej rewolucji, dekabryści byli tymi którzy pierwsi podnieśli sztandar tej rewolucji w Rosji. Z legendy dekabrystów Lenin wydobyl właśnie to ich najistotniejsze, nieumierające ziarno — wydobyl zaniedbany, pomijany republikańizm Pestla. Właśnie Lenin przypomniał Rosji o tym, że republika po raz pierw-

szy wyłoniła się jako konieczność dziejowa, w kwaterze pułkownika Pestla w Tulczynie — aby potem odżyć w odezwach Czernyszewskiego jako cel chłopskiej rewolucji, i w „Dzwonie” Hercena, jako przyszły plan zjednoczonych wysiłków rosyjskiej i polskiej demokracji. Rzucana przez Pestla jako groźba w twarz carowi nabrała istotnie groźnej wymowy w strajku powszechnym, jesienią 1905 roku, w powstaniu grudniowym tegoż roku. I w tym innym tragicznym grudniu, lat temu równo 40, dawał już życie za republikę nie kwiat szlachectwa, ale surowa gwardia robotnicza z fabrycznych moskiewskich przedmieść. Ci widzieli republikę już nie w tradycyjnych klasycznych francuskich szatach sprzed wieku, ale w radach delegatów robotniczych i żołnierskich — w „Sowietach”.

Zawsze żywotne, zawsze aktualne hasło republiki, przekazywane z pokolenia w pokolenie, reprezentowało konsekwentne dążenie narodu do demokratycznych prze-

ARTUR SANDAUER

Uwagi o Mickiewiczu

Wyobrazić sobie umysł, którego wytworem były zarazem i popularne „Ballady i romanse” i wyniosłe w swym mistrzostwie „Sonety krymskie”, bezbożna, przełożona z Woltera, „Dziewica Orleańska” i chrześcijańskie „Księgi narodu i pielgrzymstwa”, retoryczna „Zima miejska” i wyzbyte wszelkiej stylizacji „Liryki lozańskie”, romantyczne „Dziady” i klasyczny „Pan Tadeusz”, mistyczne praktyki z okresu towarzyszyzny i arcytrzeźwe artykuły z „Trybuny Ludów”; ujęć syntetycznie tę osobowość, na której ślady w swych najdalszych wędrówkach czy to w patriotyzm czy w socjalizm, w racjonalizm czy w mistycyzm równie napotykał — nie jest łatwo. Największy z wielkich podlegają ujmującym ich istotę przymiotnikom — i już ogólnie wiadomo i stwierdzono, że Goethe jest olimpijski, Heine — ironiczny, Byron demoniczny, a Słowacki — anielski. Tu jednak wszelkie przymiotniki zawiodą. Gdybyśmy nawet próbowali nazwać Mickiewicza nieuchwytnym, to i ten określnik odnadał po chwili pod zarzutem niezwyklej konkretności jego geniuszu. Można — mniej lub bardziej nieudolnie — naśladować jego dzieła. Lecz czy istnieje ogólny styl Mickiewiczowski? Jak przyroda sama, która wszystko gotowa poprzeć przykładami, wszystkiemu zdaje się przytwierdzać i zaprzeczać, bo zawiera w sobie wszystko, tak on — jedno z najdoskonalszych, jakie sobie stworzyła, zwierciadło, jeśli nawet nie ujmuje intelektem, odczuwa i potrafi oddać w niej — wszystko. Jego zdolności wykonawcze przerastają nawet — podobnie jak u Balzaca — jego artystyczny zamiar. „Pan Tadeusz” — czymże miał być w ujęciu własnego twórcy? Idyllą. Oto jak Mickiewicz określa jego temat:

Kraj lat dziecińczy! On zawsze zostanie Święty i czysty, jak pierwsze kochanie, Niezaburzony błędów przypomnieniem, Niepodkopany nadziei złudzeniem, Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Sklonni jesteśmy przypuszczać, że Mickiewicz nie docenił w pełni własnego dzieła. Koncepcja jego przerasta jednostronną idealizację. Element satyry — oczywiście pogodne, oczywiście złagodzonej poetyckim wszechwybaczeniem ostatnich dwu ksiąg — góruje w pierwszych dziesięciu; i on to stanowi o prawdziwie tego nie tylko poetyckiego ale i powieściowego arcydzieła. Tak zwane wady narodowe uwypatniają się tu z nieminiejszą niż w „Weselu” ostrością. Nie mówiąc już o Telimencie ani o Hrabu, których śmieszność wynika z charakteru epoki, ani o Asesorze „raz cara, raz Napoleona wiernym słudze”, ni to szpiegu ni to komisarzu carskim na dworze Sopliców; nie badając odwrotnej strony poematu i nie poddając wątpliwości patriotyzmu sędziego, który zawzięcie procesuje się o dobra horeszowskie, otrzymane za zdradę ojczyzny z rąk Targowiczana; ani analizując sens polityczny zdania umierającego Jacka Soplicy: „gdyby został Moskałem, największe magnaty szukałyby mych względów”; coż rzec jednak o tym sędzi, dopóty nieczułym na perswazje ks. Robaka,

istoczeń, świadczyło o niezniszczalności rosyjskiej rewolucji.

Dlatego też złamana i skrwawiona na ostatniej grudniowej barykadzie 1905 r. republika wykwitła znów na sztandarach w lutym 1917 r., po to, aby po 8 miesiącach najbardziej masowej i ludowej rewolucji urzeczywistnić się nareszcie w nowej i nieoczekiwanej dla świata formie — republiki sowietów.

Świat mieszczański zawsze wierzący w niezmienną starą form życia i starej treści pojęć, był znów zaskoczony i zaniepokojony, jak wtedy, gdy patriotyczni robotnicy Parwza wskrzesili komunę wielkiej rewolucji w swej Innej już, socjalistycznej przysiężonej komunie w 1871 r.

I w 1917 r., 92 lata po powstaniu dekabrystów, spełniły się słowa Puszkina, które kiedyś w najszlachetniejszym swym okresie pisał do Czadajewa „Rosja co wstanie ze snu napisze kiedyś nasze imiona na gruzach samowładstwa”.

Celina Bobińska

namawiającego go do zgody z hrabią, póki ksiądz nie podnieci w nim rolowej ambicji: o sędzi, który swe plany powstancze zamyka wspaniałym „jakoś to będzie”?

Gdybyśmy my — mówi Robak — nabrawszy Moskwie ha-mat, znaków, Zwycięzcy, szli powitać wybawców rodaków? Ciągniemy! Napoleon, widząc nasze lance, Pyta: co to za wojsko? My krzyczymy: Powstańce. Najjaśniejszy Cesarzu, Litwa ochotnicy!

Pyta: Pod czyją wodzą? — Sędzięgo Soplicy!... A na to Sędzia: „Mniejsza o ludzkie gadanie, Nigdy nie dbałem bardzo o pochwały świata!... Szabel nam nie zabraknie: szlachta na koń wsiedzie, Ja z synowcem na czele, i — jakoś to będzie!”

Coż mówić o zebranej w karczmie Jan-kla szlachcie zagrodowej, której rozpiętną myśl, przeskakującą od tabaki do sporu o sterszeństwo rodów i od oburzenia na konfliktujących skarbce częstochowski Francuzów do nagłego wzruszenia pryncipiem Dąbrowskiego, ks. Robak na próżno usiłuje skierować na bardziej realne i patriotyczne tory? Słowa jego na-za-jutrz na sejmiku w Dobzynie interpretuje ona jako wezwanie do zajazdu na Soplicowo.

W uwagach tych nie ma zresztą nic nowego; każdy wie — a Maciek nad Maćkami chyba najlepiej — że poważne — póki chodziło o dobro publiczne — zastrzeżenia szlachty nikną nagle, gdy Gerwazy rzuca hasło warcholskiego najazdu:

To póki o wskrzeszeniu Polski była rada, O dobru pospolitym, głupi, u was zwada? Nie można było, głupi, ani się rozmówić, Głupi, ani porządku, ani postanowić Wodza nad wami, głupi! A niech no kto poda Osobiste urazy, głupi, u was zgoda!

„Pan Tadeusz” jest w istocie swej historią przedwczesnego powstania, które — przy najlepszych chęciach i poświęceniu uczestników — spętało na prywatnie i osobistych rozgrywkach. Szczęściem, optymistyczny autor pozwala szlachcie wyemigrować do Księstwa Warszawskiego, dworowi zaś Sopliców — dzięki wstawiennictwu Rykowa — uniknąć spalenia. Niestety, światem nie zawsze rządzą do-brotliwi poeci; i ów odroczonego pożaru, którym nie spłonęło Soplicowo, miał z podobnych psychologicznych, choć nie politycznych przyczyn wybuchnąć kiedyś w zupełnie innych rozmiarach. Same zresztą, umieszczone w roku 1812, ramy poematu strzegą czytelnika przed pesymizmem, odgradzając go od dalszych, zapewne niewesołych, losów powracających w rozsypane spod Moskwy bohaterów, Mickiewicz-realistę stworzył poemat znacząco innej różowy, niż zamierzal tęskniący za ojczyzną Mickiewicz-poeta.

A. B. DOBROWOLSKI

Co robić z Niemcami

OD AUTORA

I

Nie jestem politykiem. Jestem od bardzo dawna badaczem czynności — zwłaszcza umysłowych — człowieka, „bezzainteresowanych” zarówno jak praktycznych, więc także politycznych. Widząc — i rozumiejąc — jałowość odnośnych pseudobadań na drodze filozoficznej zarówno jak pseudonaukowej (do poziomu naprawde naukowego dorosły tutaj tylko niektóre — rzadkie — dziedziny), badam te rzeczy na drodze czysto i bardzo jeszcze pierwotnie empirycznej, przednaukowej, tylko duchem nauki przenikniętej: z pomocą zwyczajnych, przednaukowych spostrzeżeń, zwyczajnego, przednaukowego myślenia, zwyczajnej z codziennego słownika, mowy. Z wyników tych badań wyciągam konsekwencje: ogólne postulaty, wskazania, projekty. Pragnę, by zdania moje były odpowiedzialne tutaj w tym stopniu jak ogłaszane przeze mnie z dziedziny nauk przyrodniczych. Rzecz to nie łatwa; dlatego nie wiele dotąd z wyników mych ogłosiłem. Szusznosc, oddana przez rozwój wydarzeń mym twierdzeniom, publikowanym bez cenzury okupantów czasu poprzedniej wojny, daje mi pochop do zabrania głosu w sprawie tak na czasie — i tak poważnej i ważnej. Niektórych dat i cytatów nie jestem zupełnie pewny: piszę z pamięci, notatki uległy zniszczeniu.

WSTĘPNE

SFORMUŁOWANIE PROBLEMU

2

„Trzeba na zawsze Niemców unieszkodliwić!” Tak mówią, tak piszą wszyscy politycy państw zwyciężskich codziennie i wszędzie.

Ale jak to zrobić?

Są tacy, jasniej widzący, którzy widzą, że środki głoszone i postanawiane, nawet te najradykałniejsze, wcale nie są tak radykalne jakby się należało, i winnyby być — i mogłyby być — o wiele, wiele radykalniejsze.

Ale nawet takie, jakie są głoszone i postanawiane, czy będą stosowane konsekwentnie do końca, czy będą wykonane?

Stoją tu na drodze dwie główne przeszkody, które zaczęły już działać podczas wojny — po cichu i sporadycznie, a teraz zaczynają już działać coraz jawniej, coraz częściej, na coraz większą skalę.

Jedna — to ów mdły, ale uparty swą ślepotą i bezzmysłowością nie na żarty groźny *sentymalizm humanitarny*, zastępujący w społeczeństwach typowo kapitalistycznych normalne uczucia altruistyczne, co to już zaraz po tamtej wojnie dał nam się poznać, urzędowy obrońca zbrojów, lubujący się w narzucaniu na wilków baraniej skóry, w ukrywaniu ich za zasłonami: „Wszyscy jesteście grzeszni”, „Przecież to ludzie”, „Człowiek jest istotą z natury dobrą”.

Druga przeszkoda — to wszechpotężna *banda międzynarodowych macherów przemysłowo-finansowych*, mająca na swe usługi całe zastępy oplacanych polityków i całe koncerty prasy, gotowa przy sposobności, nawet gdy wojna, sprzedawać wrogom swych krajów broń, surowce i półfabrykaty, na czas tej wojny przycupnięta za parawanem „Bić Niemców!”, „Bić Japończyków!” i z okropnością wojny ciągnąca zyski niebawiały, obecnie podnosząca się chyłkiem, już weszła powe i gotowa odnowić dawne biznesy wspólne z grubymi rybami kapitalizmu niemieckiego.

Czy da się te dwie przeszkody, takie dwie przeszkody usunąć? Jak?

Potężni to dwaj sprzymierzeńcy niemieckich bandytów; podolać im, niełatwa to sprawa. Jest to zbyt oczywiste, przeraźliwie oczywiste.

Ale nawet gdyby tych przeszkód nie było, gdyby w całej pełni zastosowano te „radykalne”, nawet o wiele radykalniejsze środki, to i wtedy unieszkodliwienie Niemców było by więcej niż wątpliwe.

3

Krzyknął raz pono Karol Marks, uderzając pięścią w stół, na jednego ze swych przyjaciół:

„IGNORANCJA NIGDY NIE ZBAWIŁA LUDZKOŚCI!”

Było to może najważniejsze wśród tylu ważnych zdań, wypowiedzianych przez tego, po Montesquiesu najczęściej myślącego badacza zbiorowisk ludzkich, i jedno z najważniejszych, jakie kiedykolwiek wypowiedziały usta człowieka.

4

Dzięki całemu zespołowi czynników geograficznych i historycznych, ekspansja ludów Europy Zachodniej za Ren była słaba, kontakt z ludami tamtejszymi rzadki, stąd — *ignorancja* ich osobliwości psychicznych, społecznych i politycznych, wyrobionych przez ich położenie i dzieje. Ignorancja ta trwała aż do ostatniej wojny, niczym prócz umysłowej inercji i bezzmysłności, niedbalstwa i parafianstwa nieusprawiedliwiona, zwłaszcza, że od dawna przecież ustaliła się między krajami komunikacja codzienna i łatwa. Ta właśnie ignorancja pozwoliła wypadkom rozwijać się bez przeszkody na korzyść zbrojeckiej potęgi; ona to doprowadziła dwukrotnie do zaskoczenia nieprzygotowanej militarnie Europy, do niesłychanego w dziejach, bo proporcjonalnego do niebywałego rozwoju techniki, niszczenia ludzi i dzieł ludzkich.

Ignorancja ta, karygodna, trwa aż dotąd. Wojna za mało nauczyła ludzi. Bo doświadczenie samo — nawet wielokrotne „pałką w łeb” — nie wystarcza. Trzeba mieć oczy otwarte, dobrze przetarte, i patrzeć, trzeba mieć głowę otwartą, oczyszczoną ze śmieci przesądów, i myśleć — i nie dopiero wtedy i tylko wtedy, gdy się dostaje pałką w łeb.

Zachód Europy, oceaniczny, półwyspowy i wyspiarski, skierowany na kraje egzotyczne, patrzy na kontynentalny Wschód za Renem po dawnemu wciąż jeszcze przez okulary swych zupełnie odmiennych ustrojów politycznych i dążeń, obyczajowości i moralności, nie rozumie jego zupełnie odmienniejszej historii i lepiej zna człowieka z tzw. „Bliskiego wschodu” śródziemnomorskiego, z Afryki, z Indii angielskich i holenderskich, z Indochin, Australii, Chin, Japonii, niż swych sąsiadów ze Wschodu.

(Czy my, Polacy, geograficzno-polityczne centrum Europy, znamy ten Wschód naprawde? Czy „doświadczeni” przez Niemców więcej niż tni, znamy tych Niemców dostatecznie? Historia dała na to odpowiedź jednoznaczna).

O SPOŁECZENSTWACH
TYPU ROZBÓJNICZEGO

5

Niemcy nie stanowią osobnej w ludzkości grupy historycznej, niepodobnej do innych. Jest to jedna z grup należących do pewnej odrębnej, socjologicznie ważnej, przez socjologów dotychczas nieopisanej klasy: *klasy państw typu rozbójniczego*. Wyróżnia się jednak ta grupa od innych tejże klasy swymi cechami specyficznymi, zwłaszcza zaś spotęgowaniem do ostatniej granicy cech z innymi grupami wspólnych, nadmiar sprzężonych potwornie z wysokim poziomem naukowo-technicznym.

Pośród społeczeństw ludzkich wyróżnić należy przede wszystkim *społeczeństwa rozbójnicze*. Tą nazwą należy oznaczać w świecie ludzkim zarówno jak zwierzęcym (np. mrowiska rozbójnicze), tylko te społeczeństwa, dla których rozbój stanowi cechę nie przygodną, drugorzędą, lecz *kardynalną*, nie czasową, lecz stałą zupełnie, lub przynajmniej ze względnie krótkimi przerwami — słowem takie, dla których rozbójnictwo zbiorowe jest *stałym* procederem, stanowi cechę *charakterystyczną*.

Przykłady społeczeństw rozbójniczych, rozmaicie w swym typie wykształconych, mamy, między innymi: w starożytności — w plemieniu żydowskim, w Sparcie, w Rzymie; w czasach średniowiecznych i nowożytnych — w Złotej Hordzie, w Turcji, w Pruso-Niemcach.

Państwo typu rozbójniczego, powstaje przeważnie przez najazd, cechę *zaborczość*, w zamiarach swych zasadniczo bezgraniczna, — i związana z nią *hipertrofia państwowości*.

Jedną i drugą — w państwie rozbójniczym dostatecznie w swym typie wykształconym — objawia się:

1) W odpowiedniej *strukturze państwa*. Przede wszystkim w bezwzględny *centralizm* (wszystko od góry) — w panowaniu nad wszystkim *machiny państwowej*, despotycznej, traktującej nawet własną swą ludność jak ludność okupowaną, mogącej zresztą przybierać postać najrozmaitszą, od autokratyzmu monarchy czy dyktatora najrozmaitszego pokroju do oligarchii, lub nawet do jakiejś pseudodemokracji, które to różnice są względnie małej wagi.

Następnie w rozpętnianym *biurokratyzmie* — całej armii urzędników, dokładnie

— na wzór armii — zróżnicowanych i *shierarchizowanych*, — armii będącej ramionami i mackami centralnej machiny państwowej, dającej krajowi pożądaną przez tę *machinę* jednolitość, zniwelowanie, sięgającymi do życia codziennego ludności, do niemal wszystkich czynności jednostek i grup; armii utrzymującej pożądaną dla tej machiny z góry przepisany, *mechaniczny porządek* wśród ludności własnej i wśród ludów zabranych, ściągającej rekrutę, podatki, daniny przede wszystkim na potrzeby machiny państwowej, jej organów i wojen zaborczych.

Następnie w postawionym na pierwszym miejscu *militaryzmie*, troskliwie pielęgnowanym, czczonym, sławionym jako stałe narzędzie zaborczości.

Wreszcie w *osobliwej dyplomacji*, czuwającej nad utrzymaniem zaborów dokonanych i planującej zabory dalsze.

2) W dążności do państwowego *zniwelowania* („*zgleichszaltowania*”) wszystkiego i wszystkich, w szczególności krajów za branych (wynaradawianie, nienawiść do odrębności, nietolerancja różnic — rzeczy nieznanne jednak Rzymowi). Wszyscy i wszystko dla państwa rozbójniczego. I społeczność i jednostka i to co wszyscy robią — to wszystko dla tego państwa. Jednostka jest tylko knechtem machiny państwowej. Jak chłop pańszczyźniany był *glebae adscriptus*, tak wszyscy w państwie rozbójniczym są *machinae adscripti*. Nie masz tu obywateli, są tylko *poddani*.

3) W *jednoczesnej dążności do powszechnej hierarchizacji państwowej*. Różnice klasowe i kastowe zamienić na różnice rangi państwowej; poddanych zamienić na urzędników; zamiast inicjatywy jednostek i grup zaprowadzić posłuszne i gorliwe spełnianie rozkazów i obowiązków biurokratycznie przepisanych, — jest jeżeli nie jawnym, to ukrytym celem i idealną metą ewolucji państwa rozbójniczego.

4) W atmosferze powszechnej hipertrofii przymusu, który staje się podstawowym i uniwersalnym środkiem utrzymania narkreślonego z góry porządku. *Nakazy i zakazy* wypełniają tu życie. W państwie rozbójniczym z ludnością dostatecznie „urobioną”, każdy czuje instynktowną potrzebę otrzymywać i wypełniać rozkazy z góry i rozkazywać komuś niżej.

Ta atmosfera z zewnątrz przychodzi do wewnątrz: bat wchodzi w serce. Ten wewnętrzny bat staje się podstawą *sumienia* poddanych państwa rozbójniczego. Przymus staje się czymś dobrowolnym, w własnej woli wykonywanym: bezzmysłym, ślepym *posłuszeństwem*. Poddany staje się zaprzędanym ciałem i duszą zbrojeckiej machiny państwowej. To jest ostatnie ogniwo ewolucyjne, kwiat duchowości państwa rozbójniczego.

5) W specjalnym *wychowywaniu ludności*, w jej „urabianiu” — wszelkiego rodzaju sugestią, hipnozą, nie tylko przymusem — w *duchu państwa rozbójniczego*.

Ten duch nie tylko urabiany jest w szkole, podczas służby wojskowej i przez armię urzędników.

Myśliciele, *filozofowie* silą się usprawiedliwiać „głęboko” charakter zbrojeckiej państwa jako tworu wyższego nad wszystko, a więc ponad moralność „zwykłą”, spełniającego metafizyczną, lub mistyczną „misję dziejową”.

Poeci wysławiają rozbójnictwo państwowe i zarażają swym entuzjazmem masy.

Publicyści, popularyzatorzy rozpowszechniają w masach myśli swych filozofów i uczucia poetów.

Tak się utrwała duch państwowości zbrojeckiej, najpewniejsza jej asekuracja i najmocniejsze spoidło.

PRUSO - NIEMIECKIE PAŃSTWO
ROZBÓJNICZE

6

Wszystkie powyższe cechy wykształconego w swym typie państwa rozbójniczego w najwyższym, gdzieindziej niebywałym stopniu znajdujemy w potęgde prusko-niemieckiej.

Żadnego państwa rozbójniczego (może jeszcze tylko technicznie prymitywnego państwa Turków) historia nie była tak wybitnie, tak jaskrawo *dziejami zbrojów*. Spójrzmy: z najazdów zbrojeckich na ziemie Słowian połabskich powstaje zbrojecka *markia brandenburska*, rabująca, gnębjąca, niszcząca zabraną w niewolę ludność miejscową; na ziemie pomorskich Prusów

najeżdża zbrojecki zakon Krzyżaków, ogniem i mieczem niby szerzący wiarę Chrystusa, napadający bez przerwy na Polskę i Litwę; oba gniazda zbrojeckie łączą się w jedno: w groźną i coraz groźniejszą zbrojecką potęgę Prus, pod chytrymi, sprytnymi wodzami — kolejno księciami, królami, cesarzami — spętanią i szybko rozrosłą kosztem sąsiednich państw niemieckich, Austrii, Polski, aż pod Bismarckiem rozpętniają, zaczynając grać pierwsze skrzypce w „koncercie europejskim”, bijącą Danię, Austrię i Francję, stającą się okupantem reszty Niemiec, które — z wyjątkiem okrojonej Austrii — spajają w jedną coraz dokładniej zasymilowaną, to znaczy spruszoną, to znaczy zbrojecką całość narodową — państwową: było to już przed Hitlerem dokonane, przez Hitlera przypieczątowane *wynarodowienie Niemiec przez Prusy*. A równocześnie imperialistyczne marzenia Niemców wraz z rozdymaną ich butą, pychą, pogardą dla innych w miarę pęcznienia ich „przezieleni życiowej” połączonego ze zwycięskim współzawodnictwem gospodarczym i naukowym, doszły wreszcie do najwyższego szczytu: do zupełnie splanowanej i sprogramowanej żądzy panowania w skali światowej: *zawojowania i „organizowania” świata* — żądzy, sformułowanej już w tamtej wojnie przez słynnego ich chemika Wilhelma Ostwaldą: „Niemcy i tylko Niemcy są stworzeni do organizowania ludzkości”.

7

Przekształcenie autokracji monarchy na t zw. monarchię konstytucyjną w zasadzie nie zmieniło zbrojeckiej struktury politycznej, zbrojeckiego ducha, zbrojeckich dążeń rządzącej kliki i urabianej przez nią ludności. Podobnie, zapóźniony w porównaniu z Zachodem, pielęgnowany przez państwo kapitalizm wraz ze wszystkimi swymi konsekwencjami i swą atmosferą duchową nie zapanował nad wszechwładną machiną państwa, nie uczynił ją swym aparatem, ale przeciwnie, stał się jej narzędziem do celów państwowych - zbrojeckich; nie państwo dla kapitalizmu, jak na Zachodzie, ale kapitalizm dla państwa, dla jego dążeń zbrojeckich; rosnące bogactwo narodowe użyte zostało coraz wydatniej na cele militarne i propagandowe, a komiwojażery i emigranci stawali się z reguły pionierami wpływów niemieckich i szpiegami politycznymi. Dziecko kapitalizmu, tu również przez państwo dla państwa pielęgnowane, nauka z technika, staje się posłusznym narzędziem przygotowania wojennego (przykład jaskrawy: na 10 lat przed wojną europejską centralny organ geografów niemieckich „Petermann's Mitteilungen” potraja swą objętość przez nowy dodatek „Militärgeographie”). Podobnie wyzwolenie ruchy społeczne, przeniesione z państw czysto kapitalistycznych, przez geniusza Karola Marksa naukowione, zwyrodniały tutaj dość rychło w awangardę dążeń państwa rozbójniczego, jego nacjonalizmu wojującego i stojącego na straży nienaruszalności granic zdobycznych, i nabrały groteskowego sensu cichego ideału zbrojeckiej machiny państwowej: zapanowania nad wszystkim, więc i nad życiem gospodarczym — nic więc dziwnego, że spotkały się — w latach 80-tych zeszłego stulecia — z identycznymi projektami (wykładanymi na dworze Wilhelma II-go) „*sozialismus ex cathedra*”, wypotomniły przez cały zespół czarnosocinnych uczonych ekonomistów; nic też dziwnego, że zasłonięte „demokratyzmem” frazesem socjaldemokratyczne prawdziwe tendencje powtórzyły się później w cichych marzeniach Hitlera o upaństwowieniu kapitalizmu i kapitalistów, do czego w początkach parlo tak głośno „lewe” skrzydło zbrojeckiej bandy. Niemiecy socjaldemokracy (czytaj: pseudodemokracy) utrwalali jedność narodową i państwową, uświęcali aneksje, uczestniczyli w wojnach napastniczych, byli za hegemonią Prus i pruskim centralizmem. (Taka sprzeczność pomiędzy hasłkami werbalnymi i na pokaz wyzwoleńczymi, a rzeczywistą działalnością polityczną spowodowała *moralną słabość*, ujawnioną w haniebnej klęsce republiki Weimarskiej, zarówno jak później w równie haniebnej bezsilnej najcięższej partii wobec awanturników Hitlera, który nie potrzebował nawet ją kopnąć, by rozleciała się w nicłość).

Bardzo ciekawa jest stopniowa „ewolucja” polityczna niemieckiej socjaldemokracji. Po klęsce Francji partia heroicznie protestuje przeciw aneksji Alzacji i Lotaryngii, ale już w ćwierć stulecia potem zaczyna bronić całości państwa rozbójniczego, więc już dokonanych aneksji, a Bebel —

ten sam Bebel, który wtedy „protestował” i siedział za to w kowie z towarzyszami, — bawiąc w roku 1896 w Zurychu z okazji pogrzebu wybitnego socjalisty szwajcarskiego, na zapytanie dziennikarzy, co sądzi o zaborach Alzacji i Lotaryngii, odparł, że sprawa ta jest już dawno dawiona, a na drugie pytanie, czy pozostanie w szeregi armii niemieckiej walczącej z Francuzami, odpowiedział („ze smutkiem”), że tak. Wiemy też, jak socjaldemokracja niemiecka w polityce zagranicznej szła podobnie do innych Niemców, za zbójcką bandą rządzącą, jak była się — nie gorzej od innych Niemców — z „bratnimi” socjalistami francuskimi podczas wojny europejskiej, jak nie protestowała przeciwko pogwałceniu gwarantowanej przez Niemców neutralności Belgii, a za to jak w końcu wojny protestowała przeciwko wyzwoleńcu się ziemi poznańskiej, jak później nawet „najpostępowsi” emigranci, uciekinierzy z Niemiec hitlerowskich, zabierali głos w prasie Zachodu przeciwko polskim „uroszczeniu” korytarzowym i jak „opozycja” moralnie skopanych i splutych sfer profesorskich podziwiała jednak i oceniała dodatnio geniusz Führera — tych samych sfer, w których podczas wojny europejskiej nie znalazł się ani jeden „Herr Professor”, który by odmówił żądania podpisu na podsunięty przez rząd bezczelnej deklaracji, uświęcającej kpiny z własnych solennych przyrzeczeń nienaruszenia neutralności Belgii. O czym się jednak wie mniej, to o tym, że socjaldemokracja niemiecka była stale za zniesieniem odrębności i autonomii prowincji niemieckich, co jeszcze zachowywały odrobiny i autonomii (czy to nie charakterystyczne, że „postępowe” były centralistyczne Prusy, że w Prusach Niemcach postęp łączył się z ultra-centralizmem pruskim, podstawą zbójckiej organizacji); i o tym, że w latach 80-tych zeszłego stulecia dążyli do aneksji Danii za pośrednictwem znajdującej się wówczas pod ich batutą socjaldemokracji duńskiej, która bezmyślnie stawiała w swym programie przyłączenie kraju do Niemiec, niby, że wtedy będąc „częścią potężnej partii”, partia duńska sama nabierze potęgę...; i o tym, że nikt inny tylko oni, socjaldemokraci, po wojnie europejskiej, pod hasłem jedności narodowej i państwowej, usilną agitacją zorganizowali ruch nacjonalistyczny przeciwko projektowi socjalisty belgijskiego De Brouckera, oderwania od Niemiec prowincji nadreńskich i utworzenia z nich osobnego państwa buforowego, który to projekt już zdołał zyskać sympatię pewnej części inteli-

gencji i burżuazji nadreńskiej, nie widzącej korzyści z przyłączenia do reszty Niemiec, i wzbudził tam ruch separatystyczny, przez socjaldemokratów udaremniający.

Widzimy więc, że nie te i owe warstwy czy klasy, ale cały naród niemiecki łącznie ze wszelkimi postępowcami, został już dostatecznie sprusaczony, dostatecznie w zaborczości zbójckiej, zbójckiej organizacji i ducha zbójckim wyhodowany. Cały Socjalista niemiecki pod tym względem nie różni się od kapitalisty czy junkra: jest Niemcem, co znaczy dziś: jest Prusakiem. Nawet Żydzi, co przecież od wieków średnich nacierpieli się nie mało od Niemców, a w czasach nowszych byli wciąż w pogardzie u ludności niemieckiej z wyjątkiem socjalistów — nawet oni stali się *echt* Niemcami, nawet apostołami zbójckiego nacjonalizmu: prosię przeczytać artykuły z czasów wojny europejskiej w „Berliner Tageblatt”, we „Frankfurter Zeitung”...

I o tym ludzie nie wiedzą. Falszywie odwołują „niezależni”, „niewinni” naród niemiecki od jego sfer rządowych. Nie widzą, że ludność Niemiec jest zupełnie w stylu prusackim „upaństwowiona”. A przecież coś powinni im mówić chociażby owe 98 proc. wyborców, co „przysięgli na wierność swastyce”.

Człowiekiem — nie zbójem Niemiec może się stać tylko wtedy, gdy przestanie być Niemcem, więcej: gdy będzie przeciwko Niemcom. I o tym ludzie nie wiedzą — i to nie tylko ci z Zachodu.

CO TO JEST NIEMIEC?

8

Gęste załudnienie i rozwój miast, bliskość zachodniej cywilizacji kapitalistycznej, wreszcie mrówcza pracowitość i skrzętność pozwoliły na wysoki stopień rozwoju kultury naukowej i technicznej, przemysł i handlu, co w połączeniu z hipertrofią instynktu posłuszeństwa i mechanicznego porządku, stało zaś łatwością organizowania, sprawiło, że machina państwowa z całym swym aparatem działała tu niesłychanie sprawnie. Toteż Niemiec jest wyjątkowo dokładnie przystosowany do politycznej struktury zbójckiej ojczyzny. Dla Niemca machina państwowa jest Bogiem nieomylnym, Niemiec ufa jej bezgranicznie, jest jej wiernym knechtem. Jest on naprawdę kółkiem w maszynie państwowej, dobrze nasmarowanym, nie zawodzącym. Chce być rządzony z góry; był niezadowolony w obcym ustroju „republikanckim”, narzuconym mu po wojnie europejskiej; odepchnął, gdy nastał Hitler. Jest centralistą nie tylko w rządzie, ale w najmniejszych urzędach. Biurokratyzm od dawna z urzędów przeniknął całą ludność: stał się osobliwością ich życia i duszy, stał się cechą narodową. Wszelka organizacja, nawet rodzina, ma piętno urzędu; litera przepisu, rozkazu jest ważniejsza od życia. Niemiec choruje na przerost biurokratycznej organizacyjności, wytykanej — na próżno — przez samych Niemców: Kehrłów, Goebelów, związanej z przerostem instynktu porządkowania, związaną z kolel z przerostem posłuszeństwa. Objawem tego przerostu jest skłonność do umartwiania, do zamieniania w martwy, biurokratyczny mechanizm wszytkiego co żywe, — nawet rzeczy najwewnętrzniejszych, na wet uczucia zwyrodniałego w sentymentalizm specyficznego niemieckiego, nawet sumienia pokratkowanego, ponumerowanego, poetykietowanego — do zamieniania w beznadziejnie suche i martwe spekulacje filozoficzne, mistyczne czy romantyczne, w biurokratyczne ramy przepisów i nadpisów, nakazów i zakazów, wypełniających życie codzienne, w bezduszne systemy i kodeksy, reguły i katechizmy. Zdawało się, że kto jak kto, ale apostoł socjalizmu, robotnik czy inteligent, musi być istotą żywą. Tak, tylko nie u Niemców: w 90-tych latach zeszłego stulecia oglądałem wydany przez partię katechizm — pytania i odpowiedzi, w którym, jak szpaka, uczono agitatora, co na jaką tezę czy zarzut przeciwników ma odpowiadać. Pokrewny biurokratyzmowi, militarizm również do szpiku kości przeniknął całą ludność, stał się pasją narodową, a wojna — ideałem czynu, czymś najwyższym, najświętszym; Hegel, ów urzędowy filozof państwowości pruskiej, w państwie — takim jak Prusy — widział wcielenie „Ducha” świata, a w wojnie — szczytowy jego przejaw. „Rozkaz” i „władza” są to dla Niemca słowa magiczne, odczuwane inaczej niżli gdziekolwiek indziej. Na rozkaz Niemiec zbrodniarz staje się posłusznym „dobrym”, na rozkaz „najlepszemu” Niemiec będzie katował, mordował kobiety, starców, dzieci, systematycznie i dokładnie, fachowo i naukowo, poprawnie i ściśle według przepisu. Z tym wyrabionym w stopniu absurdalnym instynktem posłuszeństwa połączona jest żądza rozkazywania rangom niższymi, pęczniejąca w brutalność, okrucieństwo, sa-

dym, nigdzie chyba nieznaną, wybuchającą w formie niewiarogodną, niewyobrażalną w stosunku do ludów okupowanych, a w życiu codziennym tworzącą najniższą w Europie obyczajowość, objawiającą się w systematycznym biciu dzieci przez rodziców, żony przez męża, uczniów przez nauczycieli i majstrów, żołnierzy przez kapralów i oficerów. Mieszkałem ongi, przed wojną europejską w Łodzi u Niemca — inteligenta, redaktora „Lodzer Zeitung”; dzieciom dostawało się prawie codziennie, żonie — przynajmniej raz na tydzień; ku godzinie 4-ej, żona z dziećmi wyglądały przez okno, pełne trwogi w jakim humorze wraca z biura groźny despotą „Vater”. W szkole niemieckiej bicie miało cały swój regulamin, zróżnicowany, sferarchizowany; kijem (berłem władcy), piórnikami, kantówką, linałami, targaniem za uszy i włosy, kopniakiem i pięścią — toć tym „pruskim nauczyciel ludowy zwyciężył pod Sedanem”! Co się działo w armii, tego rąbek pokazał nam kiedyś, w latach 80-tych zeszłego stulecia, artykuł „Neue Zeit” o sposobach karania żołnierzy; dwa przykłady wystarczą: jednemu, po całodziennym marszu forsownym, owinięto twarz w przepoczone onucze i tak kazano spać; drugiemu kazano zrobić pełny zwrot 1,885 razy (jako, że był to rok 1885-ty); gdy upadał podnoszono go, aż do końca, po czym odwieziono do szpitala, gdzie podobno zakończył swój niemiecki żywot.

Słabe posłuszeństwo i zwierzęca brutalność razem spowodowały specyficzne spódnienie. Butni, niezdolności pyszałkowi, w swej brutalności bezczelni, gdy znajdują się wobec słabszych, gdy czują za sobą siłę, więc gdy nie boją się kary, gdy wiedzą, że władza — swoja czy obca — jest po ich stronie, lub gdy po prostu są w masie, stają się uniżonymi tchórzami, gdy znajdują się wobec silniejszych, gdy czują swoją słabość, brak opiekuńczej tarczy, gdy są w pojedynkę; zwycięzcy są wściekłymi bestiami; zwyciężeni, stają się pluskami”, trafnie określa ich jeden Francuz, odpowiadając na niedawno przeprowadzoną ankietę francuskiego instytutu badania opinii publicznej. Nie rozumieją humanitarności silniejszego, litości zwycięzcy; myślą, że to oznaka słabości — więc nim pogardzają; im zaś surowiej, bezwzględniej z nimi postępuje, tym więcej go poważają i nawet przywiązują się doń jak psy.

STOSUNEK PAŃSTW HANDLARSKICH DO PAŃSTW ROZBÓJNICZYCH

9

O tym wszystkim nie wiedzą — i wiedzieć nie chcą — zwycięzcy zachodni dziś, jak nie wiedzieli — i wiedzieć nie chcieli — ćwierć stulecia temu. Nie wiedzą — i wiedzieć nie chcą — że przecież wtedy na prawdę ich ignorancja, nie zbawiła ludzi kości”, że dała się światu we znaki... I w tej ignorancji trwają uparcie. Upodobniają do siebie państwa innego typu — typu rozbójniczego, ślepe są na różnice zasadnicze — polityczne i duchowe — pomiędzy nimi a takimi Pruso-Niemcami, łapią się na lep pozorów: tej samej powierzchowności cywilizacji i słów tych samych, które jednak u nich i u tamtych zgola inne mają znaczenie: „państwowość” oznacza tam państwowość rozbójniczą, nie są tylko służącą kapitalizmowi, handlarstwu; „militaryzm” oznacza stałe narzędzie państwowego rozboju i w tym rozboju zaangażowany cały naród; „człowiek” oznacza „Niemiec”, a „Niemiec” — współrozbójnika, gotowego do współroboju; „patriotyzm” oznacza do historii rozgorzały, nieznający granic i miary swych pretensji i pychy nacjonalizm zaborczy; „demokracja” oznacza przydział przez władzę centralną pewnych funkcji państwowych jednostkom i grupom, czasami nawet przydział pewnych „swobód”, przez władzę ściśle określonych; „socjalizm” oznacza biurokratyczne regulaminowanie życia gospodarczego przez zbójcką machinę państwową; „imperializm” (tego zwłaszcza nie trzeba zapominać!) oznacza imperializm zbójcko-państwowy, ekspansję państwa dla państwa, dla spotęgowania jego machiny, pomnożenia podatków i rekruta, nawet gdy jest ekspansją pozornie czysto ekonomiczną; oznacza także przymusową asymilację kompletnej zaborów, zniszczenie ich odrębności, wynarodowienie i wcielenie, gdy kolonie państw czysto kapitalistycznych rozwijają się samorzutnie w samodzielne, odrębne narody, tworzą nowe, oryginalne czony ludzkości, dotychczas wprawdzie tylko z kolonistów kosztem upośledzonej, wyzyskiwanej i zanikającej ludności „dzikiej”, dziś jednak już z autochtonów, gwałtownie dążących do niepodległości zupełnej. Cały system nieporozumień! Nie dość tego. Mechaniczny porządek, łatwość rządzenia, potęga militarna, podobały wojenne i dyplomatyczne, wreszcie ów szczyt patriotyzmu: „Deutschland über Alles in der Welt!”, wszystko to, zwłaszcza, że połączone z wysoką kulturą naukowo-techniczną imponowało nie tylko innym państwom rozbójniczym od Niemców biorącym wzory (prawzory, jednak stworzyła Francja, genialna w dobrym i złym, w krótkim okresie autokratyzmu Ludwika) i całe doktryny filozoficzne, mistyczne i pseudonaukowe państwa rozbójniczego (prawzory stworzyła znowu ta sama Francja, częściowo państewka włoskie), ale również im, państwowym handlarzom, pa-trzącym na to z tąjona, lub nawet z głośną zazdrością, a níc z tego w lotocie nie rozumiejącym, imponowała i imponuje, dwukrotnie zwycięskim, jeszcze dziś! Co może ignorancja!

10

Ignorancja!

Naprzód i przede wszystkim zgrzeszyła tu Polska, swą uparcią niezmienną, mimo tylu doświadczeń, nieznajomością odwiecznego sąsiada, swym uparcią niezmiennym widzeniem w zbroju człowieka, na domiar swą uparcią niezmienną ultraogudowością, ultraustępliwością, ultrapacyfizmem. Myśmy to sprowadziła Krzyżaków, myśmy nie wyszła Grunwaldu do rozgromienia raz na zawsze tych zbójów, a później z bezmyślną obojętnością patrzyli na rozrost Brandenburga i zezwolili mu na przyłączenie gniazda krzyżackiego: myśmy to wyhodowali potęgę pruską na naszą zgnębioną i światła nieszczęśliwą My, którzy mogliśmy tyle razy rozdeptać tego gada na zawsze! O ile przyznajemy się do naszej zepszości, o ile uznajemy „winy” historyczne, musimy uderzyć się w pierś: nasza to wina, nasza wielka wina — jesteśmy winni — przez naszą ignorancję, przez nasze wygodnictwo — jednego z największych grzechów ludzkości, praźródła jej największych katastrof.

Po nas, dziedzictwo bezmyślnej ignorancji objął Zachód, dokładnie poszedł w nasze ślady. Z taką samą bezmyślną obojętnością przypatrywał się gwałtownemu pęcznieniu Prus, nie przejmował się pokazaną mu pięścią: zaborcem duńskim, zaborcem francuskim, ani wybuchem militeryzmu, nie przetrącał mu oczu wojna europejska, po niej znowu bezmyślnie patrzył na konspiracyjny, lecz nawet ślepy w widoczny rozrost bezmyślnie dozwolonej pobitym zbójom stutysięcznej armii drogą błyskawicznego mnożenia się kadrow nabyw polityki i naby sportów, później na zamach Hitlera, na jego kpiny z traktatów, na jego bezczelnie jawne, na cały świat trąbane, z ezatańską energią, z poświęceniem wszytkiego przygotowanie wojny (z niemałą pomocą zachodniej finansjery, zachodniego przemysłu), a po tej katastrofalnej — nie tylko dla Niemiec — wojnie, po aż nadto dokładnym świadectwie, co mogła Niemcy i do czego są zdolni, zaczyna znow to samo, z tą samą bezmyślnością, z tą samą ignorancją.

11.

To co do nas tutaj dochodzi i na co się skarżymy i czego się boimy: że anglosascy okupanci wraz z całą niemal ich prasą, jawnie, wyraźnie okazują się stronni na korzyść Niemców, na niekorzyść neutralnych, lub nawet skrzywdzonych, zdecydowani wrogowie nazizmu, nazywają siebie „przyjaciółmi nieszczęśliwego narodu niemieckiego” i zachwycają się osobą Hitlera jako „człowieka czystych rąk” (hr. Bernadotte) lub „przyjaciela i chwaly Polaki, płaczą pospół z Anglosasami i Irlandczykami nad dołą wydalonych przez nas Niemców (d'Harcourt), że Amerykanie uzbrolili 22.000 Niemców jako policjantów itd. itd. bez końca codzienne, — to są rzeczy przykre, irytujące, bez wielkiego jednak znaczenia, jako zbyt powierzchowne i zresztą tylko czasowe objawy ziemiennej ignorancji i bezmyślności z dodatkiem dwóch, podkreślonych w paragrafie I, czynników: humanitarnego sentymentalizmu i wszechpotężnej bandy międzynarodowych macherów.

Najbardziej bezsensownym wśród tych objawów jest bezwzględne uzurpowanie sobie przez Anglosasów, jedynie z tytułu zwycięzców, moralnego monopolu nie tylko okupowania Rzeczy, ale również sądzenia zbrodniczego narodu, którego nie znają i od którego najmniej ucierpieli, gdy przecież pierwsze do tego prawo mają oczywiście te kraje, które były ofiarami zbrodni Niemców i które już przez to lepiej ich znają, więcej są tu kompetentne; podkreślanie trudności technicznych w wypadku ich udziału w sądach i administracji, jest przesadą: dąlbij sobie jakąś radę z tymi trudnościami. Same sądy są w swych illogizmach groteskowo - humorystyczne objawy tępej, upartej ślepoty, zapoznającej elementarne reguły stosowności i i niestosowności: sędziowie nie widzą nie tylko tej oczywistości, że mają przed sobą nie gentlemanów, nie ludzi nawet, lecz dzikie bestie — ludzi masowo dokłniętych szaleństwem zbrodniczym i w dzikie bestie przemienionych i wcale nie oddzi-

PAWEŁ HERTZ

Szymanowski

*Nie jak zwierciadło, lecz jak lód
ballada brzegów brzask zamyka
i płaki odlatają z nut,
całując chłodną skroń muzyka.*

*Jak szekspirowski śmiech Falstaffa
śmierć błędzi mocą, nierozumna,
Palcami biegnie. Tu katafalk,
muzyki niezamknięta trumna.*

*I wiater alpejski dmie, I Grasse
we mgle przedwiosna zwolna stygnie.
I ty zastygasz. Jeszcze czas
nacisnąć klawisz, tak jak dzwignię.*

*Choć wiolin śpiewał jak noc długa,
choć trwały basy jak eskorta,
z sopranu szła stopiona fuga:
otwarte jak aorta.*

**

*Od chłodnych luster już nie umie
oderwać znużonego wzroku,
powoli chowa dni do trumien
odchodzącego zwolna roku.*

*Samotność a za oknem lato,
ostatnie, jakie zna z nazwiska,
wczesnej jesieni agitator
białym obłokiem lazur spryskał.*

*Zastuchanego, wpatrzonego
już nie oderwiesz od zwierciadła,
każe opadać białym śniegiem,
by prędzej zimy twarz pobrała.*

*I za zamkniętą okiennicą
tak odlatają on od lata,
jak ptak, szybując nad stronicą,
skrzydłami końce wierszy zmiata.*

*Samotność, lustra, książeczki, śniegi
i gorzkich lat późna nauka...
I ja wierzyłem jak Oniegin,
że czas i siebie sam oszukam.*

czalych — to tak od razu zrobić się nie da — tylko zdziżyć w dalszym ciągu, których też więc wypada traktować jak dzikie bestie, — ale nie widzą oni i tej, większej jeszcze, logicznej oczywistości, że zbrodni masowych, ryczałtowych, jakościowo i ilościowo niebywałych, zbrodni w skali światowej, nie można utożsamiać, nawet porównywać ze zbrodniami jednostek lub niewielkich grup, z *faits divers* zbrodni w Anglii, w Ameryce, w czasach pokoju, że nie można stosować tu istniejących kodeksów i zwykłych postępowań sądowych: adwokatów, sprawdzania każdej zbrodni itp., bo takie zbrodnie nie są przewidziane przez nasze kodeksy i nie dadzą się podciągnąć pod żadne ich paragrafy; że wreszcie nie podobna sądzić Niemców indywidualnie, bo cały naród był współnikiem zbrodni — nie tylko i nie tyle przez to, że czynnie, więc zbrodniczo w tych zbrodniach współdziałał, ile przez to, że *holdował zbrodniczej ideologii i zbrodniczej organizacji państwowej*: źródłem wszelkich możliwych zbrodni; że zatem sąd powinien być typu wojennego: partyjniaków, wszystkich ryczałtem, wraz z rządem powinno się zasadniczo skazać na śmierć, każdy z nich bowiem jest rozsądnikiem pewnym idei odwetu, praktycznie zaś, z powodów natury technicznej i tylko z tych powodów, różnicować karę na karę śmierci i obozy pracy, a cały naród skazać na długoletnią okupację i pozbawienie politycznej wolności, na odrębienie dających się odrobić krzywd i szkód drogą konfiskat, podatków i pracy, — na infamie wreszcie w postaci uroczystego ogłoszenia Niemców za naród zbrodniarzy. To są już sprawy ważniejsze, niż tamte codzienne; jednak nie tu jeszcze leży sedno kwestii.

12

Żadne okupacje, żadne ograniczenia, żadne „kary” nie będą mocne przeszkodzić Niemcom w krótkim czasie dźwignąć się materialnie, ani wystarczą do ich „poprawy” — przeobrażenia zbrojów na ludzi i zniszczenia w nich żądz odwetowych, gdy nawet abstrahujemy z okoliczności wysoce im sprzyjających: z owych dwóch, podkreślanych wyżej czynników: sentymentalizmu zachodnich zwycięzców i międzynarodowej finansjery — no i z tego niezawodnego w społeczeństwach zwycięzców, a nie rozbójniczych, „prawa zapominania”: stopniowego, a dość szybkiego stygnięcia urazów i gniewów, łagodnienia stosunków, słabnięcia rygorów.

Kto bowiem i co może przeszkodzić odrodzić się narodowi, z górą dwakroć liczniejszemu od nas, któremu mimo wielkie zniszczenia zostało jeszcze dużo, dużo i ludzi i rzeczy (miał wszak tych rzeczy bardzo, bardzo dużo!), z tradycją, odwieczną atmosferą pracy i wysiłku, wytrwałości i wytrzymałości, fachowości i kompetencji, z ludnością poddającą się tak łatwo kierownictwu i organizacji, oszczędnie i umiejętnie gospodarującą tym co ma, gospodarczo jedną z najwydatniejszych („Jeden ekonomiczny Niemiec wart czterech ekonomicznych Polaków”), znaną ze swego zamiłowania do porządku i punktualności we wszystkim, ze swej systematyczności i sprawności, z wysoce wyrobioną techniką pracy i życia, zdolnością przystosowania się do wszelkich warunków oraz do ich wykorzystania do reszty, zdolnością upraktyczniania i handlowego wyzyskiwania pomysłów-odkryć i wynalazków — innych narodów, ze sztabem pierwszorzędnymi uczonych teoretyków i uczonych praktyków, coraz wyraźniej kierowników gospodarstwa narodu, posuwających ciągle naprzód technikę i organizację nie tylko przemysłu i handlu, którzy tę nową, a niesłychaną zdobycz ludzkości: energię atomu, potrafili na pewno wyzyskać dla podniesienia gospodarczego swej ojczyzny. Narodowi, o którego odrodzenie już dzisiaj troszczyć się, jako o rynek zbytu, przemysłowe sfery Zachodu, a już w trzecim roku tej wojny troszczyli się pryncypalnie angielskiej Partii Pracy (w swej „Deklaracji”: „aby po wojnie naród niemiecki też mógł brać udział w powszechnej szczęśliwości...”). Narodowi, który już ongi potrafił dźwignąć się z katastrofalnej wojny trzydziestoletniej, który 300 lat później na przekór trudnościom finansowym, całkowitym skupieniem się w jednym dążeniu, wyrzeczaniem się elementarnych wygod, potrafił w ciągu 8 lat zbudować straszliwą potęgę wojennego przemysłu, a przez dalsze lat 6, wciąż tę potęgę wzmacniając, utrzymywać wielomilionową armię i zapewnić tej armii w szalonym ciągłym ruchu zegarkowo uregulowany dowóz ludzi, żywności i amunicji. Taki naród ma dane odrodzenia się prędzej niż inne...

Tak samo oczywista jest dla patrzących utopijność „poprawy” światowych zbrodniarzy. Postaramy się wczuć w ich „sumienie” i zrobić ich „rachunek sumienia”. Jak po tamtej wojnie, tak i dziś — tłumio-

na ponura nienawiść i wściekłość teutońska (owa „furia teutonica” w powieściach Jana Lema) — pretensje, tak! pretensje do zwycięzców, że nie poddali się wspaniałym ich planom przebudowy Europy, że śmieli ich pobić! Poczucie wyższości nad wszystkimi, tradycyjne, wpajane od dawna i od dzieciństwa, pozornie uzasadnione rzeczowo, nie miało racji zaniknąć ani nawet osłabnąć. Wtedy szukano winnych — i znajdowano, był powód do rozterek i waśni. Dziś nie ma winnych. Winnym kłeski — przypadek: że nie wynieśli w czas bomby atomowej, gdyby nie to, byłiby wygrali. Naród niemiecki w całej swej masie jest i czuje się dziś jednolitym w swej postawie wobec kłeski i wobec zwycięzców. Hitler pozostał dla nich genialnym wodzem narodu, bóstwem. Wszak gotował dla Niemców dobro, najwyższe dobro — to przyznać musi z całego niemieckiego serca Niemiec, póki jest Niemcem. Chciał, żeby Niemcy panowali nad światem i świat organizowali, żeby każdy Niemiec opływał w dostatek i w kulturę. Był najwyższej rangi patriotą, patriotyzm budził, patriotyzmu uczył. W służbie ojczyzny oddał cały swój geniusz, aż nadto, namacalnie udowodniony błyskawicznym stworzeniem armii i wojennego przemysłu, błyskawicznym podbojem Europy, zastraszaniem i biciem Anglików, przyparciem Sowietów aż do Wolgi, aż do Kazbeka. Jego żywot czyż nie jest dziś testamentem dla każdego Niemca? „Jeszcze nie zginęliśmy, jeszcze pomścimy przegrana, gotujemy się do odwetu, odegramy się!” Czy istnieje argument, który by mógł przekonać „uczciwego” Niemca, że ma to wszystko wyrzucić na śmietnik, zamienić na ideologię zwycięzców? Nie mówiąc już o tym, że Niemiec jest wszak przekonany, że zwycięzcy prowadzili tę wojnę nie zupełnie wyłącznie z motywów ideowych, ale trochę i z ekonomicznych, — czy zwycięzcy swą ideologią mogą mu załpować? Ten mit zawojowania świata i stworzenia go po swojemu — mit, który dla Niemca ma i mieć musi atrakcję wielkości i wspaniałości, czyż zamieni on na idealik spokojnej i grzecznej roślinności w dobrobycie i szczęściu, obok innych, a może nawet pod kuratelą innych? Nawet gdy stanie się komunista, nie przestanie być Niemcem — i swe niewielkie ambicje potrafi połączyć z kolektywizmem. Wszak w początkach ruchu hitlerowskiego „lewe” jego skrzydło — jak to już podkreślił — parło wyraźnie ku przemianie kolektywistycznej, a niektórzy jego przedstawiciele oceniali dodatnio rewolucję sowiecką, jako wysoce „patriotyczną”, jeden z nich nawet ogłosił książkę o swym pobycie w Sowietach, pełną „uznania” i „sympatii”. Swoją nacjonalizm zbojczy Niemiec ma zbyt silnie ugruntowany i zakorzeniony, bez niego przestaje być Niemcem, wyrwać go — to unicestwić Niemca.

Tak więc bez użycia siły nie da się Niemców poprawić.

Ale i siłą tego się nie robi. Jeżeli byli nasi zaborcy przez półtora stulecia nie mogli dać sobie rady z nami, o połowę mniej licznymi, na trzy kawałki rozbitymi, technicznie, organizacyjnie, umysłowo stojącymi nieulechanie niżej, pozbawionymi wrogiej zaciętości zarówno jak zbyt wielkiego o sobie mniemania, skłonniymi do kompromisu, ugody; jeżeli nie mogli nas siłą przerobić na swoją modłę, — to co tu myśleć o przerabianiu siłą Niemców!

Nie zapominajmy także, że bezpośrednia przyszość Niemiec — ich młodzież, cała i silniej jeszcze, niż starsi, bezwzględnie, entuzjastycznie jest urobiona na modłę zbojczego nacjonalizmu. Nikt inny jak sam Eisenhower, tłumacząc, dlaczego według niego okupacja Niemiec ustać może dopiero za lat pięćdziesiąt (następca Eisenhowera już skraca ten termin do lat dziesięciu...), te słowa mówi o młodzieży niemieckiej: „Wystarczy spojrzeć na młodzież, przybyszącą do szkół, ażeby się utwierdzić w tym przekonaniu”.

Nie zapominajmy wreszcie, że to nie pol Hitlerem dopiero Niemcy stali się tacy, jakimi okazali się podczas tej wojny, że tylko pomnożyli oni i nasilił to, co robili już tamtej wojny z nami, gdy to udawali naszych przyjaciół, tworząc ruch niemcofilski, zachwycając Ligę Państwowości Polskiej i Klub Państwowości, pozwoleniem na otwarcie Uniwersytetu Warszawskiego i obietnicą utworzenia „niepodległego” państwa polskiego naturalnie bez Pomorza, bez Poznańskiego, bez Śląska, z Zagłębiem Dąbrowieckim pod znakiem zapłaty, no i pod swą kuratelą. Postuchajmy, co mówi o okupantach niemieckich Daszyński w październiku roku 1918: „Zrabowano wszystko: nasze lasy, nasze konie i krowy, nasze drzewo i żelazo, nasze maszyny, przemysł i handel, wszystko to zawleczono do Niemiec. Ale to jeszcze nie wszystko. Ponieważ nie mogli zrabować ziemi, więc postanowili uczynić ją bezwartościową i wywieźli z kraju do Niem-

iec 700.000 robotników jak niewolników. W najbardziej lotrowski sposób urządzano polowania na ludzi, dawano przedstawienia kinoteatru na wsi, aby ciekawą ludność napaść i wywieźć do Niemiec, aby te biedne polskie dusze, tych niewolników, odstępować temu, kto wycieńczył zapłaci”.

WNIOSKI

13

Z rozważań naszych nasuwa się jeden sposób skuteczny — jedyny — „poprawy” Niemców:

Trzeba, żeby Niemcy przestali być Niemcami. To znaczy trzeba zniszczyć tej niemieckości fundament: jedność narodo-państwową. To znaczy, trzeba zniszczyć naród i państwo. To znaczy trzeba dokonać rozbicia ziemi i ludności niemieckiej na oddzielne państwa-narody, — dostatecznie małe, aby ten środek mógł być skuteczny. Oczywiście okupacja powinna trwać czas dostatecznie długi i powinny w niej uczestniczyć prócz zwycięzców, także inne państwa, biorąc każde na siebie administrację i kontrolę pewnej liczby nowoutworzonych państwów.

Rozbicie polityczne utrudni Niemcom knowanie razem zamachów odwetowych — i tym skuteczniej, im większe będzie to rozbicie, to jest oczywiste. Rozbicie musi być dostateczne. Przykład Polski uczy nas, że polityczne rozbicie nawet niedostateczne przyczynia się do rozbicia gospodarczego, kulturalnego, obyczajowego, dążąc do wytworzenia osobnych narodów, ale nie wystarcza do zniszczenia poczucia jedności narodowej i dążeń do zjednoczenia i niepodległości.

Losy Turcji i Austrii uczą, że gdy państwo rozbójnicze ulegnie decydującej porażce militarnej, połączonej z terytorialnym rozbitciem, lub z bardzo daleko idącą amputacją zaborów, wtedy kurczą się jego ambicje i plany polityczne. Jednakże pomniejszona Turcja pokazała, że jest pomniejszonym wciąż jeszcze zbojem, mordując i zagładzając zaraz po wojnie europejskiej, około trzech milionów swych Ormian, a w pomniejszonej Austrii nie ustała działalność Alldeschtów.

Im mniejsze państwo, tym mniej w nim miejsca na „wielką politykę”, całe życie skupia się na dziedzinie ekonomicznej i kulturalnej. Dowodem Szwajcaria, państewka skandynawskie.

Im na więcej państwów rozbite zostaną Niemcy, tym łatwiej w każdym z nich rozwina się odrębność lokalne, więc i patriotyzm lokalny i zanikać będzie poczucie jedności z innymi.

Niemcy dopóki byli rozbici, nie zebrani, nie zjednoczeni przez Prusy, byli Niemcami Humboldtów i Gaussów, Schillerów i Goethów, Mozartów i Beethovenów, byli z Francją w kulturalnej symbiozie, po francusku pisali. Stali się tym, czym są dopiero przez zjednoczenie polityczne, poprzedzone przez ruch jedności narodowej, rozpoczęty po Napoleonie, w 30-ych — 40-ych latach zeszłego stulecia już powszechny, o którym przenikliwy Mickiewicz odezwał się pono mniej więcej w te prorocze słowa: Mnie tam „wiosna” niemiecka nie zachwyca, bo Niemiec, to jak g...: dopóki zmarznięte, można wytrzymać, ale niech tylko odtaje...

Nawet najsurowiej traktowani i kontrolowani, Niemcy się nie poprawią, dopóki będą zjednoczeni, dopóki nie będą rozbici na dostatecznie drobne części.

Odwrotnie, poprawią się — bezwiednie, niechcący — gdy zostaną dostatecznie rozbici, nawet gdy w ich traktowaniu i kontrolowaniu nie było by dość surowości i gdyby nawet ich wspierano w odrodzeniu ekonomicznym.

14

Mówi się do Niemców: wy — naród, wy — państwo. Uznaje się tym samym ich jedność narodową i państwową. Tego się im nie kwestionuje.

Jest to błąd kardynalny, najfatalniejszy skutek ignorancji. Bo właśnie to trzeba zniszczyć.

Zachowanie jedności terytorialnej i państwowej Niemiec: odbudowę centralnej władzy w Niemczech, czyli Czwartej Rzeszy, postanowił już Poczdam, a Anglosasł bardzo się o to troszczył. Podejrzewają Francuzów o konspirowanie na rzecz rozczłonkowania Niemiec przynajmniej gospodarczego, piętnując to „odstąpienie od postanowień poczdamskich” jako „samo w sobie godne pożałowania” („Times”). Widocznie Francuzom — którzy dość nacierpieli się od Niemców, żeby ich moc jako tako poznać — przychodziła do głowy myśl rozczłonkowania Niemiec — niejasna, niekonsekwentna i bardzo bojaźliwa, bo zaraz ją schowali do kosza, zapewniając, że to nieprawda, że „nie wierzą w sztuczne

twory państwowe (tak jakby Zjednoczone Pruso-Niemcy były tworem zupełnie „naturalnym”), że tylko chcą podporządkować odbudowę Czwartej Rzeszy „uprzedniemu uznaniu elementarnych gwarancji swego bezpieczeństwa: oznacza to z jednej strony stałą straż nad Renem, a z drugiej — umiędzynarodowienie Zagłębia Ruhry”, („L'Aube”, organ de Gaulle’a).

Ignorancja nigdy nie zbawiła ludzkości.

Naszym zadaniem — tę ignorancję zwalczyć. Pokazać ludzkości, czym są Niemcy — całą prawdę o Niemcach.

A. B. Dobrowolski

JULIUSZ ŻULAWSKI

List

Jarzębiny o zmroku z wysmukłego drzewa
zrywałem tam, gdzie przedtem widywało
ciebie.
Wiatt nasze dzienne sprawy po morzu roz-
wiewały,
czerwień w mych rękach gasła — i ciem-
ność szła niebem.

Tylko piasek bieleje. Znikłaś. I już wcale
śladów twoich nie mogę dostrzec. Więc
odchodzę.
By z pustymi rękoma, z niepoprawnym
żalem,
na nowo myśli zbierać — i gubić po drodze.

Te dni przeminały. Zwiedziło morze i ogłu-
chnie.
Pała odbierze gwiazdę, którą nam przy-
niosła,
gdy czasy przejdą po nas, jak wicher po
płótnie,
i popchną nasze myśli — i połamią wiosła.

Walka z aniołem

Dlaczego unosisz mnie wstecz,
gdy myślą naprzód biegnę?
Dlaczego podsuwasz mi miecz,
gdy przecież od kuli polegnę?

I jakim to czarem mi zyszasz
róże, kwitnące w twych snach,
choć znów syrena zawyła
i zgrzyta spod butów piach?

Dlaczego wywlekasz z za chmu
korowód martwych twarzy?
Patrz: my rozrywamy tu sznur,
ten znak, co nas gniotł i znieważał!

I w jakim to przestwór samotny
chciałbyś przerzucić mój cień,
choć stoję — jak stałem — u zwrotnic
i mierzę rosnący dzień?

Lecz czasu nie cołniesz już wstecz,
bo czas za myślą goni.

Za nami — sny, przed nami — rzecz,
nad którą się schylił w pokłonie.

JÓZEF STACHOWSKI

Poległym

Zamyślony na liściu chrząszcza,
ziemia głucha jak kamień
i komarów złotawy gąszcz
i ludzka pamięć.

Krople deszczu wymyły potok,
tydzień temu biły was w twarz,
rośnij trawo, murawo otocz,
poległym gwarz.

Nie słuchają śpiewania rzek
ptasiej muzyki,
którzy byli, gdzie bywał lęk
przyszłości znikąd.

Czasem turkot chłopskiego wozu
mignie jak cień,
grób wystroi w płomień i fosfor
gasnący dzień.

Zamyślony na liściu chrząszcza,
wiatrów majowych granie
i komarów złotawy gąszcz
i twarde spanie.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Obrachunki nauczycielskie (II)

Kryzys w ZNP

Smutny obraz Zjazdu Bytomskiego Z. N. P. przedstawiony w poprzednim artykule upoważnia w pełni — na tle przeszło półrocznej jawnej działalności Związku — do postawienia zagadnienia kryzysu tej instytucji.

Związek Nauczycielstwa Polskiego przeżywa głęboki kryzys i nie widać, aby się z niego podnosił. Przeciwnie — wszystko zdaje się przemawiać za pogłębieniem się depresji.

Symptomy tego groźnego dla przyszłości nauczycielstwa i szkoły zjawiska można było obserwować od kwietnia 1945, od momentu, gdy Związek zaczął podejmować jawną działalność w wyzwolonym kraju.

Nikt nie kwestionuje zasług nauczycielstwa i jego organizacji zawodowej w dziedzinie tajnej oświaty. Są one duże i pozytywne.

Tym niemniej jednak kilkunastoletni związek tajnej oświaty z niezdrowym, politycznie zakłamanym, wstecznym środowiskiem „Londynu” położył się groźnym cieniem, zaciążył na psychice i na taktyce przywódców związkowych. Okazało się, że podporządkowywanie się panom Sosnkowskim, Arciszewskim i Kaczyńskim nie uchodzi bezkarnie, nie mija bez śladu.

W pierwszych miesiącach niepodległości taktyką związku było zwlekanie. Cały trud elementów demokratycznych nauczycielstwa — musiał być zużyty na przełamwanie oporu, niechęci i postawy wycekiwania na coś, co miało dopiero przyjść.

Tego oporu w pełni nie dało się przełamać do końca. Potem już wbrew woli i świadomości stał on się nawykiem ludzi faktycznie kierujących Związkiem. Jak niegdyś obóz londyński głosił „walkę ograniczoną” — tak ci realizowali tylko „ograniczoną działalność”. Nigdy nie umieli podążyć pełnym krokiem obok budującej kraj demokracji polskiej. Nie zdobyli się na rozmach i konieczny entuzjazm, nigdy nie okazali zrozumienia dla sytuacji, w jakiej przyszło odbudowywać szkołę polską, sytuacji wymagającej nieraz wielu wyrzeczeń.

To niesłychanie trudne, oporne ruszenie z miejsca działalności Zarządu Głównego Związku — to był pierwszy symptom kryzysu. Nie oceniliśmy go trafnie.

Dobroduszość demokracji polskiej — staje się niekiedy aż karygodna.

Wydało nam się naiwne, że spowodowanie pierwszego kroku, tylko pierwszego kroku: jawnego ukonstytuowania się w ciągu aż pięciu miesięcy (od stycznia do maja) — to o niczym nie mówi. A mówiło wiele!

Potem przyszły następne, groźne symptomy kryzysu. Też niedoceniane. Mimo ostrzeżeń i głosów krytyki demokratycznych dołów nauczycielskich. Nasza wina. Bo gdy oglądamy się w tył — widzimy, że w ciągu tych siedmiu miesięcy jawnej działalności Zarząd nie podjął ożymniej, pilnej, czekającej nań pracy wychowawczej, mobilizacji mas nauczycielskich do wielkich i pilnych zadań państwowych — tak istotnych dla umocnienia fundamentów demokracji.

Trzeba nie mieć krzty poczucia dobra ogólnego, żeby nie uświadomić sobie, jakie spustoszenia oprócz bolesnych strat w ludziach, zrobił wśród nauczycielstwa sześć lat okupacji, sześć lat bez pisma, książki, kursów, konferencji, bez lektury, bez douczania się. A jednak Zarząd tej pracy nie podjął. „Głos Nauczycielski” był pustym piśmem. Piśmem, w którym demokraciom czasem wolno było przemyśleć wieści o nowej Polsce — za cenę puszczenia namiastki bezprogramowego boczania się. A w konsekwencji pismo było żadne, ani szkodliwa, ani pozytywna. O niczym nie mówiło. Do niczego nie miało stosunku. A ogół nauczycielski żył najgorszą szeptaną propagandą reakcji, żył plotkami, któ-

re wstydyż każdego rozumnego człowieka. Skutki? Tragiczna, bezmyślna „emigracja wewnętrzna” wielu spośród nauczycieli. Tym tragiczniejsza, że podjęta przez wielu uczolowych właśnie w imię walki o te sprawy, które odrodzona Polska w ciężkim trudzie realizuje. Gorycz przejmuję, gdy się o tym myśli. Ile bezmyślności, ile egoizmu, ile najgorszych nawyków politycznej, uczcijmy uszy, taktyki z pod „londyńskiego” znaku, która przetrwała u tych, uczcijmy uszy, wodzów nauczycielskich. Ludzi, którzy nawet wódząc, że bezsenssem jest kontynuować politykę „delegatury” okresu okupacji, nie potrafili zdecydowanie zająć żadnego nowego stanowiska.

Symptomów kryzysu nie wyczerpuje fakt pozostawienia nauczycielstwa na pastwę samotności i reakcyjnej plotki. Nie równie groźniejszym symptomem było zaniedbanie pracy w dziedzinie czysto zawodowej. I to nie dotyczy tylko centralnych ogniw związku. W równym stopniu obciąża wszystkie ogniwka od wojewódzkich do powiatowych, do ognisk poszczególnych. Oczywiście było by krzywdą szerokie uogólnienie tego sądu. Odrzucanie wyjątków. Owszem wyjątki były. Dało by się wyliczyć — tak samo wiele okręgów wojewódzkich (np. rzeszowski z prezesem Kolaną) jak i szeregi powiatowych, które z odkrytym czołem mogą się legitymować owocną, wyteżoną, energiczną pracą dla dobra związkowców. Ale o większości — nie da się tego powiedzieć. Było przeciwnie. To Związek karygodnie zaniedbał sprawę nauczycielską. To związkowi wodzowie faktycznie kierujący Zarz. Głównym zawiniłi boczaniem się na wszystko co jest pozytywną pracą w Polsce, zawiniłi jałowym opozycjonizmem. Niektórzy zaś wprost rachowaniem na to, że ogólne trudności gospodarcze kraju przyczynią się do daleko idących zmian po ich myśli, a więc głuپی by zwalczać te trudności na swoim nauczycielskim odoinku. A rezultat? Wszystkie naiwne rachuby zawiodły, zostało wahanie i bezplanowa płatanina. Walnie przyczyniono się natomiast do tego, by sprawa bytu nauczycielskiego nie tylko nie została zatłwiona pomyslnie ale nawet aby stanęła na jakiejś realnej drodze.

Dowodem ostatecznym i niezbitym, że charakterystyka powyższa, nie jest przesadna, był Zjazd Bytomski. Na Zjeździe tym Zarząd Główny, a raczej grupa reprezentująca jego większość wystąpiła zupełnie bez programu. Nie był bowiem programem niekrytyczny referat ideowy prezesa. Skandalem — potępionym nawet przez Zjazd, był referat ob. Horszowskiej w sprawach bytu nauczycielskiego. Pani Horszowska potrafiła tylko z patosem zaproponować wprowadzenie opłat do szkoły. A więc spróbowała po wprowadzeniu reakcyjnego nauczycielstwa do Związku, lekko przekreślić podstawowy postulat demokracji kulturalnej.

Na Zjeździe Zarząd Główny w swej kierującej większości dał żałosne widowisko.

Nie miał do zaproponowania sali. Nic prócz schlebienia masom!

Program gospodarczy Związku rzucił na los przypadku, na los chaotycznych głosów, skromnych, prowincjonalnych delegatów z natury rzeczy nie obejmujących całości problematyki ekonomicznej kraju. Jedyną próbę scharakteryzowania sytuacji gospodarczej Polski udaremniła bezmyślna niechęć zebranych. Doprawdy trudno wienżyć, a jednak tak było: uchwały Zjazdu w sprawach gospodarczych zapadały bez przedniej dyskusji, bez próby scharakteryzowania sytuacji ekonomicznej Polski. I nikt z odpowiedzialnych kierowników Związku nie próbował tego zrobić.

Kierownictwo Związku jak z tego wynika nie skorzystało z żadnego ze swoich uprawnień. Zostało nauczycielstwo pod każdym względem na łaskę losu.

Falszywość, obiektywną szkodliwość tego postępowania tak dla Związku, jak i dla ogółu nauczycieli powinien zrozumieć najromantyczniejszy z opozycjonistów. Legalnie działający Związek zawodowy jest terenem walki o byt, a nie terenem rzeczywistnienia polityki „emigracji wewnętrznej”. I wszystko jedno, czy to plynie ze świadomego zamiaru, czy z nabytych kiedys i dziś niekontrolowanych nawyków, czy wreszcie ze sztywno i niezdarne przenoszonej na teren związkowy taktyki wiadomego stronnictwa politycznego, które tak łatwo przygarnia „emigrantów wewnętrznych”.

Jakie są przyczyny tego głębokiego kryzysu? O pierwszej już mówiłem w poprzednim artykule — to zalew Związku przez obcy ideowo element, element raczej mało demokratyczny, czasem wręcz wsteczny z dawnego T.N.S.W. i Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Naucz. Ten zalew nie byłby groźny wobec ilościowego i jakościowego górowania dawnych kadrow ZNP, gdyby te kadry rozumiały niebezpieczeństwo i chciały się bronić. Otóż tak nie było i nie jest.

Większość rządząca w Związku stanowią ludzie, którzy znaleźli swą ostoję w PSL.

Nie chcę oceniać taktyki i dążeń tego stronnictwa w skali ogólnej. Wiem natomiast z pewnością, że na terenie ruchu zawodowego jest ona zdecydowanie przeciwna interesom mas. Związek zawodowy musi „po uszy” zanurzyć się w nurt pracy i walki, nie może boczyc się, kunktować, i chcieć i bać się, deklarować sentymenty dla demokracji i zwalczać ją w praktyce. Musi walczyć zdecydowanie o interesy swoich członków, być wszędzie tam, gdzie idzie demokracja polska, wnosic swój udział w pracę budownictwa i żądać sprawiedliwego udziału w świadczeniach.

Rządząca większość Związku zbyt pozostawała pod urokiem PSL, by po dyktatorsku nie narzucić Związkowi manier taktycznych tej jednej partii. Może to służy

stronnictwu. Może służy interesom, tej czy innej grupy chłopów. Na pewno szkodliwie i szkodli nauczycielstwu. Związek, który sta na się być martwy — jest złym Związkiem zawodowym.

Nowoobrona na Zjeździe Bytomskim Zarząd Główny budzi jeszcze gorsze obawy. Został tam w większości przytłaczający ci sami ludzie, którzy nie zdali egzaminu w ciągu siedmiu miesięcy. Gorzej — Zjazd był zdezorientowany, doprowadzony do rozpaczy brakiem jakiegokolwiek pozytywnego programu ze strony Zarządu Głównego, nie widząc żadnej jasno wytkniętej przed sobą drogi — Zjazd sądził, że nie ma dlań wyjścia pozytywnego. Wybrani w takiej atmosferze nowi ludzie, obciążeni są pierwotnymi grzechami nastrojów zjazdowych. Nowy Zarząd w tych warunkach nie rokuje żadnych nadziei. Oczywiście nie wykluczone jest opamiętanie się, rewizja stanowiska, kooptacja nowych członków, czy zgola reasumacja wyborów. Ale do tego trzeba świadomego nacisku zbudzonych mas nauczycielskich.

Tę aktywność mas musi zbudzić demokratyczna część nauczycielstwa. Związkowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Zapowiada to katastrofalny upadek patriotyzmu Związkowego. Dowódl tego Zjazd Bytomski oślawiona uchwałą o wykluczeniu ze Związku administracji szkolnej.

Bo zważmy: dzisiaj gdy związkowcy opowoli wszystkie stanowiska administracyjne od ministra do podinspektora, Związek ich się wyrzekł i rzucił tym samym z siebie odpowiedzialność za stan szkoły polskiej, za sytuację nauczyciela wobec jego władz.

Dzisiaj, gdy Związek cierpi na brak ludzi, gdy niewątpliwie jego najwybitniejsi działacze z prezesem na czele przeszli do administracji, Związek wyrzeka się tych ludzi. Ileż jest zacietrzewienia i egoizmu w tej decyzji. I narzucili ją machnięty w tajnym głosowaniu, przez demagogiczną szep taną agację, bo w pierwszym jawnym głosowaniu większość była za słusznym wnioskiem przyjęcia administracji szkolnej w szeregach związkowe.

Ta decyzja jest najgroźniejszym symptomem niebezpiecznego kryzysu dla umiającego myśleć i przywiązane do Związku nauczyciela.

Trzeba szukać dróg wyjścia. Demokratyczne nauczycielstwo, jedyne mające prawo do odwoływania się do tradycji ZNP musi wziąć sprawę Związku w swoje ręce.

Związkowcom muszą zacząć kierować nowi ludzie. Związek nie może być terenem politycznych harców ludzi, którzy w ciągu najcięższych i najbardziej ważkich dla naszych losów miesięcy nie potrafili znaleźć dla siebie miejsca w obecnej rzeczywistości, nie zadali sobie trudu jej zrozumienia.

Związek musi nawiązać — dotąd przez czynniki decydujące w Zarządzie Głównym zrywana — więź współpracy z robotniczym ruchem zawodowym. Związek musi nauczyć się być aktywną częścią jednolitego zawodowego ruchu mas pracujących w Polsce. Zwycięstwo nauczycielskich interesów zawodowych będzie łatwiejsze do osiągnięcia w oparciu o potężną siłę robotniczych związków zawodowych. Dotychczasowy w praktyce (wbrew przymilnym deklaracjom) stosowany przez ZNP separa tyzm jest szkodliwy i nierozumny.

Sumienna analiza bezstronnego a poinformowanego świadka mówi, że Związek przy obecnym kierownictwie:

1) jest opanowany przez ludzi, którzy nie złożyli egzaminu jako troskliwi o interesy mas i sprawni działacze zawodowi;

2) nie umie bronić się przed zalewem ideowo obcych, niedemokratycznych tendencji i wpływów;

3) nie jest zdolny do działania w dziedzinie poprawy bytu nauczycielskiego i w dziedzinie demokratyzacji polskiej polityki oświatowej, brak mu bowiem jakiegokolwiek programu i jak dowiodły ostatnie miesiące oraz Zjazd Bytomski, brak mu zdolności działania, koniecznej dla ludzi czynu pozytywnej postawy wobec rzeczywistości.

Wnioski?

Walczyć o wyrwanie Związku z rąk cisnącej się tam reakcji, o zmianę jego kierownictwa, walczyć o jasny program nauczycielski i jego realizację.

Do tego powołani są nauczyciele demokraci pragnący kontynuować te najlepsze tradycje ZNP.

ROMAN KAMIŃSKI

Piosenka o cierpieniu

*Cierpienie mroźne i czyste
odnalazło do nas przystęp.*

*Jak wietrzyk pachnący leśnie,
Jak anioł widziany we śnie.*

*Uciszył się zmysłów zamęt,
Widnokreśli śliczne. Amen.*

*Gdzie kres znaczy góra szklista
umysł rozbłyska jak kryształ.*

*Zadusić się mimo woli
Cierpieniem, które nie boli.*

1943

Słowo

*Pociski burzy gdy pękają
i ten którym nabrzmiła cisza
wybuchający jak pęk maja —
własnego słowa nie dosłyszysz.*

*A ono pragnie wśród żywiołów
ocaleć jak ostatnie drzewo;
przed wichrem nie ugiąwszy czoła
sokami ziemi w liściach śpiewać.*

*Czasom zniewagi któż z nas sprosta
by lepszym wiekiem wskazał: „Żyłem,
i chociaż mnie dosięgnął los tu,
godzina moja nie wybiła”.*

*Choć jeszcze kraje legną w gruzach
w triumfie śmierci niedorzecznym,
już we mnie cichnie światła burza
i gaśnie jęk człowieczy.*

1941

EDWARD SZUSTER

Zrzut

Przez wysrebrzony blaskiem księżycy dukt leśny posuwał się szybkim marszem wyciągnięty w długi rząd Oddział. Ciemne sylwetki chłopców to niknęły w czarnym cieniu, to wynurzały się na rozjaśnionych poświatach odcinkach drogi, migocząc stałą bronią. Marsz trwał już długo, więc kolumna posuwała się w milczeniu, tak że słychać było tylko przyspieszone oddechy sąsiadów i, od czasu do czasu, szezęk sprzętu.

— Warto by zrobić postój — zrzędził Krzemień. Poprawiał mocno już dokuczający erkaem.

— Pędzimy jak na pociąg — dyszał Piast, wyciągając długie nogi. — Takiego wściekłego marszu to już dawno nie było.

— Wiadomo. To ten Instruktor prowadzi. Przeleci tak parę kilometrów i zemdleje. I takiego przysyłają uczyć starych partyzantów — dogadywał Lew.

Od czoła Oddziału słychać było podawaną z ust do ust komendę, której sensu ze względu na odległość, nie można było jeszcze zrozumieć. Nadstawili uszu spodziewając się usłyszeć upragnione hasło postoju.

— Szybszy krok — leciały wzdłuż szeregu słowa rozkazu w towarzystwie wywołanych nimi klątw. W drużynie przyjęto je złowrobnym milczeniem.

— Te, Zbroja, powiedz no, po co my tak lecimy — pytał z hamowaną pasją Krzemień. — Przecież instruktor musiał wam coś mówić na odprawie.

— Idziemy na zrzut. — Lech, zmień no go przy erkaemie.

— Choleś. — Piast zaklął na wiadomość o celu marszu. Zapanowało milczenie. Sprawa była beznadziejna.

— No tak — godził się Lew. — Lotnik nie będzie na nas czekał i polecą z powrotem. Trzeba dymać.

I dymali jak sto diabłów. Mimo chłodnej nocy majowej pot obwiał całe ciało i sphywał strumieniem po twarzach, które w świetle księżycy polyskiwały jak odlane w brzoźnie.

Tempo marszu nie słabło ani na chwilę. Przeszedłszy las ciągnęli pełną drogą, by po pewnym czasie skręcić na jakieś zakazane miedze, z których co chwila noga osuwała się w głębokie brzozy. Była pełnia. Matowe światło księżycy, tego partyzanckiego towarzysza, wywoływało złudne wrażenie jasności, choć z odległości stępiało się krokiem nie sposób było nic dojrzeć. Wydużone cienie żołnierzy kładły się na zoraną glebę i sunęły równoległe z Oddziałem w idealnym zgraniu z ruchami chłopców.

Nad horyzontem, w kierunku, w którym posuwał się Oddział, zawiła nagle wystrzelona z dołu, lśniła, zielona gwiazda. Poświeciła przez chwilę i zgasła rozpadając się na kilka jarzących się krótko łez.

— Rakiet! — przeszedł szmer po Oddziale. — To nad Polaną — orzekł Lew. — Jeszcze tam widać siedzą.

Wiesz Polana była wczoraj widownią walki, w której Oddział zniósł do szczeru patrol żandarmerii. Wściekłość Niemców wyladowała się dziś na tej nieszczęsnej wsi, którą ekspedycja najechała i spaliła do szczeru. Wystrzelona przed chwilą rakietą dowodziła, iż żandarmi są jeszcze w terenie. A więc mieli odbierać zrzut w nienajmilszym sąsiedztwie.

Zanurzyli się znowu w las dążąc stale w kierunku, skąd niedawno błyszczała zielona gwiazda. Droga była ciężka, wiodąca przez jakieś rozlane bajorowate strumyki i strome leśne wzniesienia i spadki. Prawie z wywieszonymi językami dotarli do stojącej na leśnej polanie zająłki. Tu wreszcie dano im chwilę wytchnienia. Widocznie czekał tu ktoś na Oddział, bo kiedy Zbroja kręcił się po podwórzu, usłyszał, jak Instruktor rozmawiał z jegomościem o nieznanym głosie.

— Nie możemy iść na główne zrzutowisko, bo tam dzięki waszemu przedwczorajszemu bohaterstwu, aż się roi od Niemców. Muszę wybrać jakiś punkt na trasie nalotu i tam spróbować szczęścia. Czasu mamy niewiele i trzeba zaraz ruszać — mówił obcy.

I wkrótce znowu rozpoczął się wariacki marsz. Walili naprzód bez opamiętania wypruwając z siebie resztki sił. Trwało to nie wiadomo jak długo. Cała świadomość koncentrowała się w kierunku najsporniejszej walki z przestrzenia. Ciemne wnętrza lasu nie dawało wypoczynku oczom i droga ciągnęła się w beznadziejnej monotoni.

Zbroja ocknął się z tępego zapamiętania wpadając na poprzedzającego go Asa. Oddział zatrzymał się nad szeroką, piaszczystą drogą biegnącą skrajem lasu. Przed nimi rozciągało się szerokie pole, którego przeciwległy kraniec niknął w zamazanej światłem księżycy dali. Na niedostrzegalnym horyzoncie żarzyła się krwawa łuna nieszczęśliwej Polany. Od czoła Instruktor odprawiał poszczególne drużyny wyznaczając im zadania i stanowiska.

Zbroja i jego drużyna otrzymali zadanie osłony zrzutowiska w drugiej linii ubezpieczeń od strony Polany. Familijną grupą pomasze-

rowali na pole i tam zdecydowali zająć stanowisko pod wielką gruszą. Było się niewidocznym w jej cieniu, a jednocześnie można było bardzo wygodnie oprzeć się o pień drzewa. Krzemienowi erkaem ustawili ostentacyjnie w kierunku spodziewanego nieprzyjaciela, a sami wyciągnęli się w niskim pokrytym rosą zbożu odpoczywając po tym wariackim marszu. Po prawdzie to nie traktowali swego zadania poważnie, znając dobrze wpojony Niemcom, przez nich i przez inne Oddziały, obawę wypuszczania się nocą w teren. Lew uważał ten rozkaz za nowy dowód laicyzmu Instruktor w sprawach partyzanckich, ale tym razem nie miał powodu do narzekania. Leżał na wznak wystawiając swą grubo ciosaną i komicznie pomarszczoną gębę na srebrzyste światło księżycy. Zapadli w ciszę majowej nocy przerywaną tylko ujadaniem psów w wioskach położonych na krańcach pola. Gdzieś daleko, w stronie Polany, słychać było szum motorów samochodowych. Widocznie karna ekspedycja pakowała manatki.

Po kilku minutach skapy repertuar dźwięków nocnych wzbogacił się o nikły odgłos przypominający brzęczenie trzmiela. Piast ułożył się na łokciu.

— Leci — oznajmił z przejęciem.

— Gdzie? Longin zerwał się podniecony.

— A tam. Od strony łęgów — wskazywał kierunek Krzemień.

Dźwięk rósł, zbliżał się i wyraźniał przechodząc stopniowo w coraz lepiej słyszalne dudnienie potężnego motoru. Wzmagał się coraz szybciej potężniejąc z sekundy na sekundę. Maszyna leciała z południa kierując się prosto na ich stanowiska. Po kilku chwilach mieli wrażenie, że huczy gdzieś wysoko tuż nad ich głowami.

— Żeby tylko nie przeleciał — zatroskał się Lew.

Ze skraju pola, znad owej pod lasem biegnącej drogi, wystrzelił w górę snop światła. Zgasł i znowu pojawił się trwając dłuższą niż poprzednio chwilę. To właściciel „nieznanego głosu“ sygnalizował latającemu gościami naszą obecność. Reflektor jego migotał i słał swe światło ku wibrującemu gdzieś w zenicie głosowi. Huk motoru przewalił się nad nimi i stopniowo oddalał się w kierunku północy.

— Przeleciał, cholera! — krzyknął poruszony do żywego Lew.

— Czekaj, może zawróci — uspakajał go Piast.

Wsluchiwali się jak urzeczeni w jednostajnie rosnący i cichnący na przemian gong samo-

lotu. Dudnił gdzieś nad Polaną, ponad dogasającą, krwawą łuną zapadającą stopniowo w mrok nocy.

— Wraca — szepnął stojący przy Zbroi Piast.

— Kołuje — cieszył się Krzemień.

Warkot motoru zbliżył się znowu do nich potężniejszy niż poprzednio. Widocznie lotnik obniżył wysokość lotu.

— Zauważył nas — odetchnął z ulgą Longin.

I jeszcze raz warkot samolotu przetoczył się nad zrzutowiskiem wzmagając się coraz silniej. Nastąpił nowy nadlot. Huk maszyny wypełniał całą przestrzeń głuścąc wszystkie słyszalne dotąd odgłosy. Pomilkły po wsiach sąsiednich przerażone psy.

Nagle, na przesyconej zawiesiną księżycowego światła wysokości, zmateriałizowała się sylwetka wielkiego samolotu. Dźwięk przybrał kształt materialny, warkot stał się ciałem. Ogromny cień maszyny, wśród ogłuszających wybuchów swych ilustam cylindrów, płynął nad polana kolysząc się lekko ze skrzydła na skrzydło.

— Świeci! — wrzasnął rozgorączkowany Lew.

— Jak Boga kocham, świeci! — powtarzał zapatrzony Longin.

Lotnik dawał znać, że odnalazł cel swej wyprawy. Wykonawszy jeszcze jeden nawrót leciał nad zrzutowiskiem z niewielką stosunkowo szybkością. Czarna sylweta samolotu ostro rysowała się na mlecznosrebrzystym tle nieba wielkim, niesymetrycznym krzyżem. W pewnym momencie za cieniem ogona pojawiło się kilka opadających szybko punktów wirujących i powiększających się w miarę opadania.

— Zrzucił! — krzyknął Lech, puszczać się pędem ku środkowi zrzutowiska.

— Wróć, Lech! — zatrzymał go Zbroja. — Jeszcze ci co na łeb zleci.

Nad spadającymi płamami poczęły z przytłumionym głuchym stukiem rozwijać się meduzowate kapelusze spadochronów. Na niebie zawiśł ukośny szereg parasolowatych wahadeł opadających w łagodnych balansach i znoszonych lekkim wiatrem. Zbliżyły się ku ziemi powoli, rosnąc w oczach, aż zniknęły osiadając na polu, na moment przed zniknięciem przybierając fantastyczne, kieszkowe formy. Nad nimi pozostało opustoszałe jakoś niebo.

— Trzeba zapamiętać, gdzie opadły — przypomniał chłopcom Zbroja.

Maszyna powracała znowu rozwieszając poza sobą żyrandole spadochronów. W dominujący nad polem odgłos pracy motoru wdarł się drugi bliźniaczy dźwięk i cień drugiego samolotu przesunął się przez jasną tarczę księżycy. Wkrótce nad przyleśnymi polami odbywał się sprawni kontredans dwóch maszyn.

Grupki spadochronów lekko płynęły przez powietrze delikatnie przekazując ziemi przesyłkę z nieba. Chłopcy stali zapatrzeni i milczący. Po raz pierwszy oglądali pracę lotnika-przyjaciela.

Zrzuciwszy transportowany materiał lotnicy raz jeszcze przelecieli nad zrzutowiskiem. Niewidocznym dla siebie ludzom z ziemi oddali salut kolysząc się z skrzydła na skrzydło i poprowadzili swe srebrzące się statki prosto w pyzaty krąg księżycy. Warkot motorów słabł i niknął w dali aż wreszcie rozplynął się pochłonięty przez powracającą szybko ciszę nocną.

Wezwani gwizdkiem chłopcy dążyli na środek zrzutowiska, mijając po drodze leżące w śliskim życiu ciżbka wielkich zasobników i oklapnięte plamy sflaczonych spadochronów.

— Fajno było, nie? — zagadnął Zbroję nadciągający ze swego stanowiska As. — Jest i kilku skoczków?

— Gdzie?

— A są tam chyba na środku. Jeden wyladował koło mnie. Już, już miał walić do mnie, dobrze że mu poleł na hasło. Morowe widać chłopaki. — As był wyraźnie zadowolony.

Na zrzutowisku, obok Instruktor i jegomości o „nieznanym głosie“, stała grupka młodych ludzi ubranych w eleganckie palta, w kapeluszach na głowach.

— Co to za cywile — pytał podejrzliwie Lew stojącego przy nich Brzozę.

— Desanci — odparł zapytany.

— Ale się poubierali. W jesionki. I teczki też mają — mruczał wyraźnie zde gustowany „leśny człowiek“.

Zbroja podszedł do grupy skoczków. Jeden z nich rzucił mu się na szyję.

— Ta patrzaj, — wolał z lekkim lwowskim akcentem — w mundurze polskim cholera chodzi, jakby nic...

Przeglądali się sobie nawzajem z serdeczną ciekawością, klepali po plecach, zagadywali. Sielanek powitalna przerwała rozkazy Instruktora zaganające do roboty. Zaczęła się ciężka zrzutowa harowa: znoszenie na kupę bezlitośnie ciężkich zasobników, płatanina ze spadochronami, ładowanie całego gipsu na wozy i wreszcie konwój. Mono-tonny, wyczerpujący, nieustanny konwój trwający kilkanaście godzin. W porównaniu z tą mordega marsz na zrzut był dziecinną igraszką. Złorzeczyli, kleli, wieszali psy na kim się tylko dało folgując z mordowanym nerwem. Wiadomo, że zrzut musi być dostarczony w bezpieczne miejsce, ale i trzeba było ulżyć sobie jakoś przy tej piorunskiej robocie. Wciąż też ktoś słyszający ich wygadywania mógłby myśleć, że spełniają jakąś nienawistną sobie robotę. Nie było tak. Dumni byli, że powierzono ich Oddziałowi tak odpowiedzialne zadanie i za nic w świecie nie dąliby się zastąpić.

Fragm. z pamiętnika.

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

Przy obrabiarce granatów

List ten, mój jedyny, poświęcam Limbachowi, bo Limbach jest uroczy. Wąskie, kamiennie przeczyste uliczki coraz zbiegają się i rozbiegają w kilku kierunkach i kiedy się tego wcale nie spodziewasz, wyprowadza cię nagle w pole i to dosłownie w pole. Dony małe, wąskie, coś w rodzaju naszego Starego Miasta, czasem podobne nawet i w stylu. Niekiedy te maleństwa rozsiadają się pompatycznie wśród bezpretensjonalnej, uwiętej w ogrody uliczki i straszą ozdobami stylizowanymi to na jakiś miejscowy barok, to na renesans wykoślawiony przez zamilowanego w cudach Niemca. Ale eud się nie staje i renesans włoski nie chce zakwitnąć tu w oparach piwa limbachowskiego, tyje, dostaje brzucha, uwielokrotnia kwiaty, liście, ornamenty i staje się śmieszny lub straszny. Kiedy indziej znowu dom wyraźnie stylowo dzieli się na dwie części: niesamowicie ozdobna część dla „gości“ i prosta skromna wygodna część dla rodziny niemieckiej.

Gdzie wobec tego ten urok? — zapytasz. I w Limbachu i poza Limbachem, bo masz tu też i perełki architektury. Np. taka winiarnia na Rynku, śliczna, stylowa, staroniemiecka, konsekwentna i jednolita w stylu. Tu Gretchen powinna była maczać usteczka w winie i narzekać, że nie słodkie, tu powinna w podróży zajeżdżać i poprzez muślinowe, cienutkie firanki śledzić ukochanego, przechadzającego się pod jej oknami. Tu Hermann powinien spotkać swą Dorotheę, wiefczącą ganek winiarni latoroślą winną.

Podmurowana wysoko z dużymi głazami wznosi winiarnia swoje jedno piętro i facjatę. Dużo małych okienek z szarymi okiennicami, szary, wysoki, bardzo stromy dach z szarych kamiennych płytek. Wechodzisz po schodkach z kamienia, które nie biegną jak zwykle prostopadłe do ściany frontowej, ale równoległe szarą, łamaną linią na tle żółtopiaskowych ścian.

Co krok drzewa, co krok zieleń, tuż za miastem panorama will, lasów i pól. Okolica fa-

lista, toteż zieleń wpływa ci w oczy i znowu odpływa dalekim snem o cudach, które nikną w szarości hali fabrycznej.

Może Limbach dlatego jest tak śliczny, że jest jesień nieprawdopodobnie kolorowa. Barwy tu zaczynają się od srebra świerków, a kończą na najbardziej purpurowej purpurze chińskich róż.

W żadnym widzialnym dotąd mieście elementy urbanistyczne nie występowały w takiej harmonii, w takim dziwnie dekoracyjnym i pięknym splocie jak tutaj.

Wiesz, bo mówiłam ci o tym niejednokrotnie, jak bardzo kochałam Warszawę, a przecież bez przysmu, lecz z pełnym entuzjazmem chłonę egzotyczny dla mnie, technicy średniowieczem urok małego miasteczka. Jakże międzynarodowe, na całe szczęście, jest piękno! W tych warunkach, w jakich tu egzystuje, powinien mi zbrzydnąć świat, a przecież bardziej, niż kiedykolwiek, zapada mi w duszę głębokim ukojeniem Limbach Sa. czysty, maleńki, uwikany w kolorowe ogrody. Czy dziwisz się, czy cie gniewa mój zachwyt dla niemieckiego miasta? Nie mogę inaczej, natura jest jedna dla całego świata, piękno działa wszędzie.

Idę przez ten Limbach głodna, w letniej sukience, w letnich sandałach na nogach, nie mam na zmianę, ani bielizny, ani ubrania, ani butów. Idę zniszczona zupełnie przez wrogów i swoich. Odczuwanie piękna każdym porę skórą utwierdza mnie w przekonaniu, że żyje i że tylko śmierć zniszczy mą zdolność do uśmiechu.

Dochodzimy do starej opuszczonej fabryki. Szary, obdrapany, ohydny budynek, napis Heinrich Gottlieb Paul. Pod daszkiem na rachitycznych filarach przechodzimy do sieni ciemnej i brudnej i po takich schodach wchodzimy na górę. A oto słynny „Lager“, w którym teraz będą już żyć stał. Jak długo, kto wie? Po schodach wąskich i krętych wchodzimy do umywalni bliźniaczkich chemików, przez korytaryk i małą salkę do dużej sali, której strop wspiera kilka moc-

nych drewnianych filarów. Kilkanaście okien o szybkach drobnych, matowych przepuszcza niewiele światła, w sali niema nic prócz kilkudziesięciu drewnianych łózek. Pierwszy raz widziałam takie łóżka: drewniana rama, na dnie deski poprzeczne, prycze ustawione w piętro. Nasza szóstka zajmuje trzy pierwsze od okien, żeńka, cwaniara, zamieszkuje piętro, ja parter. Zeńka woli po oberwanu się ewentualnym niemocnym deszczółek spaść na mnie, niż odwrotnie.

W związku z wyborem prync zaczynają się kłótnie i to tak grube i ordynarne, że jestem wprost fizycznie obita wyzwiskami, wypełniającymi wielką salę od podłogi po sufit. Głodne do ostateczności czekamy długie godziny na obiad. O godzinie 6-jej wieczorem przywożą go nareszcie w męszkach, jemy źle, zmęczone, zupełnie już zimny. Nazywam go szumnie obiadem, nie wiadomo dlaczego, bo jest to poprostu zupa niesmaczna, niemiecka, gesto zaprawiona mąką.

Jutro o 7-jej rano mamy pójść do fabryki, mimo niechęci jestem ciekawa i fabryki i pracy. Jutro postaram się, jeżeli będę miała czas, opisać ci mój pierwszy dzień w fabryce.

Wanda.

Kochany!

Ranek zapowiada się źle. Nie dostajemy nic gorącego. Ani kawy, ani zupy. Zrezygnowane i zlebnięte po śnie na gołych deskach, znowu bez koców, bez uśmiechu idziemy wąską Karlstrasse pod przewodnictwem okropnie chudego i cudacko ubranego Niemca. Pięć minut drogi i jesteśmy na miejscu. Fabryka, w której ma nas pracować piętnaście, znaczy się z daleka oryginalnym kominem, nie okrągłym jak wszystkie inne, lecz w przekroju przedstawiającym kwadrat. Na samej górze, na wszystkich czterech bokach złote napisy „Saupe“. Żelazne sztachety, nitulka wacha, w głębi podwórza trzy hale fabryczne, poza nimi ogród owocowy. Na podwórzu piętra się malowniczo kolorowe opłki żelazne. Piętnastkę naszą dzieli na

partie i kierują do rozmaitych hal. We cztery idziemy na najdalszą i dostajemy się w ręce małego majstra o przystojnej, bardzo miłej twarzy. Budźmy sensację. Niemki oglądają szczegółowo moją niewątpliwie egzotyczną na tym tle suknię w kwiaty, różowy haftowany blezer, granatowe pantofle na korkach. Biegają do nas Rosjanki, które pracują tu już dwa lata i wypytują o wieści ze świata. W rozmowie tej dominuje pytanie: gdzie nasi?

Stajemy przy maszynach, których mechanizm mamy zglebić w ciągu kilku dni. Pracują na nich Niemki i Rosjanki. Maszyny te, to, niestety, nie maszyny tekstylne — jak nam powiedziano — lecz obrabiarki małych granatów, tych, co zrobiły tak straszliwe spustoszenia na ulicach Warszawy.

Patrzę na maszynę, maszyna się kręci, a mnie się kręci straszliwie w głowie. Dookoła przyska mleczny płyn, mnóstwo tajemniczych korb, dużych, małych i malutkich, coś dokręca, coś odkręca, przesuwa się pięć rozmaitych noży i tnie w metalu co im się „najrzewniej” podoba. Jestem spocona jak mysz. Nic nie rozumiem i wiem, że się niczego nie nauczę. Przestaje widzieć, co się dookoła mnie dzieje, przycięta najoczywistszym brakiem inteligencji. Pichy robotnicy niemieckiej pewnie, szybko, twarz obojętna — przytłaczają mnie. Robi tak tę nieludzką skomplikowaną robotę, jakby kluski gniotła, często nie patrząc nawet na maszynę. Patrzę, notuję w pamięci ruchy, ich kolejność, ale nic nie mogę zrozumieć. Jestem pewna, że gdyby stanął tu ktoś i po polsku wyjaśnił mechanizm maszyny, wytłumaczył co robi i po co, zrozumiałabym od razu, a tak to nie nauka. Żenka zostaje przy Niemce, ja idę do Rosjanki. Niemka tłumaczy chętnie, jest miłą nauczycielką, moja Rosjanka miły, robi swoje tak, abym jaknajmniej widziała. Ponieważ i tak nie korzystam nie stojąc przy niej i patrząc na jej niechętną twarz, więc zaczynam obserwować fabrykę.

Dwie rzeczy rzucają mi się w oczy tak sugestywnie, że zapominam całkowicie o nauce. Czy rozumiesz i lubisz uśmiech kobiety? Ten uśmiech, którym kobieta potrafi więcej powiedzieć niż słowem? W Niemcech te dwa uroki strywalizowano doszczętnie. Nie kosztują one tu nic i nie znaczą nic. Kobiety śmieją się i uśmiechają cały dzień i całą noc. Ile razy spojrzysz na Niemkę, tyle razy się do ciebie uśmiecha, ile razy do niej zagadasz, tyle razy się zaśmieje. Śmiech i uśmiech są tu odruchami nie znamionującymi nic. W zamyśleniu kieruję oczy na męskich przedstawicieli Herrenvolku. Dlaczego oni tak chodzą? zadaje sobie głupie pytanie — dlaczego tak podrygują? Teatr kukielek, dlabóg, teatr marionetek smuje się przede mną w czarnej ramie hali fabrycznej. Kukielki tańczą przede mną, wykonują dziwne sztywne lamane ruchy. Zaczynam się uśmiechać, aby od razu spoważnieć i mieć się na baczności. Poż to wszystko kaleki. Starzy i młodzi, wszyscy kulawi, z protezami, z kikutami odrąbanych członków, idą Niemcy, których urządził tak ich genialny, wielki przywódca.

„Za tydzień wychodzę za mąż” powiada Elfrida, nauczycielka Żenki, „będzie mnie pani zastępowała”. Za mąż? Za kogo tu można wyjść za mąż? pytam ze zgrozą, nie mogąc znieść myśli, że ta młoda, miła dziewczyna legnie w ramionach podrygującej kulki.

„Z żołnierza — odpowiada Fryda — mój narzeczony stracił stopę na froncie zachodnim, ma urlop tygodniowy, korzystamy zeń, aby się pohrać”.

Widzę Elfrydę w bieli, ale nie ślubnej, lecz sanitarnej, podtrzymującą cierpliwie swego kalekiego męża. Fryda będzie szczęścia w tym małżeństwie dla tej kipiącej życiem młodości?

A kukły skaczą nadal, skaczą przy maszynach, skaczą po halach — gdzież jest mechanizm, który je zatrzyma i oderwie moje oczy od tego okropnego widoku?

Piskliwy śmiech w końcu hali odrywa mnie od rozmyślań. Dziewczeta skupiły się wokół czegoś niewielkiego, co zupełnie znikło między nimi i śmieją się hulaśliwie. Wytworzona na moment luka ukazuje mi człowieczka nie większego niż 10-letnia dziewczynka. — Wsparte na kulach małenstwo coraz szczyplie którąś z robotnic, pękających przy tym ze śmiechu. Dwie bezwładne nogi zwisają jak bele między kulami, duża tłusta głowa karła chowa się w wysoko podniesionych ramionach. Do tragicznie wykrzywionej twarzy maski, szczerze przylega głupkowaty figlarny uśmiech. A to co znowu, gdzie jestem?

Sigam do wspomnień. Już mam. Film kolorowy pod tytułem „Gabinet figur woskowych”. Jestem w takim gabinecie. Co krok witają mnie otwiane twarze, wyciągają się ręce nieżywe, ujęte w jakieś strzemiona, płytki żelazne, druty, aby się trzymały ciała, do którego niegdyś należały w takiej zwartej fizycznej harmonii.

A więc to są mężczyźni niemieccy? Prawo męskości dają im kobiety sposobem trakto-

wania, w którym czuje się powiew seksualny zrezygnowanej samicy, która w tych okropnych warunkach wojennych nie jest w możności wybierać, musi brać to, co jest pod ręką.

Kobiety śmieją się nadal łaskotliwie, histerycznie, kadłubek na kulach stoi między nimi straszny w swym kalectwie, makałryczny w uprzejmym uśmiechu.

Kadłubki na kulach, kaleki bez rąk i nóg przytulają do siebie młode, hoże dziewczęta, wiodą je do ołtarza lub po prostu na złote liście jesienne, spadłe z limbachowskich drzew.

Nie chcę dłużej patrzeć na teatr kukielek, mam dość gabinetu figur woskowych, mierz mi uśmiech na wargach bez żadnej racji, bez żadnego wyrazu. Obracam się tyłem do sceny odgrywanej się w końcu sali, wolę już patrzeć na maszynę, bo choć jest dla mnie nieczytelna, nie uśmiecha się do mnie denerwująco.

Zaczynamy się już złościć na dobre, gdy mimo „cudownej” organizacji niemieckiej w fabryce także nie dostajemy nic do jedzenia, głodne i roztrzęsione tkwimy przy maszynach do drugiej po południu.

Mój kochany!

Czy nie zgniewasz się na mnie za to, że trochę miejsca w moim pamiętniku poświęcę głupiemu?

Pojawił się na mojej nocej zmianie, przybył z sąsiedniej sali, ponieważ tam zabrakło granatów do obróbki, nie było więc dla niego pracy. Pełni u nas funkcję wielce podrzędną: podaje granatniki oraz gotowe odstawa na bok. Wzbudził moją ciekawość dziwną fizjognomią, ma bowiem twarz strusia, a nawet całą jego postać. Chodząc rusza głową w tył i naprzód, nogi stawia od środka na boki, idzie z pięty na palec. Śmieszność jego sposobu chodzenia potęgują jeszcze spodnie robocze, dużo za długie i dużo za szerokie.

TADEUSZ KUBIK

List do przyjaciela z AL

DROGI PAWLE!

Od naszej ostatniej rozmowy upłynęło już pięć miesięcy, a mnie wciąż zdaje się, że nie uzyskałem jeszcze odpowiedniego dystansu, by móc mówić z Tobą spokojnie. Jestem pewien, że gdybyśmy się spotkali znowu, oko w oko, odwzajemnie znów zaczęli mówić o polityce, o Polsce, skończyłyby się to tak, jak wtedy, gdy po dwugodzinnej burzliwej rozmowie, w dość rozogniony i oburzony od stolika, rzuciwszy zdziwionemu kelnerowi 100 złotych za dwie kawy.

Nie mogłeś wtedy zrozumieć mego cynizmu, mej lekceważącej wzgardy dla tego wszystkiego, co, z takim prawdziwym młodzieńczym entuzjazmem broniłeś: dla „Twojej” demokracji, dla przyszłości Polski „ludowej”, dla lepszego jutra i t.d.

Widzisz, szkoda, wielka szkoda, że nie starałeś się wtedy zrozumieć, dlaczego jestem taki zryzliwy, dlaczego tak bardzo różnię się od tego Ryszarda, którego pamiętałeś sprzed 10 lat.

Gdybyś wtedy spytał o to, gdybyś zachował się tak, jak mój serdeczny przyjaciel Paweł z ósmej klasy, byłby niepotrzebny ten list i nie zerwalibyśmy jeszcze jednego węzła, łączącego nas z żywym, prawdziwym życiem. Przecież tak wiele zerwało się ich w czasie tych pięciu strasznych lat. Pomyśl, że prawie każdy z nas mniej lub więcej wykołuje się, bo czy nie tak nazwano by przed wojną człowieka, który traci jednego czy dwóch najbliższych w tragicznych okolicznościach, który nie ma zawodu, mimo ukończonych 30 lat, który nie ma rodziny, domu?

Myszę, że jedną z ważniejszych przyczyn, powodujących ostry starc politycznych w Polsce powojennej jest właśnie istnienie dużej ilości ludzi, którzy nie związani posiadaniem domowego ogniska, czy ustalonym trybem życia, rzucają się w wir polityki, nadając swojej pracy, swoim wystąpieniom piętno tego rozjątrzenia, które tkwi w nich samych.

Mam zaś do Ciebie, dlaczego nasze najważniejsze dyskusje przed dziesięcioma laty kończyły się przyjacielską przechadzką po Piotrkowskiej, a teraz, po wojnie, jedna, jedyna rozmowa po 9 latach niewiedzenia się zostawiła tylko czad niechęci i wrogości? Czy przyczyna leży tylko w tym, że jesteśmy o 10 lat starsi, o 10 lat gorsi, czy też w tym, że wtedy, w ósmej klasie krażyliśmy na peryferiach życia, podczas gdy teraz trzeba się zdecydować na samo życie?

Gdybyś wtedy nie odszedł, nie pożegnawszy się nawet z mną, dowiedziałbyś się, co się ze mną działo przez te 10 lat, może łatwiej byłoby Ci zrozumieć, co stanęło murem nie do przebycia między Tobą a mną.

Ten właśnie list, pisany może na dwa miesiące przed śmiercią, ma być dokończeniem

Mówi wiele i chętnie z każdym. Zauważyłam jednak, że Niemki po kilku minutach rozmowy z nim zatykają sobie usta lub śmieją się bez ostonek prosto w twarz. Gdy zapytałam jedną z nich, dlaczego wyśmiewają tego strusia, odpowiedziały, że jest głupi. Na czym polega głupota tego człowieka, nie mam pojęcia. Obserwuję przeto jego zachowanie się. Zdziwieniem napawa mnie jego galanterijna dworskość. Niemcy w fabryce niektórzy bywają grzeczni, ale ten jest wprost ujmująco uprzejmy. Zawołany przybiega natychmiast, stosuje się do wszystkich poleceń z ukłonem, ze słowami: proszę bardzo, dziękuję, w obsłudze nie tylko nie robi różnicy między Niemkami a Polkami na korzyść Niemek, ale kto wie czy nie robi przeciwnie.

Pracuje bardzo cierpliwie i wcale nie nawala. W pewnym momencie gdy obserwuję jego pracę przy transportowaniu granatów ze środka sali na koniec, zaczynam pomału rozumieć, dlaczego w Niemcech ten człowiek będzie zawsze uchodził za głupca: bo jest zupełnie od Niemców inny, jest egzotyczny tak, jak jego strusi wygląd.

Nie wiem, czy się nie mylę, ale zdaje mi się, że we Francji niktby się z niego nie śmiał, nikogo by nie raził. W Niemcech, gdzie życie posiada swój mieszczański wzorec i toczy się wytkniętą szarą koleiną, nie ma miejsca na dziwactwo. Mój głupi przy wywołce granatów dostrzega w swej czynności elementy zabawy, a poddając się im, budzi powszechny śmiech. Zaznaczyć muszę, że transport odbywa się przy pomocy wózka na dwóch kółkach, podobnego do spacerowego wózka dla lalki, przy czym wydaje on z siebie piski niemowlęcia.

Pamiętam, kiedy raz nie było roboty na mojej sali i posłano mnie do piwnicy w celu przewożenia wielkich dwudziestosiędmio funtowych granatów, wykonywując tę czynność z Rosjanką Wierą, niekontrolowane przez

nikogo, bawiliśmy się po królewsku. Woziliśmy nie tyle granaty, ile siebie nawzajem, wśród zgiełku, krzyku i ogólnej radości. Dlaczego nas nie nazwano głupimi, choć zachowywaliśmy się jeszcze głupiej niż Artur? Bo my jesteśmy Polki, a więc z góry wiadomo, że jesteśmy inne, a będąc inne, niekoniecznie musimy być głupie, wolno nam być egzotycznymi. Co innego Niemiec. Ten należy do rasy władczącej i przodującej, ten musi stanowić typ jednolity i wszelkie odchylenia brane mu są za złe.

Rozmawiałam kilkakrotnie z moim wariatem. Uważam, że rozumował zupełnie poprawnie i świat jego zainteresowań bynajmniej nie był szczyplejszy od świata innych, przeciętnych Niemców.

Podczas gdy wszyscy Niemcy chodzą poważnie, spokojnie, ten biega zawsze zapędzony. Niemiec zawsze wie, gdzie co położył, w sprawach osobistych posługuje się porządkiem i systematycznością, „wariat” jest zamysłony, roztargniony, wciąż w biegu czegoś szuka. Nie szczyplie dziewcząt, nie wali ich z całej siły po ramionach i siedzeniach, jak to robią inni Niemcy, natomiast wiecznie kokietujący, wiecznie pogrążony w głębokiej adoracji, robi wrażenie stałe zakochałego.

I to chyba najmocniej dyskredytuje go w oczach Niemców i stawia w rzędzie niernormalnych.

Żyję w wielkiej zgodzie z tym „głupim” Arturem, bo mam wrażenie, że jego jednego w Niemcech Hitler nie przerobił. Artur nigdy nie wierzy, że Polka jest osobistością zupełnie innej rasy, niż on sam, wątpię nawet, czy mimo tylu lat życia w oparach hitlerowskiej propagandy zdołał dosłyszeć i dostrzec, że na świecie są rasy i że on sam wśród nich zajmuje przewodzące stanowisko. Głupi Artur!

Pozdrawiam cię

Wanda.

Wanda Żółkiewska

naszej rozmowy sprzed 5 miesięcy, opowieścią o życiu, dla którego epilog w sanatorium dla gruźlików jest gorzkim, ale właściwym zakończeniem.

Tak, drogi Pawle, moje płuca toczy czerw śmierci. Starałem się leczyć, próbowałem wszelkich środków, ale mój organizm zbyt jest zniszczony, by odbudować chore tkanki. Nie posłużyły mi lata głodu i chłodu, lata poniewierki i walki, walki ustawicznej i bezwzględnej z Niemcami. Zimno i wilgoć, idące od ukochanej ziemi, od mokrych lasów i ziemianek, w których nieraz trzeba było się kryć przed okiem szpicla i żandarma, wyciągnęły ze mnie zdrowie i świeżość mojej młodości.

Przeczytaj o mnie. Jestem jednym z tych, o których idioci z Twojego obozu pisali: „AK — zapłuty karzeł reakcji”. Tak, jestem i byłem akowcem. Nie ujawniłem się razem z innymi. To nie miało sensu, bo wiedziałem, że umre. Może przy stole komisji likwidacyjnej spotkałbym tego samego człowieka, który piisał o mnie, że jestem „zapłutym karłem”. Wyobrażasz sobie mój takiemu głupcu, który musiałby honorować mój stopień oficerski i moje odznaczenia?

Chcę jednak, by ten list był nie tylko sentymentalnym pożegnaniem z przyjacielem. Dlatego opowiem Ci wszystko od początku.

Kiedy w 1935 r. opuszczaliśmy mury gimnazjum, wiedziałem, że nasze drogi rozchodzą się. Wiedziałem, że pójdziesz do ludzi, z którymi Cię tyle łączyło już w latach szkolnych. Rok później z gazet dowiedziałem się, że zostałeś skazany na 3 lata więzienia.

Ja pozostałem zdala od życia politycznego. Oburzało mnie panoszące się bezprawie i wszechwładza policyjnego knuta, bolała niedza robotnika i chłopca, ale byłem tak pochłonięty studiami i pracą, że nie miałem czasu interesować się polityką.

W marcu 1939 r. zostałem, jako oficer rezerwy zmobilizowany i odkomenderowany do jednego z garnizonów w Poznańskim. Tam miałem czas myśleć o tym, na co nie pozwalał dotychczas kierat nauki i obowiązków. W oczekiwaniu na zderzenie z potęgą niemiecką, w długie wieczory i nużące dni tworzyłem mój osąd o Polsce. Wiedziałem, że nas rozbiją, że nie pomoże patriotyczne uniesienie i niespotykana dotychczas zgoda narodowa.

I rosła we mnie świadomość, że walka o Polskę rozpocznie się dopiero po klęsce militarnej.

Ale nie wiedziałem jednego:

Nie wiedziałem, że i Ty, Ty działacz radykalnej lewicy, przygotowujesz się do walki o Polskę!

W początkach października wróciłem do domu. Możliwość spędzenia kilku lat w niewoli wydawała mi się tak potworna, że ry-

zykując życiem, uciekłem z przejściowego obozu w Częstochowie. Nie udało mi się pociągnąć żadnego z moich współtowarzyszy-oficerów. Poszli do niewoli, bo byli przekonani, że wojna skończy się za kilka miesięcy, że wrócą tą samą drogą do swoich pułków i koszar. A dla mnie było jasne, że ta droga już nie istnieje.

Wierz mi, że, jeśli dla mnie tragedia było to, że nie mogłem wrócić do mego świata, bo się zapadł w nicość w ciągu tych pięciu lat, to tym większą tragedią było dla nich — dla oficerów zawodowych. Oni wam nigdy nie wybaczą tego, że nie mogą znowu być „pistoletami” w butach z chromoniklowymi ostrogami, sztabowcami, majorami z „Ziemiańskiej” i „Loursa”.

Jesienią 1940 r. wyjechałem do Warszawy i tu spotkałem ludzi, z którymi miałem spędzić parę ładnych lat, z którymi związałem się braterstwem walki i pracy podziemnej. Tkwiłem na niższych szczeblach organizacji, nie stykałem się z moimi najwyższymi dowódcami, nie orientowałem się w wyższej polityce „góry”. Mieliśmy walczyć z Niemcami. Walczyliśmy!

Możliwe, że były rozkazy stania z bronią u nogi; dzisiaj wierzę, że naprawdę były, ale nie słyszałem o nich — wtedy walczyliśmy. I rozumiesz, dlatego tak bardzo bolał ten afisz: „zapłuty karzeł — reakcji”.

Ostatnich miesięcy nie spędziłem w lesie. Tragedia Warszawy przeżyłem zdala od tego piekła, leżąc w przestrzelonej w akcji nogi u przyjaciela w Milanówku. Cud chyba, że mnie w ciągu tych kilku miesięcy nie wytropiło oko szpicla. Przykuty do łóżka zastanawiać się zacząłem nad sensem walki. Zdawałem sobie sprawę, że zbliża się początek końca hitlerizmu, że już najbliższe miesiące przyniosą wyzwolenie. I wtedy usławiłem sobie, że nie wiem, jaką będzie ta Polska, dla której walczyłem.

Było by niesprawiedliwe, potworne, gdyby miała powstać taka, jak przed kataklizmem, a jednocześnie nie miałem w sobie żadnego ideału, jaki mogłaby ucieleśniać moja ojczyzna. Nie myślałem o tym w latach walki i tańca ze śmiercią. Czulem, że nie może wrócić Polska sprzed 1939 r., że nie mogą wrócić ludzie, których nienawidziłem za ich podłość i tchórzostwo. Nie mogli wrócić ludzie, dla których cele polityczne są ważniejsze od 200.000 istnień polskich.

Ale kto miał zająć ich miejsce?

Myszę, drogi Pawle, że największa i zasadnicza różnica między Tobą a mną nie leży w tym, że mną kierowano z Londynu a Tobą nie, ale w tym, że Ty walczyłeś w AL o taką Polskę, jakiej chciałeś, a ja — tylko o niepodległość. W tym leży źródło Twojej przewagi nade mną i w tym Twoje moralne prawo do pierwszeństwa.

Dlatego Ty i Twój obóz mieliście nie tylko prawo, ale i obowiązek zająć miejsce tych, którzy odeszli bezpowrotnie.

Staliście się gospodarzami państwa, którego historia i tradycja tak bardzo różnią się od jego dzisiejszego obrazu, że radzę Ci nie używać słowa ewolucja, bo jest za słabe i kłamliwe, w odniesieniu do tego, co się w Polsce stało. Trudno mi znaleźć w historii analogię, ale kojarzy mi się z tym w myśli obraz rewolucji Cromwellowskiej. Jest u purytanów Gromwella i w was coś wspólnego. Tamci zmienili historię Anglii, a wam historia każe zmienić historię Polski.

Ale czy wy, usunawszy zniechęcenie życia i zgniliznę systemu, który nas doprowadził do zguby, potraficie znaleźć u siebie tylu ludzi uczciwych, którzy w tym nowym państwie pracy i surowości zechcą i potrafią stworzyć nowy porządek, czy nie pójdziecie drogą najmniejszego oporu i nie wyłonicie z siebie nowego Cromwella?

Strzeżcie się tego, bo was historia może zmieść z powierzchni ziemi a Polska wpadnie w otchłań nowych nieszczęść.

Bacząc, by tłumić w początkach wszelkie objawy satrapizmu, o który tak łatwo, gdy warunki porowolucyjne pozwalają na skoncentrowanie większej władzy, niż lud chciałby wam sam dać. Przywołajcie do rozumu wszystkich sekciarzy i fanatyków, którzy z gotowymi schematami podchodzą do każdego zjawiska, chcąc wtłoczyć w ich ramy organizm społeczny, choćby był tak delikatny i obolały, jak nasz — polski. Nie wystarczy przystosować do rzeczywistości swoich doktryn w jednej tylko płaszczyźnie — płaszczyźnie polityki. Musicie iść na kompromis z historią, z tradycją, z polskim indywidualizmem. Inaczej nie dacie rady. Dla was nawet wierzbą przyrodna musi być polską wierzbą.

Podchodźcie do wszystkich Polaków, jako do żywych ludzi!

Nie mówcie chłopu o parcelacji, o reformie, nie deklamujcie wciąż o akcjach i izmach, ale wytłumaczcie mu, że chodzi o to, by za parę lat miał w domu żarówkę i łazienkę. Uwierzy wam na pewno. Nie mówcie robotnikowi ciągle o sile proletariatu, ale prze konajcie, że chcecie, by przestał być niewolnikiem maszyny, przekonajcie inteligenta, że w nowym porządku nie będzie maszyną biurową.

I jeszcze jedno. Pamiętaj, że jest w Polsce legion ludzi, którzy w niespodziewany sposób wytrąceni zostali raz na zawsze z równowagi, jaką dawał im uświęcony przez pokolenia sposób życia, obyczaje, wierzenia i kultury, monotonia karier życiowych — wytrąceni z świata kultury mieszczańskiej, w której tkwili korzeniami. Pamiętaj, że istnieje drugi legion ludzi bez zawodu, bez ukończonych studiów, ludzi, którzy na długie lata muszą z takich czy innych powodów zrezygnować z założenia własnej rodziny, ludzi, żyjących „katem”, z dnia na dzień. Jednym z takich byłem ja. Ale ja odchodzę, a oni zostają.

I jedni i drudzy żyli w orbicie kultury mieszczańskiej, kapitalistycznej. Czy sądzisz, że powszechna ucieczka do handlu i spekulacji, która czasem przybiera formy dezercji, jest spowodowana tylko obawą przed niedzą? Nie, drogi Pawle! To jest szukanie środków, pozwalających na kontynuowanie dawnego trybu życia.

Tych trzeba przekonać, że nie ma sensu wracać do błichtu i mirażu przedwojennego życia, ale nie przekonywać słowem i deklaracjami, ale budowaniem nowego, radośniejszego życia.

Ich powrotu pragnąć musicie, jeśli by nawet oni w tym budownictwie uczestniczyć początkowo nie chcieli.

Bo nie oni są winni, że są ludźmi bez jutra, nie oni są winni, że żyją na przelomie.

Bądźcie romantykami materializmu dziecięcego!

Z wiarą, że przyjmiesz me słowa, jako usprawiedliwienie moich błędów i jako testament do wypełnienia, żegna Cię Twój przyjaciel z ósmej klasy.

Ryszard.

Tadeusz Kubik

W poprzednim 17 numerze „Kuznicy” z dnia 23 grudnia 1945: Mieczysław Wieniec — Wielka improwizacja. Julian Przyboś — Wiersze. Seweryn Pollak — Wiersze. Maria Fiderer — Mgła nad Tamizą. Stefan Żółkiewski. Obrachunki nauczycielskie. Stanisław Jerzy Lec — Wiersze. Mirosław Żuławski — Kogut czarnej republiki. B. Iwaszkiewicz — Jeszcze o problemach aprowizacji. Paweł Hertz — Wiersze. Andrzej Nowicki. Adam Żałyk — Krakowska Dreyfusada. Julian Żuławski i Teresa Tyszkiewiczowa — Dwugłos o wystawie Krak. Zw. Plast. — Noty.

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

o potrzebach nauk biologicznych

Ma rację St. Żółkiewski („Kuznica” Nr 7) uzasadniając konieczność poważnego i wszechstronnego omówienia „wewnętrznych potrzeb organizacyjnych i ideologicznych poszczególnych nauk”. A że porusza przy tym również sprawę nauk biologicznych, niech wolno będzie wysunąć je — jak zresztą na to w zupełności zasługują — na jedno z pierwszych miejsc w zapowiedzianej dyskusji.

ŁĄCZNOŚĆ ZE ŚWIATOWĄ MYŚLĄ BIOLOGICZNĄ

Mamy w dziedzinie nauk biologicznych wielkie braki do odrobienia, znaczne luki do wypełnienia. Powstały one nie tylko w wyniku długotrwałego stanu anabiozy naukowej i pięcioletniego odcięcia od źródeł kultury światowej, lecz również wskutek grzechów dawniejszych. W okresie międzywojennym byliśmy bowiem odgradzeni od Wschodu murem urzędowej a często i dobrowolnej nieufności, wiadomości naukowej z Zachodu jakże często docierały do nas przez kanały doskonale zorganizowanego hitlerowskiego aparatu naukowo-wydawniczego.

Toteż pierwsze zadanie, jakie stoi przed biologią polską, polega na nawiązaniu kontaktu ze światową myślą biologiczną, na jej „dopędzeniu”, na uchwytności sensu przemian, jakie się w tej dziedzinie dokonały. Życie naukowe za czasów okupacji, o ile w ogóle się przejawiać mogło, siłą rzeczy miało charakter przekazywania i sumowania dotychczasowych zdobyczy, często charakter retrospekcji historycznej. Musimy zdobyć się na pewien wysiłek, by się otrząsnąć z narzuconych przez rzeczywistość ostatnich lat form działania, bo grozi to niebezpieczeństwem zakorzenienia się zaścianowości i przyczynkarstwa, niebezpieczeństwem niedocenianym i przemilczanym także przed wojną.

Musimy w skrócie odbyć ewolucję, która gdzie indziej dokonywała się wolniej i w sposób naturalny, musimy przyzwyczaić się do nowych faktów i kategorii myślenia.

Powinniśmy — i to jest bodaj w tej chwili najpilniejsze — w możliwie najkrótszym czasie zdobyć, opanować i przyswoić biologiczną literaturę światową. Jest to możliwe poprzez sprządzanie całych roczników wydawnictw specjalnych, przez nawiązanie przerwanej wymiany druków i racjonalną organizację własnego aparatu wydawniczego.

Powinniśmy — i to jest bodaj w tej chwili najpilniejsze — w możliwie najkrótszym czasie zdobyć, opanować i przyswoić biologiczną literaturę światową. Jest to możliwe poprzez sprządzanie całych roczników wydawnictw specjalnych, przez nawiązanie przerwanej wymiany druków i racjonalną organizację własnego aparatu wydawniczego.

Sprawa organizacji piśmiennictwa biologicznego powinna być raz wreszcie głęboko przemyślana i oparta na jakimś planie. Chodzi o zainicjowanie wydawnictw na różnych poziomach, od najniższego do najwyższego. Do szkół wszelkich typów powinny dotrzeć przyrodnicze wydawnictwa popularne, nie lekające się poruszać spraw trudniejszych, a mających zasadnicze znaczenie w sensie wyrobienia naukowego poglądu na świat, przedstawiające obiektywnie zagadnienia u nas tak często omijane i pokrywane milczeniem, jako niewygodne dla panujących się doktryn i dogmatów.

Szkoły akademickie powinny nareszcie otrzymać podręczniki z zakresu biologii stojące na należyłym poziomie i odpowiadające współczesnym wymaganiom wiedzy. To, że w okresie międzywojennym nie wydano w Polsce dobrych uniwersyteckich podręczników zoologii, biologii ogólnej, genetyki itd., bo podobno tego rodzaju wydawnictwa nie opłacały się księgarzom — jest skandal. Jeżeli nie zdobędziemy się na dzieła oryginalne — należy tłumaczyć i drukować przekłady!

Musimy także rozważyć sprawę periodyków biologicznych. Nie może powrócić stan przedwojenny, kiedy to znaczny odsetek oryginalnych prac drukowano w zagranicznych pismach fachowych — najczęściej z braku własnych. Argument, że prace w języku polskim są niedostępne dla badaczy zagranicznych — odpada, bo przecież można publikować w językach obcych dając obszerny streszczenie polskie lub 2 teksty równoległe — polski i obcy. Oczywiście nie wystarczy tu same „Memoires” Akademii Umiejętności, potrzebne są raczej pisma typu dobrze się przed wojną zapowiadającej „Zoologica Poloniae”.

Biologia jest nauką, w której hipoteza i teoria naukowa odgrywają wciąż bardzo poważną rolę, dotyczą najczęściej problemów najistotniejszych, które powinny interesować każdego myślącego człowieka. Powinny one być przedmiotem dyskusji na łamach prasy fachowej. Poza samą treścią aktualnych teorii naukowych czyż nie zainteresują przeciętnego czytelnika przystępnie przedstawione zagadnienia metodologiczne i organizacyjne nauk biologicz-

nych, dziedzina wciąż żywa i bogatsza niż w innych bardziej „skończonych” naukach?

Przecież sam proces kształtowania się nauk biologicznych, proces powstawania nowych nauk — jak endokrinologia lub biologia teoretyczna — daleki jest od zakończenia. Czy czasopisma literackie są właściwym miejscem dla roztrząsania tych spraw?

Wynika stąd zapotrzebowanie na czasopisma popularne, stojące na poziomie dostatecznie wysokim by dawać kulturalnemu człowiekowi prawdziwy obraz aktualnego stanu nauki o życiu.

Czasopismo takie stało by się cenną pomocą także dla pracowników naukowych mocno zaangażowanych w swej często nadto specjalnej dziedzinie, a przecież pragnących być au courant najnowszych zdobyczy tej nauki, której jeden odcinek uprawiają zawodowo. Poprzez racjonalnie zorganizowane piśmiennictwo naukowe zagadnienia naukowe wyjdą nareszcie poza mury kapliczek uniwersyteckich, staną się ważkim składnikiem obiegu kulturalnej myśli ogółu, staną się dobytkiem szerokich mas. Śmiem twierdzić, że świeży powiew ze świata myśli otrzeźwi nawet niektórych „dobrowolnych mistyków”, których nie bez racji dostrzegł Żółkiewski wśród biologów.

REORGANIZACJA WYŻSZYCH STUDIÓW PRZYRODNICZYCH

Drugie z kolei ważne zagadnienie, od rozwiązania którego zależy przyszły rozwój nauk biologicznych w Polsce, to sprawa organizacji wyższych studiów przyrodniczych. Potrzeba racjonalnego zaplanowania sieci katedr nauk biologicznych oraz zakładów naukowo-badawczych — nie wymaga chyba specjalnego uzasadnienia. Strzec się musimy głównej tendencji przestających na rekonstrukcji stanu przedwojennego, branego jako wskaźnik optymalny. Nowa rzeczywistość zrodziła nowe potrzeby naukowe. Na przykład skromna stacja biologiczna na Helu na pewno nie pokryłaby obecnie naszych zapotrzebowań naukowych w zakresie biologii morza.

Na odcinku nauk biologicznych sprawy rozsądnego ustalenia drogi kształcenia zawodowców-praktyków i przyszłych naukowców jest nader ważna i nagła. Przyrodniczy, kształcenie na naszych uniwersytetach, mieli przed sobą zasadniczo dwie drogi — wchodził po ukończeniu studiów do zawodu nauczycielskiego, bądź też pozostawali w charakterze asystentów lub pracowników naukowych innych kategorii przy nielicznych katedrach i zakładach badawczych (pomijam oczywiście grupę snobów, dla których zdobycie bylejakiego dyplomu wyższej uczelni było kwestią osiągnięcia pewnej pozycji towarzyskiej).

Otóż wyższe uczelnie nie przyspasałyby należyście do żadnej z tych alternatyw. Nauczyciel — przyrodnik po ukończeniu studiów miał z reguły bardzo niejasne pojęcie o dydaktyce biologii (1 godzina tygodniowo w ciągu roku zleconych — a więc nieobowiązkowych — wykładów!), ponadto zasób wiadomości naukowych oraz ich ujęcie nie odpowiadały wymaganiom, jakie stawiała nauczycielska szkoła średnia. Młody nauczyciel przyrody pamiętał jeszcze dobrze jak się rozwijały linie zatokowe u kopalnych amonitów, lecz nie umiał odpowiedzieć na pytanie ucznia ile lat żyje kret. Przyszły pracownik naukowy nie otrzymywał w ramach tego kompromisowego systemu kształcenia należytego przygotowania technicznego (mógł np. ukończyć uniwersytet nie opanowawszy należycie techniki mikroskopowej) ani dostatecznych podstaw dla ścisłej specjalizacji.

Jedynym wyjściem wydaje się taka reforma studiów przyrodniczych, która za podstawę miałaby jednolite kształcenie przyrodników do pewnego poziomu, po czym drogi kształcenia musiałby się rozbieżować. Przyszły nauczyciel zdobywałby poważne wykształcenie w zakresie dydaktyki biologii i wiadomości niezbędnych w szkole, przyszły naukowiec poświęciłby się studiom teorii, metodyki i techniki badań w ramach obranej sobie specjalności. Kiedy ta bifurkacja miałaby nastąpić, czy obie drogi kształcenia byłyby organizacyjnie powiązane, czy też naukowcy kończyliby studia i odbywali praktykę w specjalnych zakładach, nie związanych z Uniwersytetem, to inna sprawa, wymagająca dalszych przemyśleń, które, jak się zdaje, powinny doprowadzić do znalezienia rozwiązań elastycznych i nieszablonowych. Niewątpliwie ostateczne kształtowanie się indywidualności naukowej młodego badacza, opanowanie przezeń tak obecnie złożonej techniki badań może najlepiej się dokonywać na placówce naukowej twórczej pracy — w pracowni instytutu lub zakładu badawczego.

ORGANIZACJA BADAŃ

Co do liczby rozmieszczenia i charakteru tych instytucji badawczych również można wysunąć pewne postulaty ogólne. Zostałem swego czasu mimochodem skarcony przez „Tygodnik

Powszechny” za „użyteczne” podejście do problemu planowania badań naukowych.

Śmiem jednak obstawać przy tym, że przy planowaniu sieci instytucji naukowo-badawczych należy się liczyć z ich doraźną użytecznością społeczną. Stwierdził jessez raz, że tak zwana nauka czysta wcześniej czy później staje się w jakimś stopniu nauką stosowaną. Teoretyczne rozważania na temat budowy jądra atomowego prowadzą prostą drogą do bomby uranowej i silnika atomowego, badaniu grzybków-plesniaków towarzyszy odkrycie penicyliny.

Biologia staje się obecnie nauką, w zakresie której przejście teorii w praktykę następuje coraz szybciej. Niemniej jednak państwo ma prawo i obowiązek popierać w pierwszym rzędzie te badania, które są obecnie społecznie i gospodarczo najbardziej przydatne. Wiemy zresztą, że „zamówienie społeczne” niejednokrotnie już przyczyniło się do rozwoju czystej teorii. W ramach tej reformy studiów i badań, chodzi również o człowieka, chodzi o wychowanie nowego typu uczonego. Będziemy zawsze mieli wielki szacunek dla uczonego, który kilkanaście lat pracy poświęcił badaniu aparatu kopulacyjnego u chrząszczy z rodziny Coccinellidae i tym przyczyniło się do ugruntowania naturalnego systemu tej grupy, ale mamy prawo domagać się od niego, by był także bezpośrednio społecznie użyteczny, dzieląc się np. od czasu do czasu swą ogólną wiedzą biologiczną choćby w ramach wykładów na Uniwersytecie Robotniczym. Będzie to dla niego samego pożądanym zastrzykiem witamin społecznych.

Przy planowaniu sieci zakładów badawczych należało by kierować się myślą następującą. Będziemy wprowadzali starali się uwzględnić wszystkie dziedziny biologii, lecz zdajemy sobie sprawę z tego, że trudno będzie w powojennym okresie dźwignia się osiągnąć na wszystkich płaszczyznach poziom, przekraczający zapotrzebowania krajowe. Niemniej jednak te zakłady, które będą miały szczególnie korzystające warunki rozwoju, należało by wyposażyć na tyle hojnie, by stały się one ośrodkami poważnych badań, promieniujących na cały świat.

Wracając do sprawy wyższych studiów przyrodniczych, należy stwierdzić, że poza organizacyjną stroną studiów rewizji domaga się ich strona programowa. Dla jej dokonania trzeba zorientować się we współczesnym stanie poszczególnych dziedzin biologii, przeprowadzić wartościowanie ich wagi gatunkowej.

Biologia przechodzi obecnie fazę rozwoju nacechowaną wielkim dynamizmem. Długa połowa XIX wieku przyniosła wielkie syntezę biologiczną, po których nastąpił potężny rozwój nauki wszedł i w głąb, w wyniku którego powstał cały szereg nowych nauk biologicznych. Początki XX wieku można określić jako okres wielkiej specjalizacji i rozwoju techniki badań, kiedy to główne uogólnienia biologiczne zostały odsunięte na drugi plan. Wszystko wskazuje na to, że obecnie nadchodzi nowy okres zasadniczych syntez, podsumowanie dotychczasowych zdobyczy i przebudowy metodycznej. Nie weszliśmy jeszcze w tę fazę, lecz widzimy jak odbywa się przegrupowanie sił do szturmu na kardynalne problemy nauki o życiu. Kluczowe, zasadnicze zagadnienia biologii, dojrzałe do zatakania, zarysowują się coraz wyraźniej.

I tak — wydaje się, że problem istoty życia, struktury żywej materii jest bliski rozwiązania. Badania Bacha prowadzą nas w dziedzinę materii organicznej, lecz jeszcze nie żywej, niedostępną dotąd światu przeszacalnych ultrawirusów odsłania powoli tajemnice żywej materii. Sprawy te, które dla medycyny, stosowanej chemii organicznej oraz innych dziedzin będą miały wielkie znaczenie, są po prostu decydujące dla kształtowania się naszego światopoglądu. Drugi problem dookoła którego skupiają się nauki biologiczne — to ewolucja. Mimo, że u nas nie tylko „kwestionowano” ale „zdezaktualizowano” teorię pochodzenia gatunków Darwina, na szerokim świecie sprawy te, jak się zdaje, stoją inaczej. Nie ulega wątpliwości, że zasadnicza linia rozumowań Darwina, poświęconych mechanizmowi powstawania nowych gatunków, wyprostowana przez nieuniknione poprawki wynikające ze wzbogacenia się wiedzy, nieobalona niewątpliwym zresztą faktem mutacyjnego powstawania niektórych gatunków — jest nadal aktualna i żywa. Wielka luka w rozumowaniach Darwina, który przy ówczesnym stanie wiedzy nie mógł powiedzieć nic pewnego o przyczynach zmienności osobniczej, odrzucając jedynie tłumaczenia Lamarcka, zapelnia się obecnie wskutek bujnego rozwoju genetyki, odsłaniającej mechanizm dziedziczenia, wysuwającej problemy ewolucji genów, ich konkurencji i korelacji. Dzięki temu genetyka wysuwa się na czołowe miejsce wśród nauk biologicznych i niewątpliwie pewne jej działy przybliżają obecnie wyraźny charakter odrębnej nauki — genetyki ewolucyjnej. Sprawa ewolucji, mechanizmu powstawania i utrwalania nowych gatunków grupuje dookoła siebie także inne nauki — m. in. ekologia i zoogeografia

przynoszą cenne dane przemawiające za darwinistycznym pojmowaniem procesu ewolucji. Dojrzejąca całkiem nowe nauki biologiczne, starsze wymagają metodologicznej przebudowy. Przypadkowo znana mi bliżej parazytologia, będąca dotąd nauką opisową, często pomocniczą w stosunku do medycyny, wydaje się dostatecznie dojrzała do przebudowy i wyłonienia parazytologii porównawczej, nauki o charakterze biologiczno-syntetycznym.

Przykładem szybkiego zastosowania teorii w praktyce jest skupienie zainteresowań biologii koło młodych stosowanych nauk fito i zootechniki. Jeżeli będziemy ze zbyt długo trwającym „niedowierzaniem” i „ostrożnością” odnosili się do badań w tym zakresie uczonych radzieckich i amerykańskich, mimo, że tymczasem pszenica rośnie już poza kręgiem polarum, utrwalają się nowe gatunki zbóż powstałe ze skrzyżowania z perzem a nowe „zaplanowane” rasy zwierząt wchodzą w obieg gospodarczy — tym gorzej dla nas. W Polsce, w kraju przede wszystkim rolniczym, na sprawy te należało by zwrócić bacniejszą uwagę.

Nie lędzę się, że wymienię choćby najważniejsze i najbardziej aktualne problemy biologii współczesnej. Pełną ich listę można ustalić w wyniku gruntownego zapoznania się ze światową literaturą, w toku wymiany myśli, w trakcie dyskusji. Niechże więc ona powstanie!

WNIOSKI

Reasumując: najpilniejsze potrzeby nauk biologicznych w Polsce to:

1. Nawiązanie ciągłości i łączności ze światową myślą biologiczną poprzez udostępnienie literatury naukowej ostatnich lat, organizację wymiany druków, zorganizowanie racjonalnie pomyślanego własnego aparatu wydawniczego.
2. Reforma studiów wyższych zmierzająca do modernizacji programów nauki i zmian organizacyjnych, idących po linii wytyczenia odrębnych dróg kształcenia praktyków (a więc najczęściej pedagogów) i pracowników naukowych; ważną sprawą jest również problem odnowienia kadr wykładowców.
3. Ustalenie i stopniowa rozbudowa sieci instytucji naukowo-badawczych opartej na znajomości aktualnego stanu światowej myśli biologicznej i przestudiowaniu potrzeb gospodarczych kraju.

Pomyślnie zaspokojenie tych potrzeb wydaje się osiągalne pod warunkiem, że akcją tą będzie kierował ośrodek dyspozycyjny, koncentrujący sprawy nauki badawczej w Polsce. Czy załącznikiem takiego ośrodka jest powołana niedawno Rada Naukowa — zawczasie jest jeszcze przewidywać.

W każdym razie jest rzeczą pewną, że wobec ogromu zniszczeń materialnych i strat personalnych szybkie podźwignięcie nauk biologicznych — jak zresztą także innych — może nastąpić jedynie w wyniku działania planowego.

Czy opracowanie planu sięgającego w dalszą przyszłość nie będzie w rażącej dysproporcji do obecnego stanu — stanu braków i dewastacji? Sądzę, że nie. Trzeba wiedzieć, po jakiej drodze mamy zamiar kroczyć, trzeba nakreślić bliższe i dalsze etapy.

Działanie planowe — to najoszczędniejsza i najskuteczniejsza forma działania.

WE, MICHAJŁOW

NAKŁADEM
SPÓŁDZIELNI WYD. „CZYTELNIK”

ukazały się w grudniu 1945.

CZESŁAW MŁOSZ:

OCALENIE

(poezje) str. 154

JERZY ANDRZEJEWSKI:

NOC

(opowiadania) str. 219

TADEUSZ BOY-ZELEŃSKI:

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

JULIAN TUWIM:

LUTNIA PUSZKINA

HENRYK GOTLIB

Dwie kultury

ROZMOWY Z JACKIEM MALCZEWSKIM

W jesieni 1928 r. malowałem portret Jacka Malczewskiego, który mieszkał wówczas na Salwatorze pod Krakowem. Było to na rok przed jego śmiercią, i Malczewski, cierpiąc na sklerozę, męczył się szybko pozowaniem. Wzrok miał już tak słaby, że malować nie mógł wcale, a szkice jego miały kontury niewyraźne, jakby przesłonięte mgłą. Z opadaniem sił fizycznych kontrastowała jednak żywość i precyzność umysłu.

— Całe życie malowałem — mówił do mnie — i dopiero teraz mam czas na rozmyślanie.

Malczewski robił rachunek swej sztuki ze zdumiewającą jasnością i samokrytycyzmem. Z dużą odwagą i niezależnością mówił także o innych ludziach i o sprawach naszego kraju. Ze smutnym uśmiechem stwierdzał, że ani on ani nikt inny nie namalował dotąd polskiego pejzażu, że patrzymy nań i przedstawiamy go przez okulary obcych estetyk i nie umiemy zdożyć się na własną.

Tak to codziennie, w czasie paru tygodni pracy nad portretem, patrzyłem jak za oknem pracowni, ponad wzgórzami otaczającymi kopiec Kościuszki, zachodziło słońce, a Malczewski snuł swe myśli o Słowackim, o Polsce, o chrześcijaństwie i o sztuce. Któręś dnia zamknął długi monolog taką konkluzją:

— Wejźdź do kościoła Mariackiego. Przyjrzyj się dobrze temu wnętrzu. Czy widziałeś kościoły gotyckie na Zachodzie? Notre Dame de Paris, Chartres, czy nawet św. Szczepana w Wiedniu? Tam surowość, nagi, szary kamień, tylko kolorowy witraż w oknie. A u nas? Cały kościół od podłogi do sklepienia wymalowany i wyłożony w bizantyjskim smaku.

BIZANTYNIZM I HELLENIZM

Styl bizantyjski i bizantyjską sztukę utożsamia się u nas — w potocznym języku i w popularnej publicystyce — z rosyjskimi ikonami, ze stylem i z fizjognomią życia rosyjskiego, chociaż jak wiadomo, Rosja, podobnie jak Jugosławia, Bułgaria, Rumunia itd. stanowi obszar, do którego system twórczości Bizancjum, tj. z właściwego ogniska tej kultury, dotarł już gotowy i zorganizowany.

Styl bizantyjski uchodził jeszcze do niedawna za synonim sztuki skonwencjonalizowanej i pracującej wedle ściśle z góry ustalonych reguł, krótko mówiąc, za synonim sztuki martwej, w której nie było miejsca na emocjonalne i indywidualne wypowiedzenie się artystów. Lecz dzięki szczegółowym i sumiennym pracom specjalistów, wiemy dzisiaj, że zarówno w Grecji (w Daphni, w Salonikach, w monasterach Mistry i góry Athos) jak i we Włoszech (w Rawennie, Wenecji, Rzymie i Palermo) zachowały się dobrze zakonserwowane fragmenty średniowiecznego malarstwa bizantyjskiego, zmuszające do gruntownej rewizji dotychczasowych uogólnień i poglądów na tę sztukę. Wędrowki artystów po tych ośrodkach sztuki, w połączeniu z pracami uczonych, przypominały światu, że po upadku Grecji i Rzymu, a na długo jeszcze przed Odrodzeniem wytworzyło się na południowo-wschodnim cyplu Europy nowe środowisko greckiej działalności artystycznej; że począwszy od w. VI po Chr. Konstantynopol stał się wielkim i kierującym ośrodkiem sztuki europejskiej, podobnie jak niegdyś Ateny i Rzym; że od w. X do w. XIII w. mieście tym skupiała się produkcja dzieł sztuki, które wywożono do wszystkich niemal krajów na Zachód i Wschód; i że dopiero, wraz z upowszechnieniem się sztuki romańskiej i gotyckiej, zamierało stopniowo oddziaływanie Bizancjum, a rolę jego objęły Francja i Włochy.

Przypomniawszy fakt, że przed Francją i Włochami, przed Holandią i Hiszpanią, a bezpośrednio po zamknięciu okresu klasycystycznego i klasycystycznego, gorzało w Europie żywe ognisko sztuki o nie mniejszej od tamtych doniosłości, ognisko, z którego wyszła sztuka odmienna od wszystkiego co było przed nią i po niej, zastanowił się warto — i to jest głównym przedmiotem naszych rozważań — czy styl bizantyjski geograficznie orientalny, można i należy przeciwstawiać duchowi łacińskiego i humanistycznego europeizmu.

Ze początki znanej nam sztuki greckiej noszą charakter zdecydowanie wschodni, to zdaje się przez nikogo nie jest podawane w wątpliwość. Freski Krety i Miken sprzed 40 i 30 wieków i rzeźba grecka aż do początków w. V przed Chr. noszą wyraźne piętno Wschodu, stanowiąc niejed-

nokrotnie nieznaczne tylko odchylenia od koncepcji Egipcjan, Asyryjczyków itd. Cechy te zacieraają się potem wraz z „naturalizowaniem się” greckiej sztuki. Ale po upadku niepodległości właściwej Grecji, a potem Rzymu, odradzają się wpływy wschodnie, i sztuka grecka niejako powraca — w okresie bizantyjskim — do swoich źródeł, orientalizując się po raz wtóry. Na ścianach bazylik i monasterów średniowiecznych wykwiła iście wschodni przepych kolorowych mozaik, marmurów, tkanin i fresków, równie barwnych jak archaiczna rzeźba grecka i wcześniejsze od niej dzieła epoki kretańsko-mikeńskiej.

Czy więc sztuka Zachodu, romańska i gotycka średniowiecza, a potem Odrodzenie, czy wreszcie współczesna sztuka europejska, była i jest tak pojętej greczyzny przeciwieństwem?

Czyżby więc kościół Mariacki w Krakowie, z racji swej architektury i konstrukcji przynależny do Zachodu, przeczył duchowi katolickiej Europy przez kolorowy przepych swych naw i podobieństwo do wnętrza bizantyjskich?

ŚREDNIOWIECZE FRANCUSKIE I KOLEJE SZTUKI W POLSCE

W wydanej tuż przed wojną (1938) książce pt. „Peinture romane des églises de France”, Henri Focillon, badacz francuskiej sztuki średniowiecznej, pisze że porównując francuskie kościoły romańskie z bazylikami wschodnimi „skłonni jesteśmy przeciwstawiać dwa odmiennie sposoby odczuwania, niemal dwa sposoby myślenia. Uogólniając tak, postąpilibyśmy zbyt pośpiesznie”. W kilkudziesięciu planszach ukazuje Focillon wnętrza romańskich kościołów francuskich (jak w Beze-la-Ville, w Tavant, w Vic), pokrytych niemal kompletnie polichromią ścienną, i stwierdza, że zwłaszcza Cluny i Burgundia „były ośrodkami greckiego malarstwa bizantyjskiego” i że np. w katedrze w le Puy „ikonografia malarstwa obfituje w motywy bizantyjskie”. „Malarstwo monumentalne Francji, — konkluduje Focillon, — przejąwszy wzory z odwiecznych osiedli chrześcijańskich na Wschodzie, z Egiptu, Syrii lub nawet Kapadocji... nie stało się nigdy wierną i bierną ich kopią... Malarstwo nasze jest więc czymś więcej, niż interesującą prowincjonalną odmianą sztuki bizantyjskiej”.

W „Histoire de la peinture au moyen-âge” zebrał Eméric David teksty, z których wynika, że w w. XI wnętrza kościołów we Francji, dziś szare, kamienne i bezbarwne, były bardzo bogato dekorowane malarstwem, mozaiką i złotem.

Wolno zatem — nie ryzykując wniosków niepopartych przez naukę — zakonkludować: błędne jest wyobrażenie, że katedry, kościoły i klasztory średniowiecznej Francji, w przeciwieństwie do wnętrza architektonicznych, podlegających zasięgowi wpływów bizantyjskich, były szare i bezbarwne i że przemawiały wyłącznie tylko językiem form i konstrukcji. Było wprost przeciwnie. Były kolorowane bogato, akurat tak właśnie jak wnętrza bizantyjskie.

A jak było w Polsce?

Zabytków o charakterze czysto bizantyjskim w kraju naszym dochoowało się sporo. Kaplica Świętokrzyska w katedrze na Wawelu i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nie są odosobnionymi przykładami dzieł w stylu bizantyjskim. „Na ziemiach naszych — pisze Feliks Koper w „Dziejach budownictwa i rzeźby w Polsce” — i na Rusi powstał... typ romańskiego budynku według planu właściwego bizantyjsko-ruskiej architektury... Lecz plan ten wykonano w stylu romańskim. Jest to najlepsze świadectwo ścierania się od najdawniejszych czasów na naszej ziemi dwu prądów cywilizacji, wschodniego i zachodniego, dla którego to ścierania się ziemia nasza przez cały ciąg historii Polski najdogodniejszym była polem”. I choć z przyjęciem katolicyzmu, ciągnęło do Polski duchowieństwo z Zachodu, na charakter sztuki wpływała — zwłaszcza za pierwszych Jagiellonów — okoliczność, że zarówno dynastia jak i duża część kraju ulegała oddziaływaniu Rusi. „Kiedy Władysław Jagiełło wstąpił na tron — pisze Koper w „Dziejach malarstwa w Polsce” — silniej uwidatniły się ruskie wpływy. Dwór królewski, zwłaszcza po śmierci Jadwigi, przejął się tymi wpływami, wśród których król wyrósł i wychował się... Malarstwo ruskie w Polsce obejmuje cały wiek niemal, za przykładem ojca pójdzie syn Kazimierz Jagiellończyk, i sztukę ruską, choć nie w tym stopniu, ale popierać będzie”... Oddziaływanie tej sztuki sięgało

daleko na zachód, a Tadeusz Dobrowolski w „Śląskim malarstwie ściennym i sztalugowym” (1936) stwierdził „nawiązanie do archaicznych koncepcyj włosko-bizantyjskich” w w. XIV na Śląsku „i w ogóle w Polsce”. Rola czynnika bizantyjskiego w sztuce polskiej akcentują również i inni historycy sztuki, jak np. Stanisław Tomkiewicz, Władysław Podlacha czy Wojciech Molé, który w „La miniature de l'Evangélaire de Lawryszew”, (1932) pisze: „Historia cywilizacji polskiej jest ściśle związana z cywilizacją krajów zachodnich... począwszy od epoki romańskiej i epoki gotyckiej aż po dzień dzisiejszy zabytki te wiążą się ze sztuką ośrodków czeskich, niemieckich, włoskich lub francuskich. Lecz pod tą powierzchowną warstwą dostrzega się wśród zabytków średniowiecznych dwojaki, że w pewnych epokach prądy artystyczne, które przyszyły do Polski z bizantyjskiego Wschodu, w postaci sztuki ruskiej, odgrywały dość pokaźną rolę... Wyładki dziejowe — pisze dalej Molé — zbliżyły do siebie dwie cywilizacje, dwa światy sztuki: polsko-zachodni i bizantyjsko-ruski”.

A teraz rzucmy okiem — już nie przy pomocy cytatów z dzieł zawodowych uczonych — na ewolucję sztuki polskiej w czasach nowożytnych. Od zamknięcia wieków średnich aż po połowę w. XIX malarstwo nasze mało wykazuje samodzielności. Po okresie upadku w w. XVII i XVIII, wynurza się kilka wielkich postaci, które jak Matejko lub Grottger należą, z punktu widzenia formy i plastycznej treści, do szkoły monachijsko-wiedeńskiej lub też, jak Michałowski, Rodakowski czy Aleksander Giedyński, są odzwierciedleniem malarstwa francuskiego. Nie wcześniej zatem niż z końcem XIX w. odradza się samoistne malarstwo polskie, malarstwo o własnym obliczu, oryginalnych zaletach i swojej niedoskonałości.

Spójrzmy np. na malarstwo polskie, które wykuło się z francuskiego impresjonizmu. Porównajmy chromatyczną gamę Moneta czy wnikliwość kolorystyczną Pissarra i Sisleya z kolorowością Wyczółkowskiego czy Fałata, Sichulskiego, Pautscha czy Jarockiego. W miejsce budowania przestrzeni za pomocą koloru, pasjonującego francuskich impresjonistów, nasi malarze przeciwstawiają plamy fioletowych cieni (żywcem przeniesionych z impresjonistycznego malarstwa), gorejącym w promieniach zachodzącego słońca twarzom rybaków lub skalom tatrzańskich turni. „Impresjonizm” naszego, dymowego chowu, to jak gdyby wyzwolenie namiętności do kolorowych orgii, tak długo tłumionych w naszym malarstwie przez akademickie przepisy przywołane z Wiednia i z Monachium, lub przez umiar dyktowany przez sztukę Francji. I może ta nieznaną u nas przedtem popularność malarstwa i powodzenie, jakim cieszyli się polscy „impresjoniści”, dowodzi najjaskrawiej, jak głęboko zakorzenione jest w naszym kraju zamiłowanie do barwnego przepychu dekoracyjnego i spontanicznej reakcji na podnieci kolorowe.

Z opisanych tu cech naszego malarstwa współczesnego nie wysnują oczywiście historycy sztuki żadnych wniosków czy związków z przeszłością dawną, średniowieczną. Zjawiska takie nie dają się ani udokumentować ani materialnie dowieść. Ale ludzie, których wyobraźnia nie jest ograniczona przyzwyczajeniami naukowymi i surowymi nakazami metody i ostrożności naukowców, zdają sobie sprawę, że ten wulkan temperamentu kolorystycznego, który wybucha w naszym malarstwie XIX w. i ciągnie się do dnia dzisiejszego, jest nieomylnym świadectwem, że duch bizantyjskiego średniowiecza nie wymarł w Polsce i że pozostał bardzo istotnym składnikiem „temperamentu narodowego”.

HUMANIZM ŚREDNIOWIECZNY

Uwagi te zdają się sugerować następującą konkluzję. Średniowiecze francuskie tworzyło w bezpośrednim związku i pod wpływem sztuki Bizancjum i Wschodu. Podczas jednak gdy we Francji, a oczywiście także i we Włoszech czy Hiszpanii, odrodzenie przeinaczyło z gruntu fizjognomię plastyczną tych krajów, u nas cechy właściwe duchowi bizantyjskiemu, przetrwały w sztuce do dnia dzisiejszego.

Stwierdzeniu podobnych wniosków przeszkadzają jednakowoż dwa bardzo istotne zjawiska. Przede wszystkim: sztuka średniowieczna, tzn. starochrześcijańska, bizantyjska, romańska i gotycka, stanowią dalszy ciąg sztuki starożytnego Rzy-

mu, naturalną tej sztuki ewolucję, która dokonywa się drogą kontrastu. Po wtórej: znajomość sztuki i literatury klasycznej i jej oddziaływanie nie datuje się dopiero od w. XV.



Chrystus w ogrójcu (z kościoła św. Katarzyny w Krakowie)

„Studium antyku nie jest bynajmniej wynalazkiem odrodzenia” — pisał już w r. 1910 Eulart. W „Influences antiques dans l'art du moyen-âge français” (1939) opisuje Adhemar, jak w w. VIII, a potem w w. XI i XII, w okresie sztuki romańskiej i gotyku, powszechnie studiowano literaturę i sztukę rzymsko - klasyczną, mimo nieustannych sprzeciwów kół kościelnych i teologicznych. Do wielkich humanistów w. XII należał m. in. słynny Suger, twórca pierwszej konstrukcji gotyckiej w St. Denis. Humanistą był również Jean de Salisbury, który zajmował tron biskupa w Chartres wówczas właśnie kiedy we wnękach portalu „królewskiego” tej katedry umieszczano kamienne rzeźby, a w oknach witraże, stanowiące szczytowe osiągnięcia gotyku i arcydzieła sztuki średniowiecznej. W zachowanym, szczęśliwym trafem, szkicowniku Villarda de Honnecourt, słynnego „maitre d'oeuvre” z w. XII, odnajdujemy znów szkice z posągów greckich i rzymskich, przetransponowane na język własny, bardzo oryginalny i... średniowieczny.

Oddziaływanie hellenizmu w wiekach średnich rozciągało się jednak nie tylko na europejski zachód. Louis Réau (w „Les fresques de la cathédrale Saint-Dimitrij à Vladimir”, 1930) i Louis Bréhier (w „Les icones dans l'histoire d'art de Byzance et de la Russie”, 1932) stwierdzają, że już począwszy od w. IX, „artyści wracają do wzorów hellenickich... w mozaikach w Daphni, w Kijowie, w Wenecji, w Palermo...”. Taki był więc zasięg wpływów hellenickich w czasie najgłębszego „snu średniowiecznego”, na zachodzie, na południu i na wschodzie Europy.

OD GIOTTA DO TINTORETTA

Opuśćmy teraz na chwilę Polskę, Francję, Grecję i Rosję i przenieśmy się myślą do Włoch, które uchodzą za kolebkę renesansowej kultury. Przez cztery wieki, od w. VI do w. X, „sztuka chrześcijańska we Włoszech nie jest niczym innym niż tylko rozdziałem historii sztuki bizantyjskiej” — pisze Charles Diehl w „L'art chrétien primitif et l'art byzantin” (1928). Malarstwo nie tylko ściennie ale i tzw. stalugowe kontynuowało we Włoszech przez dalsze trzysta lat tradycje bizantyjskie. Ale pod koniec w. XIII pojawia się Giotto, którego Vasari uważał za ojca renesansowego malarstwa włoskiego, za kamień graniczny odznaczający początek drogi, gdzie zaczyna się historia nowoczesna, historia usamodzielnionej od wpływów bizantyjsko - wschodnich wyzwolonej Europy.

Polichromia Giotta w kościele św. Franciszka w Assyżu, gdzie zamiast jednolitego tła pojawia się pejzaż przestrzenny, a więc trzeci niejako wymiar, nie znany lub nie uznawany przez malarzy bizantyjskich, jest niewątpliwie rewolucją. I to rewolucją nie tylko ściśle malarską. Jest to nowy i śmiały hołd oddany naturze, radośna zdobycz dokonana przez Giotta wśród zielonych wzgórz Assyżu, pod kopułą niebiesko - złotego nieba, u stóp którego św. Franciszek pisał ode do słońca.

Pomimo to nie należy przeoczyć przemiany, bardzo symptomatycznej, która dokonała się w sztuce Giotta niedługo potem. W dziesięć lat po ukończeniu prac w Assyżu w r. 1305, maluje Giotto kaplicę de

Jedynym może artystą, który oczyścił doszczętnie sztukę Włoch z tradycji malarzkich, kolorystycznych i wschodniobizantyjskich, był Leonardo da Vinci. Budując obraz z matematyczną ścisłością inżyniera i usuwając świadomie ze swego dzieła elementy zmysłowe, a więc kolorystyczne, tworzy da Vinci surogat rzeźby przedstawionej malarstwem.

Ale w tym samym czasie, kiedy żył i pracował da Vinci, powstawały „bitwy” Ucella i freski Piera della Francesca w Ferrarze i „Papież Leon X z kardynałami” Rafaela, a niedługo potem pojawiły się płótna Tycjana i Tintoretta.

Już pięćdziesiąt lat temu spostrzeżono się, że klasycyzm i doskonała „europejskość” odrodzenia włoskiego są złudzeniem. Oto co pisał już pół wieku temu Eugène Muntz w „La Renaissance” (1889): „Rafaël, Michał Anioł, Giorgone i Wenecjanie... ograniczają się po prostu... do zręczności kolorystycznej... nie usiłując nadać swym kompozycjom jakiegos głębszego znaczenia... Jakżeż łatwo rozpoznać w tym dziedzictwo Wschodu, w tym przemawianiu do wzroku, a nie do ducha...!”

RENEANS BIZANTYNIZMU W TOLEDO I W AIX-EN-PROVENCE

Okolo r. 1570, w chwili najwyższego napięcia odrodzenia, przybył do Rzymu młody Grek z wyspy Krety, nazwiskiem Theotokopulos, i osiedliwszy się później w Wenecji, został mistrzem starego mistrza Tycjana. Życie w stolicy kupieckiej republiki było wówczas bujne, a na biesiadach artystów, na których uprawiano muzykę kameralną i recytowano wiersze, zjawiali się Tycjan, Veronese i Tintoretto. Nie doczekawszy się jednak poważniejszych we Włoszech sukcesów, przeniósł się Theotokopulos do Hiszpanii i osiedlił się w Toledo. Zwanego tu El Greco. Pierwsze płótno El Greca wykonane w Hiszpanii, jak np. słynne „El Spolio”, włączyć się dają jeszcze do dojrzałej fazy renesansowego malarstwa weneckiego i wykazują dużą zależność od Tintoretta. Ale wraz z przedłużaniem się pobytu w Toledo, mieście zamoż-



Henri Matisse: Przy fortepianie

stanowią, wskutek użycia płaskiego tła, jak również przez sposób ugrupowania postaci i kontrastów barwnych, dosłowne niemal powtórzenie mozaiki bizantyjskiej z San Apollinare Nuovo w Rawennie, przedstawiającej sceny z życia Chrystusa. Droga, którą przebyło potem, po Giottcie, malarstwo i rzeźba włoska, od Massaccia i Donatella, poprzez Rafaela i Michała Anioła, do Tycjana i Tintoretta, nie jest również prostą ewolucją i powolnym przechodzeniem od resztek bizantyżmu do pełnego klasycyzmu renesansowego.

Przed Gatamelattą i tańczącymi wedle klasycznych wzorów aniołami stworzył Donatello, u początku swej kariery rzeźbiarskiej, „Habakuka” i „Jeremiasza”, a w okresie późniejszym „Judytę i Holoferneasa”, arcydzieła, które z formy i z ducha bliższe są gotykowi i rzeźbie romańskiej niż Praksytelesowi i rzymsko - greckiemu klasycyzmowi.

Rafaël zaś, na którego dziele akademie wszystkich krajów do dziś dnia usiłują oprzeć „klasyczną” doktrynę malarską, choć niewątpliwie pod sugestią epoki, był wrażliwy przede wszystkim na formę, posiadał nieomylnie poczucie dwuwymiarowej płaszczyzny, na której urzeczywistnia się malarstwo. Wychodząc z formy rzeźbiarskiej, trójwymiarowej, tłumaczy ją Rafaël na dwa wymiary i przeistacza proporcje rzeźbiarskie na rytm dwu wymiarów swoim własnym, niepowtarzalnym sposobem.

nym, ruchliwym, lecz oddalonym od centrów kulturalnych, rozluźniają się związki sztuki El Greca z Włochami. Osamotnienie, które po pełnym wrażeń i podniecie ży-

„Męczeństwo św. Maurycego” i „Wniebowstąpienie”, to już pełny obraz ewolucji, jaką przebył El Greco w tolekańskiej samotni. Sztuka jego zatracca miękkość i ciepły, łagodny ton włoski, forma staje się surowa i kanciasta, a gama kolorowa — chłodna i szara. Idąc konsekwentnie nową tą drogą, dochodzi El Greco do własnej wizji, w której nie ma miejsca na bezkresną dal i na wtapianie figur w kolorową przestrzeń powietrza, i rekonstruuje malar-



Judas Zelotes (Mozajka w Baptisterium Ortoleoków w Rawennie, wykonana przez Neona, 449-458)

stwo na polu płaskie, malarstwo ograniczonej przestrzeni, elementy podstawowe sztuki bizantyjskiej.

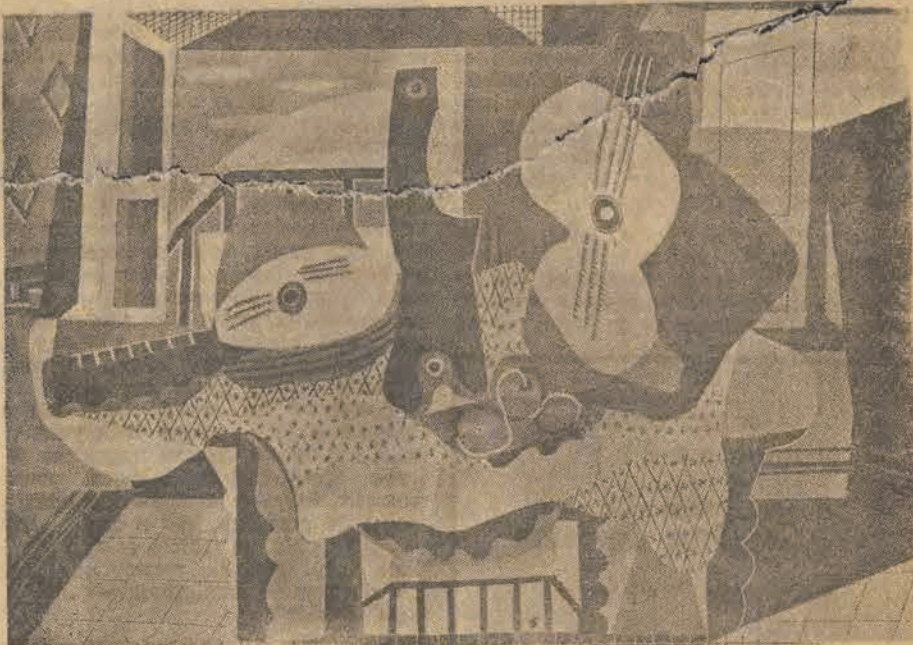
El Greco nie pozostawił w Hiszpanii ani nigdzie indziej naśladowców lub uczniów. A głośne dzieło Maurice'a Barrésa o „cudzie Toleda” pozostało by tylko spóźnionym hołdem, złożonym ogromowi osobowości nowoczesnego Greka, gdyby nie... Cézanne.

Dzieło Cézanne'a jest bowiem, w istocie swej treści identyczne z koncepcją El Greca; jest malarstwem ograniczonej przestrzeni i zdeteminowanych planów: sztuką diametralnie sprzeczną z tradycjami renesansowymi. Z malarstwa zaś Cézanne'a wywodzi się cała bez reszty, plastyka nowoczesna: kubizm, abstrakcjonizm wszelkich odcieni, jak również Matisse i Bonnard.

Ale przewrót dokonany w malarstwie przez Cézanne'a w chwili triumfu impresjonizmu, — podobnie jak niegdyś przełom El Greca wśród pełnej epoki renesansowej, — nie ograniczył się do samego tylko malarstwa, lecz zapłodnił i inne dziedziny sztuki i wytwórczości artystycznej. Dzielnicę miast nowoczesnych, które przybrały zgoła nowy, „kubistyczny” wygląd, wnętrza naszych domów, sprzęty, przedmioty użytkowe, draperie i dekoracje, wszystko to sprowadza się do rewolucji artystycznej, dokonanej przez samotnika z Aix. Tak to styl, z ducha bliski założeniom bizantyjskim, objął raz jeszcze w szerokim zasięgu stolice i miasta Europy zachodniej i środkowej oraz Ameryki i wycisnął na sztuce i życiu współczesnym piętno antyklasycznej, ze średniowiecza i bizantyżmu poczętej kultury plastycznej.

DWIE KULTURY CZY DWA ŚWIATY?

Z rozważań powyższych wolno zatem wynioskować, że teza o przeciwieństwie „dwóch kultur” utrzymać się nie da. Sugestie i wpływy, które szły z odwiecznych siedlisk wczesnego chrześcijaństwa, z Sy-



Pablo Picasso: Kompozycja

ciu we Włoszech, odczuwać musiał El Greco w Toledo, coraz mocniejsze wyciskać zaczyna piętno na jego pracach. Słynny „Pogrzebek hr. Orgaza” i późniejsze nieco

rii, Egiptu, Kapadocji i Grecji, słowem, ze Wschodu były i pozostały nie tylko dominującym składnikiem kultury plastycznej Zachodu, lecz w nich właśnie upatrywać

należy ostateczne źródło współczesnej formy i wyobraźni artystycznej Europy zarówno wschodniej jak i zachodniej, z Francją i Polską włącznie. Równoległe i równocześnie sztuka rzymska i hellenistyczna stanowiła już od pierwszych wieków chrześcijaństwa i stanowi po dzień dzisiejszy kanwę pojęć i system estetyczny, z których wieki średnie, nowocześnie i najnowsze, po swojemu, w rozmaitym stopniu, robiły użytek.

Czy jednak zadowolimy się samym tylko podważeniem tezy o „dwóch kulturach”, tego apriorycznego — w moim przekonaniu — i z wielu faktami niezgodnego rozróżnienia? I czy wyciągniemy stąd konkluzję, że zachód i wschód, północ i południe Europy i Ameryki, wraz z azjatyckim i afrykańskim pobrzeżem Morza Śródziemnego — to jeden obszar kulturalny, zjednoczony przenikającymi się wzajemnie wpływami i dzięki tak pojętej wspólności kulturalnej, przygotowany do dzielenia i organizowania w przyszłości wspólnego i jednakowego losu dla wszystkich zamieszkujących go ludów?

Przyjmując, że udało się nam, na naszkicowanym tu obrazie, zamazać do pewnego stopnia linie geograficzne, sztucznie wrysowane przez konwenans myślowy, między Wschód a Zachód, czy wyczerpalimy tym samym nasz przedmiot?

Zarzucając jako nieistotną i nierealną tezę o „dwóch kulturach”, wyczuwać będziemy jednak, że między dziełami poszczególnych artystów i zabytkami różnych epok istnieją inne, niezmiernie głęboko się-

gające przeciwieństwa; że niezależnie od południków i równoleżników, którymi pokrątkowaliśmy sobie glob ziemski, istnieją dwie zdecydowanie różne klasy produkcji artystycznej, niezgodne i kłócące się z sobą dwa światy, niechętnie, nienawistnie niemal wobec siebie ustosunkowane na przestrzeni czasów i ziemi. Przeciwnieństwa te nie wiążą się ani z geografiami, ani z charakterem kultur. Są one innej zgola natury. Opisać je i określić przepaść dzielącą sztukę autentyczną od komercyjnej, prawdę widzenia i odczuwania, bezinteresownie wypowiedzianą, od technicznie sprawnego rzemiosła — jest chyba niepodobniństwem. Na jednym z tych biegunów mieszczą się „Niewolnicy” Michała Anioła i „Holofernes i Judyta” Donatella, na drugim — „Perseusz” Celliniego i „Herkules” Boldiniego; na jednym — „Samoterra” i „Napoleon” Michałowskiego, na drugim — obrazy batalistyczne i portrety Wojciecha Kossaka.

SZTUKA PLUTOKRACJI I POLSKI „PRYMITYWIZM”

Kiedy wspinamy się wśród skał i grobowców pokrywających wzgórza, na którym wznosiły się niegdyś pałace i mury warowne Miken, stajemy zniechęca wobec Lwiej Bramy. Kto widział to potężne archydale w naturze, w oryginalnych proporcjach, nie zmienionych przez reprodukcje, pojmie kłopotliwe wyznania historyków sztuki, że „artystycznie Lwia Brama stoi wyżej niż większość prac późniejszej epoki”.

Oko w oko z geniuszem helleniskim stajemy również w małym muzeum ateńskim, schowanym na zboczu Akropolu. Zgromadzonych tu okazów rzeźby i zw. archaicznej, przedklasycznej, nikt z „miłośników sztuki” z pierwszej połowy w. XIX nie wywoził i nie kradł do muzeów zachodnioeuropejskich, uważając te dzieła za produkty okresu „prymitywnego”, „przygotowawczego”, „jeszcze niedorozwiniętego”. Wśród rumowisk akropolu i osiedli greckich grzebano i dogrzebywano się dzieł z epoki Peryklesa i czasów późniejszych, gdzie wszystko — ciało ludzkie, draperia, postawa i „wyrząd twarzy” — są „już” bardzo naturalne, „trafne” w proporcjach i... coraz bardziej pozbawione formy. Ta zaś właśnie sztuka, rzeźba z okresu schyłkowego, z w. IV—I, jak również sztuka Rzymian, bez ceremonii przetwarzających greką poezję formy na banał portretów i wizerunków, stały się fundamentem i artystycznym kapitałem zakładowym zachodnioeuropejskiego „odrodzenia”.

Odrodzenie nie było bowiem — jak wiadomo — ewolucją sztuki Hellenów z okresu jej świetności, lecz nawiązaniem do dzieł dekadencji antycznej.

Nie wdając się tutaj w wykrywanie związków między sprawami sztuki a warunkami gospodarczo-społecznymi, nie możemy powstrzymać się od wskazania na zjawisko, które jak mi się zdaje, powtarza się parokrotnie w toku historii. Mianowicie: w chwili, kiedy państwa czy narody bogacą się raptownie, jak Ateny w w. V przed Chr., jak państwa basenu śródziemnomor-

skiego (Włochy, Hiszpania i Francja) z końcem XV w. lub jak Wielka Brytania w drugiej połowie XIX w., następuje snobistyczna pogoń za przepychem, za zużytkowaniem pośpiesznym i w jak najszerszym zakresie wszystkiego co mogło by ozdobić i uświetnić zamożność i splendor bankierów, kupców i plantatorów. Wyciągają więc Fuggerzy, Medyceusze, Sforzowie i ich angielscy następcy z lamusa przeszłości gotową formę i dostojną patyną antyku pokrytą mitologią, chępiąc się nimi jak Afrykańczycy, obwieszający się produktami seryjnego przemysłu europejskiego.

Czy nie jest np. symptomatyczne, że Anglia (która, z wyjątkiem dwudziestu lat działalności Constable'a, Bonningtona i Turnera, nie zdobyła się dotąd na wytworzenie ogniska twórczej sztuki) przeżywa okres najgłębszego upadku w plastyce i architekturze w epoce wiktoriańskiej, w czasie najwyższej „prosperity” Imperium?

Nie wszystkie jednak państwa i narody przeszły „epokę wiktoriańską”. W Polsce, z wyjątkiem krótkiego okresu, kiedy byliśmy „spichlerzem Europy”, nigdy dołądziła żadna klasa społeczna nie zdążyła się bardzo z bogactw i w bogactwie zasiedzieć. Sprowadzali co prawda panowie świeccy i duchowni różnymi czasami artystyczne „nowinki” do kraju i drugorzędnych lub trzeciorzędnych cudzoziemskich artystów. Ale, z wyjątkiem jednego chyba tylko Norblina, malarze ci i rzemieślnicy nie zdołali przetworzyć podstaw wyobraźni plastycznej w naszym kraju. Dowodem tego wulkan malarstwa, który wybuchł u nas z końcem XIX w., ze swym nieokiełznanym przepychem barw, barbarzyńską formą i antyklastycyzmem, właściwościami, które witano zawsze na polskich wystawach, urządzanych na Zachodzie, jako egzotykę.

Ponieważ nie przeszliśmy nigdy w plastyce gruntownie przez odrodzenie, ponieważ nie zasymilowaliśmy importowanych manier narodów i klas bogatych, malarstwo nasze, także i współczesne, pozostało (z wyjątkiem nielicznych i w kraju niepopularnych artystów) w pewnym sensie prymitywne i luźno związane z kulturą plastyczną Zachodu. Plastyka nasza, także i najmłodsza, manifestuje natomiast — w swym ogólnym charakterze — związki z tymi czasami i ośrodkami sztuki, kiedy i gdzie rzemieślnicy-artyci kształtowali formy i na ścianie kościoła kładli kolory z radością dziecka, bawiącego się tęczą. Tak jak to bywało w plastyce średniowiecza, w sztuce zaprawionej „bizantyjskim smakiem”.

HENRYK GOTLIB

SEWERYN POLLAK

Problemy inteligencji w ZSRR i u nas

Dużo uwagi poświęca ostatnio prasa radziecka zagadnieniu współpracy inteligencji w dziele odbudowy kraju i tworzenia nowych wartości kulturalnych w oparciu o masę ludową.

Mołotow w przemowie z okazji 28-iej rocznicy rewolucji październikowej podkreślał olbrzymi wkład inteligencji radzieckiej w walkę z niemieckim najeźdźcą. Wojna wykażała czym stała się inteligencja w okresie panowania władzy sowieckiej. Zagadnienie podstawowych różnic pomiędzy starą i nową inteligencją przestało istnieć. Całe pokolenie najlepszych ludzi w Rosji narodziło o takim zlanu się losów inteligencji z losami mas ludowych, jakie osiągnięto obecnie. Stało się to możliwe w warunkach rzeczywistości sowieckiej, na podstawach sowieckiej demokracji. W tych warunkach zostały usunięte stare różnice pomiędzy inteligencją rosyjską a resztą narodu — różnice, które były z jednej strony źródłem przerosłów indywidualizmu wśród inteligencji, z drugiej strony kulturalnego zacofania w masach ludowych.

Warunki demokracji sowieckiej nauczyły inteligencję rosyjską myśleć kategoriami historycznymi, a jednocześnie, wzmagając poczucie odpowiedzialności, nakazały brać udział w tworzeniu historii. „Literaturnaja gazeta” w artykule wstępnym pt. „Źródło mocy” podkreśla przy tym poważny wkład, jaki w procesy te wniosła literatura. „Najlepszymi utworami w latach wojny były te utwory, w których brzmiał wzburzony głos pisarza — współczesnika wielkich wojennych czynów narodu radzieckiego, utwory, w których wyrażona była niezachwiana prawda naszych czasów”. Literatura w ZSRR była wyrazem dążeń i walki całego narodu i dlatego — zdaniem „Literaturnoi gazety” — stała się z kolei źródłem jego mocy, gdyż utwory literackie, które powstały w latach wojny, bezpośrednio oddziaływały jako nauka patriotyzmu, swego rodzaju doping ideologiczny dla walczącego narodu.

Jednocześnie moralno-polityczna społeczność sowieckiego miała decydujące znaczenie w zwycięskiej walce z faszystwem. Jednocześnie w jedności tej autor artykułu widzi podstawę, na której oprzeć się ma naród w pokojowej walce o odbudowę kraju, w walce z rozprzeżeniem powojennym, w tepieniu pozostałości faszystowskiej okupacji.

W pracy tej wielką rolę ma odegrać inteligencja radziecka. Jak twierdzi Mołotow, współdziałanie w rozwoju demokracji jest jednocześnie wypełnianiem „zadań politycznego wychowywania narodu w duchu obrony

pokoju światowego, w duchu utrwalania przyjaźni i współpracy pomiędzy narodami, co nie tylko nie wyklucza, lecz przeciwnie, postuluje konieczność demaskowania wszelkich usiłowań odrodzenia faszystów i przygotowywania nowej agresji, o czym nie wolno zapominać w latach powojennych”.

Oczywiście u nas, w innych warunkach społeczno-politycznych rola inteligencji w pracy nad odrodzeniem narodu polskiego przedstawia się nieco inaczej.

W okresie konspiracji inteligencja odegrała niezmiernie ważną rolę jako czynnik pobudzający ducha wobec okupanta. Niepoślednie znaczenie miała tu również literatura. Liczne tajne czasopisma, między innymi pisma literackie takie jak np. „Przełom”, organ radykalnych intelektualistów, gdzie były drukowane, a raczej odbijane na hektografie artykuły Żółkiewskiego, Kotta, wiersze Jastruna, — bezwzględnie wpłynęły na zachowanie niezależnej postawy wobec rzeczywistości okupacyjnej. Niemniej w obecnej chwili wśród inteligencji polskiej daje się zauważyć pewnego rodzaju regresję.

Mówił o tym wyraźnie R. Zambrowski na zjeździe PPR w Warszawie: „Istnieje niewątpliwie szereg przyczyn obiektywnych, jak i siła tradycji, które spowodowały fakt, że inteligencja nasza nie zajęła jeszcze tego miejsca w naszej społeczności demokratycznej, jakie się jej bezspornie należy... Ta postawa inercji i obojętności politycznej w dużej części inteligencji technicznej i chorobliwej opozycyjności wobec naszego ustroju demokratycznego w dużej części nauczycielstwa zawiera w sobie duże niebezpieczeństwo i może mieć fatalne skutki zarówno dla pozycji inteligencji w społeczeństwie jak i dla tempa rozwoju gospodarczego i kulturalnego naszego kraju”.

Jak widzimy z tych dwu relacji, różnica pomiędzy rolą inteligencji sowieckiej a inteligencji polskiej w demokratyzacji życia każdego z narodów jest bardzo wielka. Jasne, że w naszych warunkach społeczno-politycznych przykład sowiecki nie jest i nie może być dla nas wzorem. Należy uwzględnić szereg przyczyn historycznych i psychologicznych, które to warunkują.

Niemniej obiektywnie, a częstokroć wrogi stosunek części inteligencji polskiej do tych przemian społecznych i ekonomicznych, jakim ulega naród polski w koniecznym wyniku ostatniej wojny, przemian zresztą nieodwrotnych, powszechnych w Europie — jest niebezpieczny w konsekwencjach przede wszystkim właśnie dla tej warstwy społecznej. Niebezpieczeństwo polega na możliwości eliminacji licznej grupy inteligencji z udziału i wpływu na rozwój życia społecznego. Oczywiście każdy okres historyczny, każda mniej lub więcej głęboka przemiana w strukturze społeczeństwa odrzuca pewne jego warstwy, które w zasadzie urzędnie dążyły nawet do przemian, lecz z chwili, gdy przemiany te stały się faktem dokonanym, odczuwają zbyt głęboką wewnętrzną opory, by jak się wyraził Zambrowski — „iść z epoki moga w nogę”.

Opory te — to skamieniałe sposoby myślenia, nieumiejętność wyrwania się z pet tradycji, to resztki przesilenia na teren inteligencji szlachectwa przesadu o uprzywilejowanej nawet w sensie korzystania z dóbr kulturalnych klasie społecznej. Im prędzej in-

teligencja zawodowa i intelektualści zrozumieją, że praca ich ma służyć całemu narodowi, im prędzej przestaną się traktować jak rzekomo odrębną klasę społeczną — tym dla nich samych będzie lepiej. Mówię „rzekomo”, gdyż ci, którzy najwięcej szermują argumentem odrębności interesów inteligencji jako klasy, najbardziej byli związani z tymi wszystkimi formami reżimu, nawet nie ustroju, które już wrócić nie mogą.

Z drugiej strony inteligencja, ażeby mogła dać jak największy wkład w dzieło odbudowy gospodarczej i kulturalnej kraju, musi mieć bezwzględnie zagwarantowane znośne przynajmniej warunki bytu.

Ten proces włączania się inteligencji w nurt rozwoju społecznego nie może się, rzecz prosta, dokonać natychmiast, lecz przyspieszenie go droga uświadamiania inteligencji polskiej jej właściwej roli w życiu narodu leży w interesie wszystkich.

Książka dla młodzieży

Czytanka ta, jak wyjaśnia we wstępie T. Wojcieński, przeznaczona są głównie dla Śląska i mają przyjąć z pomocą uczącej się młodzieży tej dzielnicy i innych obszarów Polski, włączonych do Niemiec w czasie okupacji lub odczytanych dopiero w wyniku wojny. Ponieważ na ziemiach tych brak podęczników, a szersza akcja w tej chwili jest jeszcze niemożliwa, niniejszy zbiór czytańek, mający zadość uczynić najpilniejszym potrzebom, pomyślany jest w ten sposób, że korzystając z nich może zarówno młodzież klas VI i VII szkoły powszechnej jak i z pewnych czytańek młodzież IV i V klasy a także młodzież klas gimnazjalnych.

Książka podzielona jest na cykle. Cykl I obejmuje garstkę krótkich opowiadań i wierszy poświęconych ziemi śląskiej. Cykl II ma za cel zobrazowanie piękna „Ziemi ojczystej”. Cykl ten otwiera Hymn „Jeszcze Polska”. Krótkie fragmenty z Mickiewicza, Konopnickiej, Przybyszewskiego, Reymonta, Żeromskiego, Orkana, Staffa, Dygasińskiego i in. zestawione są tak, że mogłyby dostarczyć sporo materiału wyobraźni i uczuciowości dziecku. Poziom jednak poszczególnych utworów jest zbyt nierówny, wynika to niewątpliwie z niemożliwego do spełnienia założenia autorów, czasem przypadkowy. Interesujący fragment Przybyszewskiego „Znad Gopla” opowiada kilka szczegółów o młodości Kasprowicza, ale utworów Kasprowicza jest zbyt mało w książce, a te, które pomieszczone są tak słabo, że tylko szkoda przeczytać mogą i pocieić i dziecko, które będzie je czytało.

Cykl III ilustruje „Odwieczną walkę z zalewem germańskim”. Bardzo dobrze pomyślany i najlepiej ułożony rozdział książki. A więc chok fragmentów z Mickiewicza — Kraszewski, Sienkiewicz, Żeromski (wstrząsający opis rzezi Gdanską z „Wiatru od morza” i urywek o Fryderyku II) aż po opowiadania i szkice z powstania warszawskiego 1944 r. z rzeczowym, wziętym sprawozdaniem o bohaterskiej walce AL-u i Smierci członków jego sztabu w ruinach domu przy ulicy Freta. Z wierszy wyróżniają się utwory Broniewskiego „Zydom polskim” i „Syn podbitego narodu”.

Jeżno zastrzeżenie, dotyczące zresztą całej książki: za wiele tu uwzględniło, za mało nieco większych opowiadań, które by mogły przykuć uwagę młodego czytelnika. Jeżeli podaje się „Wstęp” z „Konrada Wallenroda”, to należy podać w całości, nie obcinać go po barbarzyńsku. Również z „Kryżaków” należało wybrać większy fragment; wiemy przecież, że nie podobna liczyć na to, by w bliskim czasie można było dostarczyć tych książek szerokim masom młodzieży.

Rozdziały następne oparte na tematach: IV — „Dom i szkoła”, V — „Wiedza to potęga”, VI — „Praca i walka”, VII — „Ku lepszej przyszłości”. Rozdział VII ostatni „winien” czytamy we wstępie — wprowadzić młodzież w tok nadchodzących wypadków i zmian w życiu politycznym i społecznym”. O pierwszej Armii informuje szkic Adama Ważyka, o polsko-radzieckim braterstwie broni pisze Zanna Kormanowa, o Narwiku Ksawery Pruszyński. Pod względem ideologicznym cykl ten jest dobrze pomyślany, przygotowany należyście poprzednimi rozdziałami, lecz utwory nie zawsze umiejętnie wybrane, czasem słabe formalnie, więc nieprzekonywujące.

Poza tym autorowie zbyt bezceremonialnie skracają utwory, np. znana i zawierająca silne strofy „Modlitwa” Tuwima urwają się na okropnym zdaniu: „Jeśli oczyszczającym ogniem będzie dla naszych dusz nadziwitych”.

Zasadniczą wadą Czytańek jest ignorowanie wartości artystycznych, niedostateczny nacisk na wybór z klasyków naszej literatury, zbyt propagandowo-publicystyczny charakter książki.

Ideologia demokracji jest na tyle silna i ugruntowana w najlepszych tradycjach literatury polskiej, że nie musi uciekać się do powierzchownej retoryki. Powinny jej być obce jednodniowe metody propagandy. Autorowie nie zawsze zdawali sobie z tego faktu sprawę, i to jest głównym grzechem tej dobrze zamierzonej, lecz gorzej wykonanej książki.

* Ku lepszej przyszłości. Czytanka polskie dla starszej młodzieży szkół powszechnych i kursów dla dorosłych. Zestawili H. Schöpper i T. Wojcieński. Państw. Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa—Katowice 1945.

W. MAJAKOWSKI
DOBRZE!

Poemat październikowy
Przełożył ARTUR SANDAUER

Spółdzielnia Wydawnicza
„KSIĄŻKA” — 1945. Str. 70.

Do nabycia we wszystkich
księgarniach. 18 zł.

Rozmaitości

Kłótnia o Mickiewicza

Dzisiejszy czytelnik „Trybuny Ludów“ będzie zdumiony aktualnością niektórych myśli, stronic, artykułów. Całkiem niepotrzebnie, bo walka o socjalizm trwa, a „Trybuna Ludów“ pisal socjalista. Podstawowe antagonizmy społeczeństwa kapitalistycznego nie uległy znowu tak wielkim zmianom od czasu, kiedy najdziwniejszy poeta polski, przedwojennie za miłki, zrobił złośliwy kawał „narodowcom“ późniejszych generacji i zaczął głosić hasła socjalistyczne. Było by oczywiście demagogią twierdzenie, jako by tkwiła w tym jakaś nieuchronna konsekwencja, ale że chwilowa ofiara carskiego prowoka Towiańskiego wykonała przy tym skok na pozór dziwaczny, ten skok stał się konsekwencją mickiewiczowską i zaokrąglił obraz moralny największego z drobnej szlachty, jacięgo Polaka wydatka. Trzeba było bezwystydnej perfidii rodzimej prawicy, świętoszków piszących historię literatury, profesorów układających święta narodowe, komentatorów i uzurpatorów, aby przedstawić jako wyskok wygaszonego wiejszcza wszystko co działo się w tym okresie, jego samozwańcze posłowanie w Europie, użerania się z papieżem, legiony włoskie i żydowskie, zwłaszcza zaś tę trybunę, zlekceważy ją i od biedy wybaczyc. Trzeba było fatalnej głupoty i sekciarstwa lewicy polskiej, aby przeoczyć tę drobną szacherkę i pogodzić się z postawie niem na opak przez prawie całą twórczość, całej działalności, całego temperamentu mickiewiczowskiego. A jak się widzi Mickiewicza, tak się patrzy na wszystko, co jest w tradycji narodowej. Okaleczony i skamieniały stał przez lat kilkadziesiąt w szlakońskim pantofelku, utrapienie uczniaków gimnazjalnych z kijem pielgrzyma w ręce, a dla ludu, i to tylko dla wiejskiego, została okruszynka zdmiana, jałmużna westchnienia, żeby kiedyś zbłądziły pod strzechy te rzeczy liryczne i epickie, w których krążyły najświetniejsze soli wielowiekowych doświadczeń poetyckich, rzeczy, które się same błakać nie będą, ale będą czekały, Panie Ministrze Oświaty, aż strzechy do nich podejda.

Jak się widzi Mickiewicza, tak się patrzy na wszystko inne, na dzieje postępu myśli społecznej i rozwoju form poetyckich. Jak się widzi Bullady i Sonety, Dziady Wileńskie i Drezdeńskie, Pana Tadeusza i Trybunę Ludów... A kazano widzieć nam tak, że konserwatywni uzurpatorzy zawsze mieli rację. Mogli nawet przyznać, że Mickiewicz był socjalistą, ale zaraz dorzucali, że to był chrześcijański socjalista, taki jak ksiądz Lamennais. Ostro w Trybunie Ludów przeciw posiadaczom występował, ale Trybuna to tylko publicystyka, a za to Pan Tadeusz, wielki poemat narodowy, jest opowieścią szlachecką. Wy przeprowadzacie reformę rolną bez aprobaty szlachty, a on chwalił Zosię i Tadeusza za to, że sami uwłaszczyli chłopów. Wy chwalicie racjonalistów, a on mówił, że nie mędrca szkiełko i oko... On się w szaleństwie improwizacji siłował z Bogiem, a wy wzruszacie ramionami. Słowem był wielkim duchem, a wy powiadacie, że był drobnym szlachećcem. Zresztą, tym lepiej — z polską szlachtą polski lud, solidaryzm społeczny, ale nie walka klas, którą wy uważacie za podstawę życia społecznego.

W kłótni o Mickiewicza można wywijać setki sprzecznych cytatów, pobić nimi na głowę przedstawicieli wszystkich obozów, a kiedy adwersarze będą już pobić, na placu pozostanie pustka i dostojna nuda. Oszustwo uzurpatorów często jest produktem ignorancji. Po prostu nie wiedzą, że sto lat temu skojarzenia idei musiały być inne niż dzisiaj, te same myśli wyrażały inną postawę wtedy, a inaczej będą układały się dzisiaj. Zabarwienie religijne socjalizmu Mickiewicza stawiało go bliżej jakobinów, niż dzisiejszych „chrześcijańskich demokratów“ Austrii, a jeśli poszukacie następców księdza Lamennais, to znajdziecie ich chyba wśród księży baskijskich, którzy ginęli na barykadach republiki. Socjalizm Mickiewicza wykluwał się dopiero z łupinek utopii — czy byli gdzieś w Europie w tym czasie, może poza jedynym Heinem, poeci bardziej zaawansowani w myśli społecznej? Doza mistycyzmu była nieodzowna jeszcze dla Saint-simonistów. I chyba powinno się wiedzieć o tym, że na dwóch przeciwnych biegunach sadził się mistycyzm w roku 1846 i Anno Domini 1946. Wtedy to zdobył Jakuba Szele, a dzisiaj... Gdyby nasze tradycyjne spojrzenia na Mickiewicza zawierały choćby małą szczyptę takiej dialektyki, jałmużnę wykalat Mickiewicz w traktowaniu niedawnej stosunkowo przeszłości w „Panu Tadeuszu“, niekiedy się nie ośmielił mieszać rewolucyjnego temperamentu ówczesnego drobnego szlachećca z reakcyjnym furorem dzisiejszej rozparcelowa-

nej szlachty. Serdeczne wyrazy pod adresem Mickiewicza, że nie był racjonalistą, kiedy pisał ballady, słyszałem niedawno nawet w gronie radykalnej inteligencji. Czemu to odszedł od wolteriańskiego racjonalizmu pierwszych lat studenckich? Słuszną było w owym czasie rzeczą przeżywać w gronie młodzieży wileńskiej, z opóźnieniem uzasadnionym różnicą geograficzną i jeszcze inną, ów racjonalizm, zwłaszczający niedługo rewolucję francuską. Mickiewicz odejść od niego musiał, bo nie był panem Bürota, mydlarzem urastającym w burżuazję. Czemu nie był realistą, kiedy pisał „Dziady“? Sięgnijcie do podręcznika literatury, a nie będziecie zadawali tak naiwnych pytań.

Nie, lepiej już nie sięgaćcie.

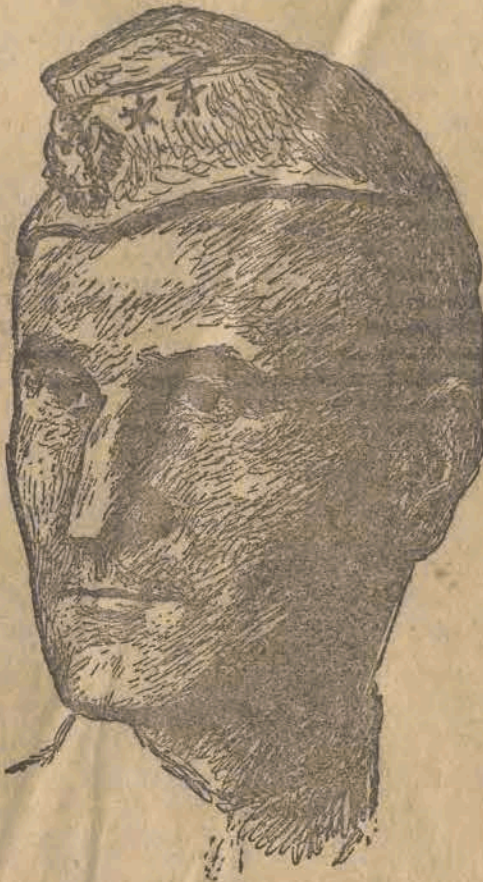
Z okazji rocznicy Mickiewiczowskiej ukazało się i nadal ukazuje wiele ciekawych artykułów, wiele cennych uwag współczesnych pisarzy. To dla was, czytelnicy, aby pocieszyć was, że jednak ten rewolucjonista nie był taki, jak go malują w podręczniku. A co dla biednych uczniaków?

ADAM WAŻYK

NOWE TOMY WIERSZY

„Lata powrotu“ Leona Pasternaka

Próbującym zamknąć międzywojenną twórczość poetycką w schematach „Skamander — awangarda“, czy też podobnie, według klucza poetyckich grup czy grup, nie mieściła się w nich zazwyczaj i stanowiła grupę odrębną twórczość tak zwanych wówczas poetów proletariackich. Wiele było z tym zazwyczaj zmartwienia, ponieważ w systemach porządkujących, jakiego przyjmowano, temin ten nic ścisłego nie oznaczał i toczono długie dyskusje nad



P. Nowak

tym, czy rodzaj poezji proletariackiej istnieje naprawdę, czy też przedstawiciele jej należy uznać za twórców różnych gatunków. W istocie trudno zaprzeczyć, że mimo wszelkich indywidualnych różnic w twórczości poetów walki o sprawiedliwość społeczną w Polsce, był pewien rys wspólny, narzucony przez programowość i tematykę ich wierszy. Na cechach formalnych poezji nie może nie odbić się fakt, że jako zadanie naczelne stawia ona sobie przemawianie do mas, a nie kameralny jedynie wydzwitek. Poezja „proletariacka“ była gatunkiem, chociaż tym, co nadawało jej cechy rodzajowe odmienne nie była bynajmniej sama tylko proletariackość.

Dopiero lata wojny ukazały jak bardzo poezja walcząca o ideał społeczny, z Broniewskim na czele, bliska była i pokrewna temu, co w istocie uważać można za wspólny z nią gatunek, a mianowicie — poezji żołnierskiej. „Lata powrotu“ Leona Pasternaka, jednego z głównych przedstawicieli liryki proletariackiej przed wojną — to w dalszym ciągu poezja walki, tym razem jednak głównie o wolność i niepodległość narodu.

Wiemy dobrze, że obok klasycznych strof Ważyka, impresji Putramenta i kronikarskiej epiki Szenwolda, Pasternak był również jednym z czołowych poetów Armii Polskiej, tworzonej w Związku Radzieckim. Obok zawierających wierszy różnych

Pokolenie poetyckie, które dojrzało w przededniu, a często już i w czasie wojny, miało o wiele bardziej utrudnione kontakty z całą tradycją naszej współczesnej poezji niż ci poeci, którzy debiutowali w latach poprzedzających wojnę. Gdy bierzemy do ręki tom debiutanta z lat 1936 - 39 spostrzegamy, jeśli będzie to debiutant utalentowany, że jego, najczęściej epigoniczne, nawiązywanie do ulubionych gatunków poetyckich poparte jest prawie całkowitą identyfikacją stylu, budowy wiersza, t zw. „chwytów“ z owym gatunkiem, do którego debiutant się poczuwa.

W epigonizmie debiutantów przedwojennych (bo wreszcie debiut przeważnie bywa epigoniczny) były ślady długotrwałego obcowania z poezją wybranego przezeń gatunku. I w tym nieomal naukowym podejściu debiutanta do wzorów była pewna gwarancja tzw. poziomu kulturalnego, co nie jest, zwłaszcza w naszych warunkach, zupełnie do pogardzenia.

Debiuty czasu wojny i te, które zaprezentowano nam w ostatnich miesiącach wyglądają nieco inaczej.

Oczywiście, młodzież poetycka, która wyrastała na poetów w ciągu pięciu długich lat okupacji, pozbawiona możliwości normalnej wymiany kulturalnej, odcięta od Zachodu i od Wschodu (przypomnijmy tu ogromny wpływ liryki rosyjskiej na młodych Skamandrytów: Blok, Balmont, Majakowski, Jesienin z jed-

rodzajów „Lat powrotu“ wyszły w kilku wydaniach jego popularne piosenki żołnierskie i tryczno satyryczna muza Pasternaka zadośćuczyniła potrzebom zamówienia społecznego wszędzie tam, gdzie odzywał się apel do wspólnej walki z faszyzmem.

„Lata powrotu“ składają się z wierszy pisanych w latach 1939 — 1945 na Ukrainie, Krymie, Kaukazie, w Moskwie, Kazaniu, Saratowie, Kujbyszewie, w drodze na front, wreszcie — na gruzach, w Warszawie. Podpisany przy każdym utworze rok i miejsce jego powstania znaczą szlak tułaczy autora. Zrazu ziemia bratniego państwa o wymarzoną ustrój znaczą się w wierszach barwami przeżyć i przygód, Ukraina wywołuje cień Szewczenki, przemawia legendą i kominami Dniepropietrowska, przywodzi na myśl reminiscencje podroży twórcy „Sonetów krymskich“, wkrótce jednak choć ziemia wygnania jest ziemią z obcych najbliższą, zaczyna ona ciężko pocieć nostalgią, stopniowo coraz silniej przebijającą przez strofy tęsknoty pełnych wierszy, póki nie znajduje ujścia i nie rozładuje się całkowicie w nucie żołnierskiej, w bohaterkiej chwale i Dywizji i i Armii:

Może nigdzie tak wolnym w swej tułaczkiej niedoli
Być nie mógłbym — jak grzech dzisiaj
wyznam.

Lecz gdy kraj mój w niewoli, jam
choć wolny w niewoli,
choć po stokroć ojczyzna — ale przecie
obczyzna.

— pisze w Saratowie w roku 1942. W dwa lata potem jest na drodze wiodącej do Polski, na słynnej „warszawskiej szosie“, w wojsku, którego żołnierskiego ducha i nastroju nie może lepiej nie wyrażać, niż owe strofy w rytmie „Trzech Budrysów“, które dziś służą mogą za kamień węgielny legendy otaczającej i Armii i które są zarazem ducha tej Armii najwzniekszą, najlepszą charakterystyką.

Jako rodzaj, wiersze Pasternaka oscylują pomiędzy czystą liryką o przeważającym mimo społecznych akcentów nurcie osobistym („Kazań“, „Ulica Kochanowskiego“, „Patrząc na Wolę“, „Piosenki“) lub obrazowości („Noc pod Kaniowem“, „Spotkanie z Legendą“), a najczęściej spotykana poezja typu patriotyczno - żołnierskiego, retoryczną zwartą (Na biwaku, Opowieść, Kolenda, Droga, Do Polski, Werbel i t.p.), oraz poezją o podłożu satyrycznym („Bruk emigracji“, „Niemcy nad Donem“).

Za specjalny rodzaj, często stosowany, uważać by też można u Pasternaka typ rymu wanej gawędy, składającej się w dużej części z partii wierszem oddanych dialogów. („Rozmowa“, „Opowieść“, „Niemcy nad Donem“).

Formalnie poezja Pasternaka, jak większość wierszy tego typu, utrzymuje się w ramach chwytów tradycyjnych. Jej nurt zdobywczy i przodownictwo wyraża się całkowicie w tym, co głosi, nie sięga po laury inne, miało by się to zresztą zapewne z jej celem. Jako świadectwo dziejów lat grozy, widzianych od strony walki o wolność, toczonej na ziemi naszego wschodniego sąsiada i sojusznika, wiersze Pasternaka są niewątpliwym wkładem. Nie jeden inteligent, robotnik, chłop znajdzie w nich wyraz bliskich sobie, ludzkich wzniesień i dzieje spraw, które legły u kolebki zdobytej wysiłkiem bojowników polskiej lewicy, wolności naszego kraju.

Ryszard Matuszewski

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

Wiersze Marii Castellati

nej, Kuźmin i akmeiści z drugiej strony), a przy tym, co najważniejsze, tworząca sobie sama nową hierarchię wartości: społecznych, moralnych, a więc i artystycznych, ta młodzież różni się wielce od „grzecznych dzieci“ poprzednich lat.

Sytuacja ta miała swoje złe i dobre strony. Złe — bo niewątpliwie niektóre debiuty sprawiają wrażenie nieartykułowanej mowy barbarzyńcy, któremu się wydaje, że wystarczy krzyknąć zawile i głośno, by zmusić czytelnika do pilnego słuchania. Złe — bo jak to z wielu publikacji wynika, poeci niepotrzebnie zatrzymują się na etapach dawno już przez poprzednie pokolenia przeżytych, tym samym zatrzymując w rozwoju i własną twórczość i ogólny proces naturalnego przekształcania się form i treści poetyckich.



Należało by przede wszystkim wykreślić dokładną linię podziału między twórczością, której wyniki traktować możemy wyłącznie jako zjawisko kulturowe, jako dokument socjologiczny (myśle tu np. o przeważnie ilości wierszy drukowanych przez literackie czasopisma chłopskie lub młodzieżowe itp.) a twórczością, która, godząc się lub buntując przeciwko dotychczasowemu dorobkowi poetyckiemu, stanowić będzie jego kontynuację.

Dziś bowiem przestają obowiązywać linie podziału na awangardę i passelizm. Okazuje się, że nowoczesność techniki poetyckiej nie zawsze implikuje humanistyczną postawę poety. Raczej przeciwnie. Może tu leży tajemnica powrotu takiego poety jak Ważyk na drogi nieomal klasyczne. Zastanawiającą jest również ewolucja Aragona: od surrealistycznego rozluźnienia formy do tradycji francuskich ballad, przy zachowaniu, rzecz jasna, wszystkich pozytywnych stron dawnej techniki. Wszystko to, co napisałem poprzednio, to dywagacje na temat tomu wierszy Marii Castellati „Pole Mokotowskie“. Wydaje mi się, że to jedyny debiut, który należy traktować na serio.

Wiersze Castellati nie wyskoczyły jak Pałlada z głowy Zeusa, jak to się często dziś zdarza.

Przywykło się dziś mówić o poezji społecznej, mając zapewne na myśli tematykę wierszy. W tym sensie większość utworów liryki europejskiej byłaby niespołeczna. „Pole Mokotowskie“ to poezja społeczna w innym sensie: te wiersze są komunikatywne, są ludzkie, humanistyczne. Wiersze o miłości i o śmierci. O czym jeszcze można wreszcie pisać wiersze? I o walce — bo przecież są takie okresy historyczne, gdy jeszcze jeden temat przybiera poecie z kategorią tematów „wiecznych“.

Temu, kogo nie przekonam, że poezja jest „społeczna“ z tą chwilą, gdy jest ludzka, powiem więcej o wierszach tego tomu. Castellati nie uniknęła jasnego precyzowania swego stosunku do rzeczywistości i sądzę, że precyzowała go bardzo świadomie. Świadczy o tym szereg wierszy: „Epitaphium“, wiersz tytułowy „Pole Mokotowskie“, „Próg Ojczyzny“. I dlatego wydaje mi się, że dwa wiersze w tym tomie są zbędne: „Włodzimierzowi Majakowskiemu“, „23 października 1943“. W nich bowiem poeta mówi przecież to samo, co i w innych wierszach. A jeśli technika tantych jest własnością autorki, to dwa zbędne wiersze tego tomu noszą wszelkie cechy stereotypowego plakatu. Takie wiersze miały niewątpliwie w pewnym okresie ogromne znaczenie mobilizacyjne. Dziś one nie mają, dźwięczą sztucznie, jak stylizacja. Myślę, że należy je usunąć poza linię podziału, do kategorii zjawisk kulturowych i dokumentów socjologicznych.

Antorce drogie jest „dzieło godne rak człowieka“. Tak się tu splatała miłość, walka i wiara w człowieka, w jego umiejętność konstruowania nowego lepszego świata, jak może i w żadnego powojennego debiutanta.

Książka wierszy Castellati jest niewątpliwie niespodzianką dla tych, którzy z przestrachem obserwowali ostatnio jamy pism literackich, widząc w dziele poetyckim powtarzające się niezmiennie albo nazwiska znanych już sobie z przed wojny autorów lub też brneli z trudem przez zawile, lamane adepty, fałszyfikujących awangardę.

„Pole Mokotowskie“ świadczy o istnieniu nurtu humanistycznego, poza stylizacją i estetyzmem, w liryce najmłodszej generacji poetyckiej.

PAWEŁ HERTZ

Wyd. „Książka“ 1945; str. 42.

N O T Y

SANCTA SIMPLICITAS „TYGODNIKA POWSZECHNEGO“

Filia watykańskiego „Osservatore Romano“, jaką zapewne ma zamiar być krakowski „Tygodnik Powszechny“, w ostrej reprimendzie udzielonej z katedry Janowi Wiktorowi za jego „antypapieskie“ artykuły w „Dzienniku Pol skim“ zapowiada, że: „By p. Wiktorowi ułatwić zaznajomienie się... a naszym czytelnikom — dać jakiś obraz faktycznego stosunku Piusa XII do Polski, będziemy kolejno przytaczali najważniejsze dane w tej sprawie. Dziś przytoczymy jego słowa wypowiedziane do Polaków podczas audiencji w dn. 30.IX.1939 r. Na wyrazy żalu z powodu utraty wolności przez Polskę, Papież odpowiedział, że nie wszystko stracone... Kraj św. Kazimierza, św. Jadwigi, kraj dwóch Stanisławów, św. Jana Kantego i św. Andrzeja Boboli mógł stracić w ciągu wieków na krótszy lub dłuższy okres swoją ziemię, swoją niepodległość. Nigdy nie stracił swojej wiary.“

O, mili moi! Czy te słowa nie napawały was otuchą w ciągu pięciu lat okupacji? Bo pomyśleć: mogliśmy stracić ziemię i niepodległość „na dłuższy lub krótszy okres“. Na 150 lat, jak się to już kiedyś zdarzyło, lub na 5 lat — co z punktu widzenia wieczności nie stanowi właściwie żadnej różnicy. „T.P.“ zachętuje się ze wzruszenia na dźwięk tych słów Piusa XII.

Zapewne o tym samym przemówieniu papieskim wspomina Stanisław Baliński w wierszu „W smutnym Rzymie 1939“ ogłoszonym w tomie „Wielka podróż“ (Londyn, 1941, M. I. Kolin (Publishers)LTD):

Po tem w Castel Gandolfo bramy się otwarły
Papież wezwał do siebie przyjezdnych
Polaków:
Wbiegł szybko i przemynał po sali zamartej,
jak wielka biała chmura wśród ginących
ptaków.

Mówił długo o Bogu, który czuwa blisko,
o ich wielkiej przeszłości, co gorze jak tuma,
A kiedy nagle wyrzekł Szopena nazwisko,
Ktoś zaklął... jak w balladzie, kiedyś pęka
struna.

A on ręce wysmukłe rozkładał szeroko
I jak w operach włoskich głos wznosił,
to zniżał,

Wreszcie krzyż ujął w rękę, podniósł go
wysoko,
A ja — o Boże wielki — nie poznałem Krzyża.
Te kilka wierszy emigracyjnego poety, które nikt nie może posądzić o radykalizm społeczny ani też o antyreligijność, przesyłam do sztabu „Tygodnikowi Powszechnemu“ w oczekiwaniu dalszych z kolei cytatów z przemówień Piusa XII. Zwłaszcza interesowało by mnie owo, w których Papież wspomina o nie-ludzkich metodach wysiedlenia Niemców z Polski i z Czechosłowacji. A przecież wystarczyłoby pocieszyć Niemców, że tracą nie swoją ziemię, lecz pozostaje im wiara.

KTO NIE ZAZNAŁ SŁODYCZY?

Ajencja Reutersa doniosła z Kopenhagi, że Duńczycy protestują przeciwko decyzji ich Rządu, który ma zamiar zaoferować każdemu z 250 tysięcy uchodźców niemieckich, przebywających w Danii, upominki z okazji świąt Bożego Narodzenia. Upominki będą zawierały słodycze, tytoń lub inne drobności. Prócz tego Rząd duński chce zaoferować choinki uchodźcom niemieckim, przebywającym w dworkach obozów. W odpowiedzi na protest ludności wspaniałomyślny Rząd duński wytoczył argument, że okazanie pewnej dozy uprzejmości w okresie świątecznym może przyczynić się w znacznym stopniu do pouczenia tych nie-proszonych gości, jak należy postępować.

„Kto nie zaznał słodyczy ni razu,
Ten po śmierci nie będzie w niebie.“

NIE RZUCAJCIE KAMIENIEM!

Nr 5 „katolickiego, poświęconego zagadnieniom życia narodowego“ „Tygodnika Warszawskiego“ pod powyższym tytułem przynosi gloriifikację Romana Dmowskiego. Ostatnio dość często próbują „katolickie“ pisma odbronić endecję, nie używając — ach, skądże! — tego słowa. Oto więc, co o samym „wodzu“ pisze jego gloriifikator:

„(Dmowski) niewątpliwie przerastał współczesnych... W czym zawierała się wielkość Dmowskiego?... Dzieła Dmowskiego to jasny, wyczerpujący wykład, zdumiewająca przekonywująca argumentacja, niewzruszona logika... Książki jego... zawierają nie tylko trzeźwą ocenę aktualnej rzeczywistości, ale i rozświetlenie dróg, jakimi kroczyć ma naród ku pewnej przyszłości.“

Zobaczmy, jak wyglądała „trzeźwa ocena aktualnej rzeczywistości“ w oryginale. W wydanej w roku 1938 książce „Przewrót“ pisze Dmowski:

„Faszyzm to pierwsza wielka próba istotnej walki z kryzysem politycznym naszej cywilizacji... Płytkością było by twierdzić, że

jest on próbą chybionej cywilizacji... Nie można odmówić ruchowi hitlerowskiemu dodatniego wpływu moralnego na swych ludzi, zwłaszcza na tych, których szereguje do czynnej walki, koszaruje i utrzymuje.“

Takim to „wielkim nauczycielem narodu“ był Roman Dmowski. Takimi to „rozświetlonymi drogami“ miał „kroczyć naród ku pewnej przyszłości“, które to drogi ułatwiły przybycie okupanta. A wtedy mieliśmy okazję zapoznać się z „dodatnim wpływem moralnym hitlerizmu“.

Autor „gloriifikacji“ pisze:

„Jeżeli przychodzi budować życie na gruzach, budować je trzeba w oparciu o przeszłość, poprawiając jedynie błędy ojców, a nie za te błędy nie rzucając bynajmniej w nich kamieniem.“

Żerując na nieświadomości czytelnika, panowie b. endecy zachwalają i reklamują swoich wodzów, a więc swoje idee. I nie mogą się z nimi — mimo wielu zapowiedzi — rozstać, dalej chcą budować w oparciu o reakcyjną przeszłość. A o swoich błędach (jakże delikatna to dla ich czynów nazwa!) chcą zapomnieć. I chcą, by zapomnieli społeczeństwo. I chcą by zapomnieli Polaka. mm

JESZCZE WSTĘPNY ROK STUDIÓW

Profesorowie uniwersytetów na ogół narzekają na małe zainteresowanie naukowe dzisiejszych studentów. Tylko na wykładach, z których się egzaminuje, jest tłoczno. Inne nawet w najbardziej frapujących tematach społecznych przyciągają po parę osób. Ale też większość dzisiejszych studentów to ludzie w studiach zapóźnieni, chcący jak najprędzej zwalić ten kłopot z głowy, osiągnąć dyplom, ludzie pracujący.

Nie jest to stan pomyślny. Kultura polska nie będzie się normalnie rozwijała bez dostatecznie dużej grupy ludzi bezinteresownie zajmujących się nauką dla niej samej.

Wstępny rok studiów miał temu zaradzić. Komisje weryfikacyjne - kwalifikacyjne miały dopuścić świeży, ludowy element, żądny wiedzy, zamierzający w nauce i bezinteresownym badaniu. Komisje te zawiodyły, nie spełniły tego zadania. Ta ocena sytuacji pośrednio wynikała z programu zorganizowania tej całej sprawy ogłoszonego przez prof. Gąsiorowską w „Kuznicy“. Tu trzeba wyraźnie powiedzieć — komisje weryfikacyjne - kwalifikacyjne (takie jak dotąd zawodzą. W styczniu mają zacząć pracę na nowo. Muszą być od podstaw zreformowane. Do słusznych uwag p. Gąsiorowskiej chcę dodać jeszcze parę spostrzeżeń krytycznych, wytknąć błędy, których na przyszłość należało by unikać.

Przepisy wyraźnie mówią, iż komisja przyjmuje kandydata nie na podstawie egzaminu z formalnie przyswojonych wiadomości, ale na podstawie swobodnej rozmowy orientującej w ogólnym rozwoju studenta. Otóż dotychczasowa praktyka komisji weryfikacyjno - kwalifikacyjnych odbiega od ducha tej instrukcji. Profesorowie zbyt często ulegają sugestii zewnętrznego sposobu bycia inteligenta, „oblania“ młodzieży mieszczańskiej. Zadowoleni są z rozmowy, gdy ujmie ich gładki, mieszczański, dobrze im znany sposób bycia, swoboda mówienia, to obycie się z życiem, ale tylko z typowo mieszczańskim życiem. Inne miary, nowe, na świeżo, nawet teoretycznie wypracowane trzeba by przykładać do tych, którzy przy noszą własną, pryncypialną wybitność — ale i oswajenie tylko z obcym profesorem, niemieckim światem. Sprawy sprawdzianów tego „ogólnego wyrobienia“ trzeba na nowo postawić. Bo dotychczasowe nie zdały egzaminu. Na jednym z uniwersytetów na 1000 kandydatów przyjęto 150. To bardzo źle!

Był tam i dodatkowy błąd organizacyjny. Prawie wszystkie 1000 rozmów przeprowadził jeden człowiek. Gdyby był nawet cudem obiektywności i wnikliwości psychologicznej, trudno przypuścić, że potrafił wniknąć w głębię tysiąca niepodobnych do siebie indywidualności. O losach tysięcy ludzi nie może decydować nawet najlepszy ale jeden człowiek. Taka rozmowa musi być przeprowadzana przez kolektów, jak tego zresztą chciała prof. Gąsiorowska.

Wobec zbliżającej się nowej styczniowej sesji komisji weryfikacyjno - kwalifikacyjnych trzeba głośno wołać o ich reformę. To spularyzowanie samej sprawy wśród młodzieży chłopskiej i robotniczej przez partie i związki.

SZOFER

Rozmawiałam z szoferem, który woził kolejno: Sikorskiego, Mikołajczyka i Arciszewskiego — jego opinia o wielkich z wyspy była taka:

p. Sikorski nie zwracał uwagi na czapkę, którą noszę.

p. Mikołajczyk kupił mi nową.

p. Arciszewski kazał wyrzucić czapkę od p. Mikołajczyka.

kazał mi kupić nową, kupiłem za 4 funty, miałem ją na głowie 2 razy,

p. Arciszewski mało jeździł autem.

hb.

PRZEGLĄD PRASY

Zagadnienie literatury ludowej stanowi nie wątpliwie (obok wielkiej dyskusji na temat realizmu, której pogłosy tu i ówdzie jeszcze rozbrzmiewają) jeden z zasadniczych tematów naszego życia kulturalnego i artystycznego. Liczne artykuły, jakie ukazały się w prasie literacko - społecznej wentylowały tę sprawę zarówno ze stanowiska socjologicznego jak i z punktu widzenia artystycznego, formalnego. Zapewne rozdzielanie tych spraw nie było słuszne. Do tej pory jednak brakowało właściwie obszerniejszego artykułu, który by określił pozycję pisarstwa ludowego, a co ważniejsze, który by wskazał zadania, jakie ma przed sobą organizacja pisarzy chłopskich, będąca jednym z oddziałów Związku Zawodowego Literatów Polskich, gdyż jak dotychczas organ Oddziału Wiejskiego „Wieś“, wbrew swoim artykułom teoretycznym, prezentowała właściwie, zwłaszcza w dziedzinie poetyckiej, mniej lub bardziej udane stylizacje na tematy wiejskie. Tę lukę w bibliografii prac na tematy literatury chłopskiej wypełnia bez reszty artykuł Juliana Przybosa „W sprawie pisarstwa ludowego“ zamieszczony w Nr 55 „Odrodzenia“. Przytaczając swoje definicje poezji, Przybós stwierdza, że „przyjmujemy przy mitych jako mimowolne dzieło sztuki“ co „wymówić można skończonością doświadczeń ludzi prostych... Słowo człowieka pracy fizycznej jest jak odcisk, jak świadectwo długotrwałego kontaktu z materią. Dlatego twory prymitywnych autorów działają podobnie jak dzieła sztuki artystów świadomych... Artystę świadomego i nieświadomego (prymitywnego) łączy w procesie tworzenia jedna cecha: niekonwencjonalność wyrazu“. W dalszym ciągu swego artykułu, autor pisze, że „Współczesny ludowy ruch literacki nie może... otaczać kultem skończonej sztuki prymitywu ludowego“. O ile poezja według autora nie może być formą wypowiedzi chłopca, to „w dziedzinie prozy pisarstwo ludowe poszczycić się może osiągnięciami wielkiej miary“.

„Wieś“ przeprowadza na swoich szpaltach niezmiernie interesującą dyskusję w sprawie gwary. W poprzednim numerze wypowiedział się na ten temat pisarz chłopski Pogan, obecnie w Nr 20 zabiera głos Antoni Urban, który m. in. pisze: „Również i w literaturze uporczywie obstawanie przy gwarze nie rokuje wielkich szans tym literatom, którzy się nią posługują. Ciekawe, że czytająca ludność wsi i miasteczek małych uważa to za sztyrdstwo z niej. Mówią: dlaczego „oni“ tak piszą, przecież na wsi już prawie nikt tak nie mówi“. Interesujące, że Urban stwierdza, że gwara utrzymuje się w okolicach o niskim poziomie życia materialnego i kulturalnego i odwrotnie, zanika, gdy warunki te są na wyższym poziomie.

Stwierdzenia Urbana w sprawie gwary mogłyby służyć jako odpowiedź publicyście „Chłopskiego Sztandaru“, Stanisławowi Dzikowskiemu, który w artykule „Skarb porzucony“ w Nr 9 wymienił pisma uskarżające się na zanik i brak zainteresowania dla „bezmiennej“ jak ją autor nazywa ludowej literatury. Autor melancholijnie stwierdza, że „zanikanie dawnej kultury ludowej jest objawem naturalnym“. „Inne są teraz sprawy ważniejsze, bezpośrednio z życia wynikające, inne spojrzenie na świat otaczający i ludzi“. „Czułostkowe biadolenie z powodu zjawisk, których odwrócić nie podobna, nikomu nie jest potrzebne“.

„Tygodnik Powszechny“ Nr 38 zamieszcza obszerną pracę Jana Dąbrowskiego „Udział chłopca w przeszłości Polski“. Artykuł ten jest próbą chronologicznego przeglądu aktywnego udziału warstwy chłopskiej w życiu materialnym i w kulturze polskiej. Artykuł pisany jest zgodnie z solidarystyczną tradycją, która stara się usunąć wszelkie de facto istniejące antynomie między szlachta i chłopstwem. W „Tygodniku Warszawskim“ w artykule omawiającym stosunek ludu do kościoła (Marian Grzegorzewski: „Kościół a lud“) znajdujemy wśród szeregu motywacji takie zdanie: „...bo wiem jest faktem (wykazał to świetnie Dmowski), że między charakterem naszej szlachty a ludu nie ma żadnych zasadniczych różnic, a przeciwnie, są uderzające podobieństwa“.

W tym samym numerze „Tygodnika Warszawskiego“ Bolesław Szczepkowski drukuje wspomnienia o Romanie Dmowskim. („To i owo o Romanie Dmowskim“) Min. autor zadaje kokieterijne pytanie: „Czy Dmowski był antysemitą?“ Odpowiedź p. Szczepkowskiego jest dość nieoczekiwana i przynajmniej rewersyjna: „...Dmowski nie był antysemitą... zbyt wielkie zgaszczenie ludności żydowskiej w Polsce uważał za przeszkodę do zgodnego współżycia Polaków i Żydów“. Do mogło się nie podobać, ale to znowu nie mogło i nie powinno być fałszywie komentowane. Ma pan rację, p. Szczepkowski!

Ofenzywa prowadzona konsekwentnie z pozycji idealistycznych w „Tygodniku Powszechnym“, w „Tygodniku Warszawskim“, w „Dziś i Jutro“ na frontach politycznym, historycznym i religijnym ma oczywista swój odpowiednik w dziedzinie literatury. I tak: o realizmie pisze w „Tygodniku Warszawskim“ Nr 4, Edward Jastrząb („O nową prawdę w literaturze“). Jastrząb polemizuje z niereprezentowanym zresztą przez nikogo z jego przeciwników poglądem, który rzekomo twierdzi, jakoby „proces powstawania nowych prądów w sztuce sprowadzał się w praktyce do wybierania pomiędzy kierunkami, które istniały w przeszłości“. W „Dziś i jutro“ Nr 4 Stefan Kisielewski żąda w swoim felietonie „Katastrofizm odwrócony“ oswobodzenia literatury od zagadnień wojny i proponuje zwrot „do spraw ducha niepodległego, bogatego i harmonijnego...“ Z tych pozycji atakuje Kisielewski Jerzego Andrzejewskiego za jego nowelę „Przed sądem“. Ze Kisielewski proponuje pisarzom stosowanie strasień polityki, świadczy o tym jego własne zdanie na temat noweli Andrzejewskiego: „która niczego nie nauczy — poza tym, że trzeba zamknąć oczy i nie patrzeć“. Dlaczego? Teza Kisielewskiego przypomina do złudzenia postawę endeckich zoilów, którzy drażnił Żeromski, a którzy byli pełni uwielbienia dla „harmonijności“ Sienkiewicza czy Weysenhoffa.

Armaty, z których Kisielewski broni zagrożonego „humanizmu“ biją o tyle w próżnię, że jego przeciwnicy chcą właśnie „humanistycznej, wszechstronnej, a zarazem harmonijnej i czystej literatury narodu europejskiego...“ Pytanie tylko, jakie ma skojarzenia Kisielewski, gdy wymawia te wszystkie przymiotniki? We Francji do takich epitetów pretendowała daleka od humanizmu szkoła Murrasa, a odnoszą się one istotnie do Malraux, Cassou, Aragona, Eluarda i inn. Jak widzimy, różnica dość zasadnicza!

ph.

Nowy balet Prokofiewa

W ostatnich latach Prokofiew napisał operę „Wojna i pokój“, opartą na powieści Lwa Tolstoja z eksperymentalną arią zbudowaną na prozie tolstojowskich dialogów; napisał Drugi kwartet, Siódmą i Ósmą sonatę fortepianową i znakomitą Piątą symfonię. Ostatnio Prokofiew ukończył balet „Kopciuszek“, który wystawił w Moskwie Wielki Teatr w końcu listopada. Libreto pióra dramaturga N. Wolkowa ma tendencję socjalną i psychologiczną. Nowy balet związany jest tradycyjnie z baletami Czajkowskiego, który pierwszy połączył bajkę z dramatem psychologicznym. W młodości swojej Prokofiew napisał muzykę do bajki Andersena „Brzydkie kaczątko“. Obecnie, po 30 przeszło latach, powraca kompozytor do tematu brzydkiego kaczątka, rozwijając go w historii Kopciuszka. Balet cechuje bogactwo kontrastujących melodii. Przenikliwy liryzm, groteska, niespodziewane egzotyczne wariacje w podróży królewicza, nasycona emocją dramatyczność następującej kolejno. Akcja baletu w nasileniu swoich osiąga cechy prawdziwego tragizmu. Obok epizodów dramatycznych Prokofiew stworzył kilka tańców. Rola Kopciuszka powierzona została wybitnym baletnicom Związku Radzieckiego: Lepieszynskiej, która występowała w kwietniu br. w Łodzi i Ulanowej. Każda z nich interpretuje rolę inaczej. Kopciuszek Lepieszynskiej jest prostą naiwną dziewczyną, która szczęście uważa za cud. Ulanowa od samego początku daje do zrozumienia, że Kopciuszek jest „brzydkim kaczątkiem“, któremu przeznaczony jest los pięknego labędzika. To co spotyka ją potem, przyjmuje ona jako przeznaczenie. Balet Prokofiewa jest zdarzeniem w sztuce radzieckiej.

lg.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W. ZAW. WROCŁAW. Historii początków proletariatu w Polsce poświęciła obszerną pracę N. Asserodobraj. Zagadnienia nowych prądów literackich omówił Jan Kott w cyklu essayów „Realizm i mitologie“. Obie prace złożone od dawna w „Czytelniku“ czekają na światło dzienne, podobno są już nawet wydrukowane, lecz nie ukazały się dotychczas. Sądźmy jednak, że ze względu na aktualność problematyki tych książek dni ich snu zimowego są policzone.